

TESS GERRITSEN

Czarna loteria

Tytuł oryginału: Under the Knife

PROLOG

Dobry Boże, czasem przeszłość powraca, żeby nas zniszczyć.

Doktor Henry Tanaka spoglądał przez okno gabinetu na smagany deszczem parking i zastanawiał się, dlaczego po tylu latach wypląnęła sprawa zgonu jednej z pacjentek. By przyczynić się do jego zguby?

Na dworze przemoknięta pielęgniarka w białym fartuchu przemykała chyłkiem do samochodu. Skrzywił się. Jeszcze jedna, która zapomniała parasola. Dzień, jak to zwykle w Honolulu, wstał jasny i słoneczny. Jednak około trzeciej od strony gór Koolau nadciągnęły chmury, niosąc deszcz, który przeszedł w gwałtowną nawałnicę. Ulicami popłynęły strumienie brudnej wody. I to akurat w chwili, gdy ludzie kończyli pracę i szli do domu.

Henry Tanaka odwrócił się od okna i spojrział na list. Z daty na stemplu wynikało, że został wysłany przed tygodniem, lecz jak większość korespondencji utonął w stertach medycznych pism oraz katalogów / ofertą firm farmaceutycznych, którymi zawałony był cały gabinet. Gdy tego ranka recepcjonistka dyskretnie mu go podsunęła, przeraził się, spojrzawszy na nazwisko nadawcy: Joseph Kahanu, adwokat.

Niezwłocznie otworzył kopertę. Teraz zaś skulił się w fotelu i kolejny raz odczytał suchą treść:

Szanowny panie doktorze!

W imieniu pana Charlesa Deckera, którego mam zaszczyt reprezentować, zwracam się do pana z prośbą o udostępnienie kompletnej dokumentacji medycznej dotyczącej wszelkich zabiegów, jakim została poddana pani Jennifer Brook, która w

chwili zgonu przebywała jako pańska pacjentka na oddziale położniczym...

Jennifer Brook. Doktor Tanaka miał nadzieję, że zdoła zapomnieć to nazwisko.

Ogarnęło go przemożne znużenie - rodzaj wyczerpania, które spada na człowieka, gdy odkryje, że nie jest w stanie uciec od przeszłości sunącej za nim niczym groźny cień. Próbował wykrzesać z siebie bodaj tyle energii, ile potrzeba, by dowlec się do samochodu i ruszyć do domu. Bezskutecznie. Ogarnięty całkowitym bezwładem woli, siedział nieruchomo przy biurku i wpatrywał się tępo w cztery ściany gabinetu. Swego sanktuarium. Jego zgaszone spojrzenie przesuwano się po oprawionych w ramki dyplomach, certyfikatach, zdjęciach. Wokół wisiały fotki pomarszczonych noworodków oraz ich rozpromienionych rodziców. Ilu dzieciom pomógł przyjść na świat? Dawno temu stracił rachubę.

W końcu przemógł się i wstał z fotela, wyrwany z odrętwienia odgłosem, który dobiegł z sąsiadującej z gabinetem poczekalni: był pewny, że cicho stuknęły drzwi. Zaintrygowany wyjrzał na zewnątrz.

- Peggy? Jeszcze nie wyszłaś?

W poczekalni nie było żywej duszy. Tanaka omiótł spojrzeniem kwiecistą sofę i fotele, stojący obok niski stolik z równo ułożonymi kolorowymi pismami, po czym zatrzymał wzrok na drzwiach prowadzących na szpitalny korytarz. Były otwarte.

Absolutną ciszę opustoszałych pomieszczeń zakłócił stłumiony, metaliczny szczeł. Henry chwilę nasłuchiwał. Dźwięk dobiegał z jednego z gabinetów zabiegowych.

- Peggy? - Wyszedł na korytarz i zajrzał do pierwszego gabinetu. Zapalił światło, lecz nie ujrzał nic prócz lśniącej umywalki z nierdzewnej stali, fotela ginekologicznego i szafki

z medykamentami. Przeszedł więc do następnego gabinetu. Tu również wszystko było w porządku.

Przeszedł na drugą stronę korytarza, kierując się w stronę ostatniego z gabinetów. Już miał zapalić światło, gdy nagle znieruchomiał. Instynktownie wyczuł, iż w ciemności czyha na niego śmiertelny wróg.

Przerażony, zaczął ostrożnie wycofywać się na korytarz. Gdy w końcu się odwrócił, by uciec, zrozumiał, że popełnił błąd. Napastnik przycisnął się bowiem za drzwiami.

Ostrze z szybkością błyskawicy przejechało po jego szyi. Henry Tanaka zachwiał się, zatoczył do tyłu i przewrócił na stojak z narzędziami. Gdy próbował wstać, wyczuł, że podłoga jest lepka od krwi. Życie uchodziło z niego przeraźliwie szybko, lecz nawykły do racjonalnego myślenia umysł nie poddawał się bez walki. Lekarz błyskawicznie zdiagnozował swoje obrażenia i chłodno przeanalizował szanse na przeżycie.

Przecięta aorta. W ciągu paru minut nastąpi wykrwawienie. Trzeba natychmiast zatamować krew... Czuł, że już zaczynają drętwieć mu nogi.

Nie zostało mu wiele czasu. Na czworakach podpełzł do szafki, w której trzymano leki i opatrunki. Nikły blask światła odbitego od przeszklonych drzwi był dla jego słabnących zmysłów latarnią morską, ostatnią nadzieją ratunku. Wtem jakiś cień przysłonił światło sączące się do gabinetu z korytarza. Henry domyślił się, że napastnik stanął w drzwiach i na niego patrzy. Mimo to czołgał się dalej. W ostatnim przebłysku świadomości zdołał dźwignąć się na nogi i otworzyć szafkę. Z półek posypały się na niego paczki sterylnej gazy. Macając na oślep, chwycił pierwszą z brzegu, rozdarł opakowanie i, wyszarpnąwszy opatrunek, przycisnął go do szyi.

Pochłonięty tą czynnością, nie widział, jak ostrze zatacza ostateczny śmiercionośny łuk nad jego głową.

Gdy rozplątało mu kark, próbował krzyczeć, lecz dźwięk, który wydobył się z jego gardła, przypominał ledwie słyszalny szept.

To był jego ostatni oddech. Chwilę później bezwładnie osunął się na podłogę.

Charlie Decker leżał nagi w wąskim twardym łóżku. Dławił go zwierzęcy strach.

Za oknem biła krwista luna neonu: The Victory Hotel. W ostatnim słowie przepaliła się litera t. Pozostałe ułożyły się w napis hoel, który kojarzył mu się ze słowem hole, czyli dziura. The Victory Hole. Miejsce rzeczywiście zasługiwało na to mało pochlebne miano. Tu każda radość i każde zwycięstwo bezpowrotnie ginęło w czarnej otchłani.

Zamknął oczy, lecz neon nadal płonął, zupełnie jakby zdołał wcisnąć się ukradkiem pod jego powieki. Odwrócił się więc plecami do okna i zakrył głowę poduszką. Otoczył go duszący, obmierzły zapach brudnej pościeli, więc natychmiast cisnął ją w kąt. Ciężko dźwignął się z legowiska i podszedł do okna, by wyrzeć na ulicę. Długowłosa blondyna w mini dobijała targu z klientem w chevroletcie. Gdzieś niedaleko co chwila wybuchały gromkie śmiechy, mieszając się z melodią piosenki: „To już nieważne”. W ciemnym zaułku unosił się fetor gnijących śmieci zmieszany ze słodkim aromatem kwitnących krzewów: charakterystyczny zapach bocznej uliczki raj. Zebrało mu się na wymioty. Było zbyt gorąco, by zamknąć okno, zbyt gorąco, by spać, a nawet by oddychać.

Powlókł się do stolika i zapalił lampkę. Z pierwszej strony gazety krzyczał wciąż ten sam tytuł: „Lekarz z Honolulu zaszlachtowany we własnym gabinecie”.

Strużka potu spłynęła mu po piersi. Gwałtownym ruchem zrzucił gazetę na podłogę. Potem usiadł i chwycił się za głowę.

W oddali wybrzmiały ostatnie akordy melodii; następna piosenka zaczęła się od głośnego jazgotu gitar i huku perkusji. Wokalista wykrzyczał: „Tak bardzo tego pragnę, oh yeah, baby, tak bardzo, bardzo...”.

Charlie wolno uniósł głowę i spojrzał na zdjęcie Jenny. Uśmiechała się jak zwykle. Ona zawsze była uśmiechnięta. Dotknął fotografii, próbując przypomnieć sobie kształt i ciepło jej twarzy; nieubłagany czas zatarł część wspomnień.

Sięgnął po notatnik, otworzył go na czystej stronie i zaczął pisać.

Oto co od nich usłyszałem:

„Potrzeba czasu...

Czas leczy rany, pozwala zapomnieć”.

Oto co im odpowiedziałem:

„Uzdrowienie nie polega na zapominaniu

Lecz na pamięci

O tobie.

O zapachu morza na twojej skórze;

O odcisniętych na piasku śladach twoich drobnych pięknych stóp.

Pamięć jest bezkresna.

Leżysz więc, teraz i na zawsze, na brzegu morza.

Otwierasz oczy. Dotykasz mnie.

Słońce przepływa przez twoje palce.

I czuję się uleczony. Czuję się uleczony”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Kate Chesne pewną ręką wstrzyknęła pacjentce dwieście miligramów pentothalu. Obserwując uważnie powolną wędrówkę słupka jasnożółtego płynu, który tłoczyła przez plastikową rurkę i wenflon wprost do żyły, powiedziała półgłosem:

- Ellen, za chwilę zrobisz się senna. Zamknij oczy. I spokojnie odpłyń.

- Na razie nic nie czuję.

- Jeszcze moment. - Kate lekko uściśnęła ramię kobiety. Wiedziała, że wystarczy drobny gest, by pacjent poczuł się bezpieczniej. Czasem wystarczy dotyk. Albo dobre słowo wypowiedziane ciepłym głosem. - Wyobraź sobie, że unosisz się na wodzie - szepnęła. - Pomyśl o błękitnym niebie i obłokach...

Ellen odpowiedziała leniwym uśmiechem. Ostre światło lamp bezlitośnie demaskowało wszystkie niedoskonałości i znamiona na jej skórze. Na stole operacyjnym nikt nie wygląda atrakcyjnie. Piękna Ellen O'Brien nie była tu wyjątkiem.

- Śmieszne - mruknęła - ale wcale się nie boję.

- Słusznie, bo nie ma czego. Jesteś w dobrych rękach. Bo moich - zapewniła ją żartobliwie Kate.

- Przecież wiem. - Ellen wyciągnęła do niej dłoń. Ich palce ma moment się splotły.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i do sali wszedł doktor Guy Santini, chirurg o posturze niedźwiedzia, który w kwiecistym czepeczku na głowie prezentował się dość groteskowo.

- Jak sytuacja, Kate? - zapytał.

- Właśnie podaję pentothal.

- Ellen, jesteś jeszcze z nami? - zagadnął, i podszedłszy do stołu, wziął kobietę za rękę.

- Na dobre i na złe - odparła. - Ale nie ukrywam, że wolałabym być w Filadelfii.

- Będziesz, będziesz. Ale już bez woreczka żółciowego - odparł.

- No sama nie wiem... Nawet go już polubiłam. - Powieki zaczęły jej opadać. - Guy, pamiętaj, co mi obiecałeś! - mruknęła. - Żadnej blizny!

- Naprawdę ci to obiecałem?

- Naprawdę!

- Widzisz! Mówiłem ci! - Chirurg mruknął porozumiewawczo do Kate. - Nie ma gorszych pacjentek niż pielęgniarki. Te to mają wymagania!

- Niech pan lepiej uważa, doktorze! - ostrzegła jedna z instrumentariuszek. - Prędzej czy później pan też trafi na stół. A wtedy my się panem zajmiemy!

- Już się boję!

Kate spostrzegła, że Ellen wreszcie zasnęła. Dla pewności zawołała ją po imieniu i dotknęła jej przymkniętych powiek. Ellen nie reagowała.

- Odplynęła.

- Katie, moje ty kochanie - westchnął Santini z uznaniem.

- Robisz naprawdę świetną robotę jak na...

- Babę? Jasne! Wiem!

- Dobra, idę się myć i jedziemy z tym koksem! - zarządził. - A jak wyniki badań? Dobre?

- Jeśli chodzi o krew, to idealne.

- A EKG?

- W normie. Zrobiłam je wczoraj wieczorem. Lekarz zatrzymał się w progu i zasalutował.

- Kiedy jesteś obok, człowiek czuje się zwolniony z obowiązku myślenia. Aha, byłbym zapomniał. Drogie panie - zwrócił się do instrumentariuszek - słowo ostrzeżenia. Nasz stażysta to mańkut.

- A chociaż przystojny? - zapytała jedna z nich.
- Piękny jak marzenie, Cindy! - rzucił, puszczając do niej oko. - Powiem mu, że pytałaś - dodał, znikając w drzwiach.
- Ja nie wiem, jak ta żona z nim wytrzyma?! - Cindy wzniosła oczy do nieba.

Przez następne dziesięć minut wszystko toczyło się zgodnie z ustalonym trybem. Kate z wprawą wykonywała rutynowe czynności. Wprowadziła do tchawicy rurkę intubacyjną i podłączyła ją do respiratora. Następnie wyregulowała przepływ tlenu i dobrała odpowiednie proporcje środka znieczulającego i podtlenku azotu. Od tej chwili życie Ellen spoczywało w jej rękach, dlatego wszystko sprawdzała po dwa, a nawet trzy razy. Mówi się, że praca anestezjologa to dziewięćdziesiąt dziewięć procent nudy i jeden procent horroru - właśnie przed tym jednym procentem starała się zabezpieczyć. Była aż nadto świadoma, że gdy pojawiają się komplikacje, nie ma czasu na wahanie. Decyzja musi być natychmiastowa.

Dziś czuła się wyjątkowo spokojna. Operacja nie była skomplikowana, więc zakładała, że wszystko pójdzie gładko. Ellen ma raptem czterdzieści jeden lat. I poza kamieniami w woreczku stanowi okaz zdrowia.

Guy Santini wrócił do sali, trzymając w górze wyszorowane ręce. Tuż za nim kroczył „piękny jak marzenie” leworęczny stażysta, który w butach na grubej podeszwie osiągał imponujący wzrost stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Obaj poddali się rytuałowi wkładania sterylnych fartuchów i rękawiczek, któremu towarzyszyło charakterystyczne strzelanie lateksu.

Gdy byli gotowi, zespół ustawił się wokół stołu. Kate popatrzyła po osłoniętych maskami twarzach. Poza stażystą wszyscy świetnie się znali. Pierwsza stała Ann Richter, instrumentariuszka, tak zwana „krążąca”. Zawsze skupiona,

zawsze schludna i kompetentna, nigdy nie traciła zimnej krwi. Niech no tylko ktoś rzucił podczas operacji jakiś dowcip, od razu spotykał się z jej karcącym spojrzeniem.

Obok niej stał Guy Santini, który na bloku operacyjnym czuł się jak u siebie w domu. Jowialny i przyjaźnie nastawiony do świata, wyglądał na ciężkiego i niezdarnego. Patrząc na jego zwalistą sylwetkę, trudno było uwierzyć, że jest pierwszorzędnym chirurgiem. Jednak gdy brał do ręki skalpel, czynił cuda.

Miejsce po przeciwnej stronie stołu zajął mocno zafrasowany stażysta, który miał pecha urodzić się mańkutem. I wreszcie Cindy, instrumentariuszka, ciemnooka nimfa zawsze skora do śmiechu. I zawsze w pełnym makijażu. Tym razem pomalowała oczy nowym jaskrawym cieniem o nazwie „orientalny malachit”, który mienił się jak łuska tropikalnej rybki.

- Fajny kolor - pochwalił Guy, wyciągając rękę po skalpel.

- Dzięki, doktorze - odparła, podając mu narzędzie.

- Podoba mi się o wiele bardziej niż poprzedni. Jak on się nazywał? Hiszpański muł?

- Mech, doktorze!

- Wszystko jedno. Nie uważasz, kolego, że odcień jest naprawdę niezwykły? - zagadnął stażystę, który na wszelki wypadek nie zabierał głosu. - Kojarzy mi się z moim ulubionym kolorem. Zaraz, jak on się nazywa? A, już wiem. „Proszek do szorowania”.

Stażysta zachichotał, a Cindy posłała mu gniewne spojrzenie. Biedak nie wiedział, że właśnie pogrzebał swoją jedyną szansę, by zostać kochankiem roku.

Guy wykonał pierwsze cięcie. Gdy na skórze pojawiła się szkarłatna linia, stażysta natychmiast usunął krew wacikiem.

Ruchy obu chirurgów były idealnie zsynchronizowane. Rozumieli się bez słów.

Kate obserwowała ich ze swego miejsca u szczytu stołu. Siedziała tuż obok głowy Ellen i wsłuchiwała się w rytm pracy jej serca. Nie działo się nic niepokojącego. Właśnie w takich warunkach lubiła pracować najbardziej - gdy miała pewność, że wszystko jest pod kontrolą. Pośród zimnego lśnienia chirurgicznej stali czuła się jak w domu, a szum wentylacji i rytmiczne pikanie kardiomonitora były dla niej odprężającym muzycznym tłem spektaklu rozgrywającego się na operacyjnym stole.

Guy wykonał głębsze cięcie.

- Kate, mięśnie są za bardzo napięte. Ciężko będzie je rozchylić - uprzedził Guy.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Odwróciła się do szafki z lekarami i otworzyła szufladkę z napisem „scolina”. Był to lek podawany dożylnie i powodujący zwiotczenie mięśni, dzięki czemu chirurg mógł łatwiej dostać się do jamy brzusznej.

Zerknęła na zawartość szuflady i ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

- Ann? Mam tylko jedną fiolkę scoliny. Przyniesiesz mi więcej?

- Dziwne - odezwała się Cindy. - Wczoraj po południu uzupełniałam zapasy.

- Możliwe, ale została tylko jedna fiołka. - Kate wciągnęła do strzykawki pięć centymetrów sześciennych przezroczystego płynu i zrobiła Ellen zastrzyk. Lek zaczął działać mniej więcej po minucie.

Tymczasem Guy przeciął warstwę tłuszczu i przymierzał się do nacięcia tkanki mięśniowej.

- Mięśnie nadal twarde - rzucił. Kate zerknęła na ścienny zegar.

- Minęły trzy minuty. Powinno już zadziałać.

- Ale nie działa.

- Dobra, podam jeszcze trochę. - Wyciągnęła z fiolki kolejne trzy centymetry i wstrzyknęła do żyły. - Ann, zaraz będę potrzebowała nową fiolkę. Zostało mi tylko... - Urwała, słysząc przenikliwy pisk kardiomonitora. Gwałtownie podniosła głowę. Jedno spojrzenie na ekran wystarczyło, by skoczyła na równe nogi.

Serce Ellen O'Brien przestało bić.

W ułamku sekundy w sali zawrzało jak w ulu. Padały nerwowe komendy, tace i szafki z narzędziami z hukiem odjechały na bok. Stażysta wgramolił się na stołeczek i napierał całym ciężarem ciała na klatkę piersiową Ellen.

Na oczach zdruzgotanej Kate spełniał się koszmarny sen każdego anestezjologa. Nieszczęsny jeden procent horroru stał się faktem.

Bez wątpienia była to najgorsza chwila w jej życiu. Walczyła ze sobą, by nie ulec ogólnej panice. Nie tracąc trzeźwości umysłu, wstrzykiwała Ellen kolejne fiolki adrenaliny. Najpierw dożylnie, później prosto w serce. Tracę ją, powtarzała w myślach. Dobry Boże, ja naprawdę ją tracę. W pewnej chwili spostrzegła na kardiomonitorze gwałtowne migotanie linii. Jak sygnał S.O.S. wysyłany przez gasnące życie.

- Defibrylator! - zawołała do Ann stojącej obok urządzenia. - Dwieście dzuli!

Ann nawet nie drgnęła. Jej twarz miała barwę alabastru.

- Ann?! - krzyknęła Kate. - Dwieście dzuli!

Ostatecznie to Cindy podbiegła i włączyła przyrząd. Gdy wskazówka doszła do dwustu dzuli, Guy złapał elektrody. Gdy przycisnął je do piersi Ellen, jej ciało podskoczyło bezwładnie. Jakby była marionetką, którą ktoś szarpnął za wszystkie sznurki naraz.

Na monitorze trzepotanie uspokoiło się i przeszło w spłaszczoną falę. Nieomylny znak, że serce umiera.

Kate nie przyjmowała tego do świadomości. Wstrzykiwała lek za lekiem, desperacko próbując pobudzić je do życia. Wszystko na nic. W pewnej chwili zrozumiała, że tej bitwy już nie wygra. Patrzyła przez łzy, jak na wykresie spłaszczona fala przechodzi w linię ciągłą, bez celu biegnącą po ekranie.

- Koniec balu - mruknął Guy i dał znak, by przerwać reanimację. Złany potem stażysta odsunął się do stołu.

- Nie! - Kate położyła ręce na klatce piersiowej Ellen. - To jeszcze nie koniec - syknęła, uciskając klatkę niemal z furją. - Nie koniec! - Wściekle uciskała oporne mięśnie i żebra. Rozmasować serce, mózg musi mieć tlen! Uratuję cię, powtarzała jak w transie. Reanimowała ją, dopóki zmęczone ręce nie odmówiły posłuszeństwa. Ellen, nie poddawaj się! Żyj!

- Kate... - Guy delikatnie dotknął jej ramienia.

- Nie poddawajmy się! Jeszcze nie...

- Kate. - Powoli odciągnął ją od stołu. - To już koniec - szepnął.

Ktoś wyciszył kardiomonitor. Przenikliwy pisk ucichł i nastąpiła martwa cisza. Kate odwróciła się i spostrzegła, że wszyscy na nią patrzą. Spojrzała na wykres.

Pokazywał linię ciągłą.

Drgnęła, gdy sanitariusz zasuwał zamek worka z ciałem Ellen. Nieprzyjemny zgrzyt poraził ją okrutną nieodwracalnością. Pakowanie do praktycznego worka tego, co jeszcze przed chwilą było żyjącą i oddychającą kobietą, wydało się nieprzyzwoite. Gdy sanitariusz pchnął nosze, by potoczyć je do kostnicy, Kate się odwróciła. Skrzypienie oddalało się, aż wreszcie ucichło. A ona nadal stała sama w pustej sali.

Przez łyzy spoglądała na walające się wszędzie zakrwawione gaziki i fiolki po lekach. Żałosne odpady po każdej szpitalnej śmierci. Za chwilę ktoś je uprzątnie i podda utylizacji. I już nie będzie śladu po tragedii, która właśnie się rozegrała.

Oczywiście nie licząc ciała w kostnicy. Oraz pytań. O tak, tych padnie całe mnóstwo. Ze strony rodziców Ellen. Ze strony szpitala. Zasypią ją i nie będzie umiała na nie odpowiedzieć. Ze znużeniem ściągnęła czepek i potrząsnęła głową. Gęste pasma ciemnych włosów opadły na ramiona, co przyniosło jej pewien rodzaj ulgi. Potrzebowała samotności - żeby spokojnie wszystko przemyśleć. I żeby zrozumieć. Odwróciła się, wreszcie gotowa, by wyjść.

W drzwiach czekał na nią Guy Santini. W wyrazie jego twarzy dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło.

Tymczasem on bez słowa podał jej kartę Ellen.

- EKG - zauważył. - Mówiłaś, że jest w porządku.

- Bo jest.

- Lepiej przyjrzyj się dokładniej. Skonsternowana wyjęła z koperty zapis pracy serca

Ellen. U góry widniała jej własna parafka, znak, że oglądała wykres. Teraz przez minutę wpatrywała się w dwanaście czarnych stożków i nie wierzyła własnym oczom. Zapis nie pozostawiał cienia wątpliwości. Nawet student trzeciego roku medycyny nie miałby problemu z postawieniem diagnozy.

- Dlatego umarła - podsumował sucho Guy.

- Ale... To przecież niemożliwe! - wykrztusiła. - Nie popełniłabym tak kardynalnego błędu.

Guy odwrócił wzrok.

- Guy, przecież mnie znasz! - zawołała. - Chyba nie myślisz, że przeoczyłabym coś takiego...

- Daj spokój! Przecież tu jest wszystko czarno na białym. Chryste, kobieto, podpisałaś się na tym gównie!

Mierzyli się wzrokiem, oboje zszokowani jego ostrym tonem.

- Przepraszam. - Odwrócił się i nerwowo przeczesał palcami włosy. - Boże! Dziewczyna miała atak serca, a my ją wzięliśmy pod nóż. - Spojrzał na nią zgnębiony. - Chciałbym się mylić, Kate, ale chyba ją zabiliśmy.

- Mamy tu do czynienia z ewidentnym błędem lekarskim.

Mecenas David Ransom zamknął teczkę Ellen O'Brien i spojrzał zza biurka na swoich klientów. Gdyby miał opisać Patricka i Mary O'Brienów, bez wahania wybrałby przymiotnik: szarzy. Siwe włosy, szare twarze, szare ubrania. Patrick miał na sobie znoszoną tweedową marynarkę, a Mary niemodną sukienkę w drobny biało - czarny wzorek, który zlewał się w kolor starej ścierki.

Patrick cały czas kręcił głową.

- To była nasza jedyna pociecha, mecenasie. Kochana dziewczyna. Czy pan wie, że nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów, nawet jak była mała? Leżała sobie w łóżeczku i uśmiechała się. Jak aniołek. Jak mały słodki... - Wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć zdania. Jego twarz pomarszczyła się i jeszcze bardziej poszarzała.

- Panie O'Brien - David przybrał łagodny ton - domyślam się, że nie jest to wielka pociecha, ale obiecuję, że dołożę wszelkich starań, żeby sprawa znalazła należyty finał.

Patrick potrząsnął głową.

- Tu nie chodzi o pieniądze, mecenasie - szepnął.

- Fakt, nie nadaję się już do pracy. Plecy, sam pan rozumie. Ale Ellie miała ubezpieczenie na życie i...

- Na jaką sumę opiewało?

- Pięćdziesiąt tysięcy - odezwała się Mary O'Brien. - Taka właśnie była nasza córka, proszę pana. Zawsze o nas pamiętała. - Jej profil, ostro zarysowany na tle okna, wyglądał jak odlany ze stali. W przeciwieństwie do męża wyplakała już wszystkie łzy. Siedziała wyprostowana, całą sobą wyrażając bezgraniczny ból. David doskonale wiedział, co przeżywa. Rozumiał jej żal. I gniew. Zwłaszcza gniew. Wyraźnie widział go w jej oczach.

Patrick żałośnie siąknął nosem, David sięgnął więc do szuflady i położył przed nim paczkę chusteczek.

- Może przełożymy naszą rozmowę na inny termin - zaproponował. - Gdy państwo poczują, że są gotowi.

Mary gwałtownie uniosła podbródek.

- Jesteśmy gotowi, panie Ransom. Proszę pytać. David spojrzął na Patricka, który w odpowiedzi posłał mu wąły uśmiech.

- Obawiam się, że niektóre z moich pytań mogą wydać się państwu niestosowne lub wręcz bezduszne. Niestety, jestem zmuszony je zadać.

- Proszę zaczynać - ponagliła go pani O'Brien.

- Zapewniam, że jestem zdecydowany wytoczyć szpitalowi proces i zrobię to niezwłocznie. Muszę jednak zapytać państwa o pewne szczegóły, które pomogą precyzyjnie oszacować rozmiar strat, które ponieśli państwo w związku ze śmiercią córki. Mam tu na myśli choćby utracone zarobki, które należałyby się państwa córce, gdyby żyła. Była pielęgniarką, tak?

- Tak, na oddziale położniczym.

- Czy wiedzą państwo, ile zarabiała?

- Nie, ale możemy to sprawdzić.

- Czy miała kogoś na utrzymaniu?

- Nie.

- Czy była zameżna?

Pani O'Brien z westchnieniem pokręciła głową.

- Ellen była naprawdę wspaniałą córką. I piękną kobietą. Do tego mądrą. Niestety, jeśli chodzi o mężczyzn, popełniała błędy.

- Błędy? - David zmarszczył brwi. Wzruszyła ramionami.

- Cóż, takie mamy czasy, mecenasie - odparła. - Kiedy kobieta osiągnie pewien wiek, cieszy się, że w ogóle kogoś ma... - Spojrzała na swoje kurczowo splecione dłonie i zamilkła.

David wyczuł, że poruszyli drażliwą kwestię. Prawdę powiedziawszy, życie uczuciowe zmarłej w ogóle go nie interesowało, jako że nie miało związku ze sprawą.

- Przyjrzyjmy się dokumentacji medycznej - zaproponował i sięgnął po kartę. - Wynika z niej, że córka cieszyła się doskonałym zdrowiem. Czy kiedykolwiek miała problemy kardiologiczne?

- Nigdy.

- Czy kiedykolwiek skarżyła się na ból w klatce piersiowej? Czy miewała problemy z oddychaniem?

- Panie Ransom, Ellie była świetną pływaczką. Długodystansową. Mogła pływać cały dzień i nawet nie dostawała zadyszki. Dlatego nie chce mi się wierzyć w tę historię z atakiem serca - oznajmiła pani O'Brien.

- Mimo to proszę zauważyć, że zapis EKG jednoznacznie potwierdza tę diagnozę. Gdyby przeprowadzono sekcję zwłok, mielibyśmy pewność. Jak rozumiem, w tej chwili jest to już niemożliwe.

Kobieta spojrzała wymownie na męża.

- To Patrick tak zdecydował. Nie mógł znieść myśli, że...

- Chyba już ją wystarczająco pocięli, prawda? - warknął przez zęby.

Zapadła cisza. Pani O'Brien przerwała ją pierwsza:

- Wsypiemy jej prochy do morza. Bardzo kochała morze. Już od dziecka...

Rozmowa dobiegła końca. Jeszcze tylko kondolencje i wymiana uścisków ręki na przypieczętowanie umowy. O'Brienowie ruszyli do drzwi, lecz zanim ostatecznie wyszli, Mary na moment przystanęła.

- Nam naprawdę nie chodzi o pieniądze, mecenasie - powtórzyła. - Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy zobaczymy złamany grosz. Oni nam zrujnowali życie, panie Ransom. Zabrali nam nasze jedyne dziecko. Modłę się, żeby dobry Bóg nie pozwolił im nigdy o tym zapomnieć.

David ze zrozumieniem skinął głową.

- Obiecuję państwu, że nie zapomnę.

Kiedy wyszli, odwrócił się do okna. Zaczepnął głęboko powietrza, a potem wolno je wypuścił, próbując uwolnić się od zbędnych emocji. Jednak nieprzyjemny ucisk w okolicy żołądka nie ustępował. Podobnie jak nie mijał smutek. Ani wściekłość. Chciał odsunąć je od siebie jak najdalej, bo mąciły mu trzeźwość myśli.

Przed sześcioma dniami lekarz popełnił karygodny błąd i w konsekwencji czterdziestjednoletnia Ellen O'Brien zmarła. Była tylko trzy lata starsza od niego.

Wrócił za biurko i ponownie sięgnął po teczkę z aktami. Przejrzał zawartość i spośród dokumentów nadesłanych przez szpital wybrał życiorysy dwojga lekarzy.

Opis osiągnięć zawodowych doktora Guya Santiniego był naprawdę imponujący. Czterdzieści osiem lat, chirurg po studiach na Harvardzie, obecnie u szczytu kariery. Pięć bitych stron z wypisanymi maczkiem tytułami artykułów i naukowych publikacji, z których większość dotyczy fizjologii wątroby. Raz wytoczono mu proces, przed ośmioma laty. Wygrał. Farciarz. Nieważne. W tym przypadku i tak nie jest głównym oskarżonym. David wziął na muszkę anestezjologa.

Uważnie przejrzał trzystronicowy życiorys doktor Katharine Chesne. Jej przygotowanie zawodowe robiło wrażenie. Zaczęła od licencjatu z chemii na Uniwersytecie Berkeley, by następnie zdobyć dyplom lekarza w akademii medycznej Johns Hopkins. Staż z anestezjologii odbyła w klinice akademii medycznej w San Francisco. Tam również zrobiła pierwszy stopień specjalizacji z intensywnej terapii. Mimo młodego wieku (ma dopiero trzydzieści lat), zdążyła opublikować sporo artykułów. Mniej więcej od roku pracuje w szpitalu Mid Pac jako anestezjolog. Do życiorysu nie dołączono fotografii, lecz David bez trudu wyobraził sobie stereotypową lekarzkę z włosami w nieładzie, fatalną figurą i twarzą kobyły - oczywiście szalenie inteligentną.

Odchylił się w fotelu i zmarszczył czoło. Lekarka z takim wykształceniem nie ma prawa wykazać tak wielkiej niekompetencji. Czy to możliwe, żeby pani doktor popełniła szkolny błąd?

Powoli zamknął teczkę. Nauczony smutnym doświadczeniem wiedział, że pozwana będzie próbowała się wybielić. Jednak bez względu na to, co przedstawi na swoją obronę, fakty pozostają faktami. I są dla niej bezlitosne: doktor Chesne skazała pacjentkę na pewną śmierć pod nożem. I musi ponieść konsekwencje.

Poniesie, mruknął David. Już jego w tym głowa, żeby się nie wywineła.

George Bettencourt pogardzał lekarzami. I właśnie dlatego swą pracę na stanowisku dyrektora generalnego szpitala Mid Pac uważał za wyjątkowo ciężką i niewdzięczną. Wszystko przez to, że musiał działać w porozumieniu z medykami. Mimo tych niesprzyjających warunków George, specjalista z zakresu zarządzania służbą zdrowia, szczycący się dyplomami prestiżowych uczelni, po dziesięciu latach pracy osiągnął to, o

czym jego poprzednicy nie śmieli nawet marzyć. Pod jego rządami podupadający Mid Pac zmienił się w świetnie prosperującą firmę. Mimo tak ewidentnego sukcesu codziennie musiał znosić krytykę ze strony bałwanów w białych fartuchach, którzy najwyraźniej uważali się za bogów. Nie dość, że o wszystko się czepiali, to jeszcze z niezadowoleniem kręcili nosami, gdy próbował wbić im do głów, że ich święta misja musi być podporządkowana jeszcze świętszym prawom wolnego rynku. Prawda była bowiem taka, że z ekonomicznego punktu widzenia ratowanie ludzkiego życia nie różni się niczym od handlowania linoleum. Zarówno jedno, jak i drugie ma przynosić zysk. Bettencourt to rozumiał, a te durnie nie. Przez swą ignorancję przyprawiali go o ból głowy, jak zresztą wszyscy idioci.

A już tych dwoje siedzących w tej chwili naprzeciw niego zafundowało mu migrenę, jakiej nie miał od lat.

Doktor Clarence Avery, siwy jak gołabek szef anestezjologów, nie stanowił zagrożenia. Był tak bojaźliwy, że lękał się własnego cienia. Nie było więc obawy, że nagle zacznie się stawiać. Odkąd jego żona dostała wylewu, snuł się po szpitalu jak błędny. Nie, ten na pewno pójdzie na współpracę, pocieszał się Bettencourt. Zwłaszcza gdy się mu powie, że chodzi o renomę szpitala.

Gorzej z tą babą, westchnął. Kiepsko ją znał, bo pracowała u nich od niedawna. Wystarczyło jednak, że weszła do gabinetu i od razu wyczuł, że będą z nią kłopoty. Jej oczy miały specyficzny wyraz, a mocno zaciśnięte zęby od razu nasunęły mu skojarzenie z rycerzem ruszającym na krucjatę. W sumie ta cała Chesne jest niebrzydka, i to mimo włosów w nieładzie oraz faktu, że szminki nie używa od miesięcy. Jej największym atutem są piękne zielone oczy. Wystarczyło jedno przenikliwe spojrzenie i mężczyzna natychmiast

zapominał, że reszta daleka jest od ideału. Babka niczego sobie, całkiem atrakcyjna.

Tym bardziej szkoda, że pokpiła sprawę. Nie ma wyjścia, musi wpisać ją po stronie strat. Miał cichą nadzieję, że nie okaże się wredną suką i nie pogorszy i tak niełatwej sytuacji.

Kate drgnęła, gdy tuż przed nią wylądowały dokumenty rzucone przez Bettencourta.

- Pani doktor, nasi prawnicy otrzymali dziś ten oto list - zaczął podniośle. - Został doręczony przez kuriera. Uważam, że powinna pani niezwłocznie zapoznać się z jego treścią.

Zerknęła na nagłówek i żołądek ścisnął jej się boleśnie: Uehara i Ransom, kancelaria prawna.

- Jedna z najlepszych w mieście - uściślił Bettencourt, a widząc jej zdumienie, dodał z irytacją: - Naszemu szpitalowi wytoczono proces, pani doktor. Zarzuca się nam popełnienie poważnych błędów lekarskich. Jakby tego było mało, David Ransom ma osobiście poprowadzić sprawę.

Zaschło jej w gardle. Wolno uniosła wzrok.

- Ale jak... jak oni mogą...

- To naprawdę nie wymaga większego zachodu. Zwykle potrzeba zaledwie dwóch osób. Prawnika i martwego pacjenta.

- Przecież już złożyłam obszerne wyjaśnienia. - Z nadzieją zwróciła się do Avery'ego: - Panie doktorze, pamięta pan, prawda? W zeszłym tygodniu powiedziałam panu...

- Tak, tak. Clarence wprowadził mnie w szczegóły tego niefortunnego zdarzenia - przerwał jej obcesowo Bettencourt.

- Zresztą nie ono jest przedmiotem naszej rozmowy.

- A co jest?

Bezpośredniość pytania na chwilę zbiła go z tropu. Co? Otóż to, że grozi nam proces i wypłata ogromnego odszkodowania. Milionowego, jeśli chce pani wiedzieć, pani doktor. Szpital, jako pani pracodawca, ponosi pełną odpowiedzialność za wyrządzone szkody. Nie ukrywam, że

akurat pieniądze nie są naszym największym zmartwieniem. - Dla zaznaczenia wagi swych słów zrobił znaczącą pauzę. - Jest nim dobre imię naszej placówki.

Słyszając jego złowieszczy ton, natychmiast odgadła, na co się zanosí, i z wrażenia zapomniała języka w ustach. Zamiast się bronić, czekała, aż padnie cios.

- Proces sądowy będzie miał fatalny wpływ na opinię o całym szpitalu - klarował tymczasem Bettencourt. - Jeśli do niego dojdzie, sprawą natychmiast zainteresują się media. I zrobi się szum, który odstraszy potencjalnych pacjentów. - Spojrzał na leżące na biurku dokumenty. - Jak rozumiem, pani dotychczasowa historia zawodowa jest zadowolająca...

- Zadowolająca? - powtórzyła z niedowierzaniem i spojrzała na Avery'ego. Jako szef najlepiej zna jej zawodową przeszłość. A ta jest bez zarzutu.

Avery skulił się w sobie. Jego wodniste niebieskie oczy wyraźnie umykały w bok.

- No cóż - wymamrotał - historia pracy pani doktor jest, w każdym razie jak dotąd, więcej niż zadowolająca. To znaczy...

Kate słuchała jego bełkotu i hamowała się, by nie krzyknąć: Na litość boską! Człowieku, broń mnie!

- Do tej pory nie było żadnych skarg - zakończył bez przekonania.

- Jednak postawiła nas pani w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji - zauważył Bettencourt. - Dlatego wolelibyśmy, żeby pani nazwisko nie było dłużej kojarzone z naszą placówką.

Zapadła cisza przerywana nerwowym pokasływaniem Avery'ego.

- Chcielibyśmy, żeby złożyła pani wypowiedzenie.

Stało się. Cios wreszcie padł i ugodził ją boleśnie.

- A jeśli odmówię?

- Proszę mi wierzyć, że w pani przebiegu pracy wypowiedzenie będzie wyglądało o wiele lepiej niż...

- Zwolnienie?

- Widzę, że się rozumiemy.

- Nie! - Podniosła wysoko głowę. Chłodna pewność siebie bijąca z oczu Bettencourta sprowokowała ją do oporu. Nigdy za nim nie przepadała. W tej chwili znieubiła go na dobre. - Pan mnie nie zrozumiał.

- Jest pani inteligentną kobietą, z pewnością więc rozumie pani, że nie mamy wyboru. Pani powrót na blok operacyjny jest niemożliwy.

- To niezgodne z prawem - oznajmił zniechęca Avery.

- Proszę? - Bettencourt zmarszczył brwi.

- Nie może pan z dnia na dzień wyrzucić z pracy doktor Chesne. Przecież jest lekarzem. Musi pan postępować zgodnie z określonymi procedurami. Jest komisja...

- Chyba nikt nie zna procedur lepiej niż ja! - zbeształ go Bettencourt. - Po prostu miałem nadzieję, że pani doktor rozumie powagę sytuacji i odpowiednio się zachowa. Moja propozycja naprawdę jest dla pani korzystna - podkreślił, zwracając się do Kate. - Najważniejsze, że nie zepsuje pani sobie historii pracy. W teczce personalnej znajdzie się jedynie pani wypowiedzenie oraz adnotacja, że umowa została rozwiązana za porozumieniem stron. W ciągu godziny moja sekretarka zredaguje odpowiedni dokument. Wystarczy, że go pani...

Kate niezwykle rzadko wpadała w złość. Z reguły trzymała nerwy na wodzy. Może dlatego dzika furia, w którą wpadła, nie tylko ją zaskoczyła, lecz również przeraziła.

- Proszę oszczędzać papier, panie Bettencourt - powiedziała ze złowrogim spokojem.

- Skoro tak pani zdecydowała... - wycodził przez zęby. - Kiedy odbędzie się najbliższe posiedzenie sądu koleżeńskiego? - rzucił w stronę Avery'ego.

- Zdaje się, że w... hm, w przyszły wtorek, ale...

- Proszę włączyć do porządku obrad sprawę Ellen O'Brien. PozwólmY pani doktor przedstawić własną wersję zdarzeń. Zostanie pani osądzona przez kolegów po fachu - oznajmił, piorunując ją wzrokiem.

- To sprawiedliwe rozwiązanie, nie uważa pani?

Powstrzymała się od riposty. Gdyby uległa pokusie i powiedziała Bettencourtowi prosto w twarz, co naprawdę o nim myśli, ostatecznie pogrzebałaby szansę na powrót do pracy w Mid Pac. A kto wie, czy nie w każdym innym szpitalu. Wystarczyło, by wszechmocny dyrektor przypiął jej łątkę „wichrzycielka”, i do końca życia miałaby zapaskudzone akta.

Rozstali się kulturalnie. Jak na osobę, której kariera właśnie legła w gruzach, Kate zachowała godny podziwu spokój. Na koniec spojrzała Bettencourtowi w oczy i wymieniła z nim oficjalny uścisk dłoni.

Utrzymała tę pozę do chwili, gdy znalazła się w windzie. Dopiero tam coś w niej pękło i pozwoliła sobie na chwilę słabości. Gdy na dole drzwi się rozsunęły, trzęsła się jak w febrze. Półprzytomnie ruszyła przed siebie, głucha na gwar i ruch panujący w głównym holu. Była mniej więcej w połowie drogi, gdy brutalna prawda uderzyła ją z całą siłą.

Boże, będę miała proces. Jeszcze nie przepracowałam roku i już mnie pozwali do sądu...

Do tej pory żyła w naiwnym przeświadczeniu, że procesy, podobnie jak inne życiowe katastrofy, przytrafiają się innym. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że zostanie posądzona o brak kompetencji. Brak kompetencji.

Nagle zrobiło jej się słabo. Aby nie upaść, oparła się o kabinę, w której wisiał płatny telefon. Jej wzrok padł na książkę telefoniczną. Gdyby wiedzieli, jak było naprawdę, westchnęła w myślach. Gdybym mogła im wszystko wyjaśnić...

Wystarczyło parę sekund, by odnaleźć właściwą stronę: Uehara i Ransom, kancelaria prawna. Biuro mieściło się przy Bishop Street.

Bez namysłu wyrwała kartkę, a potem, wiedzona desperacką nadzieją, pospiesznie wyszła z budynku.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Pan Ransom jest w tej chwili zajęty! Siwowłosa sekretarka miała stalowe spojrzenie i twarz jakby żywcem wyjętą ze słynnego obrazu „Amerykański gotyk”. Brakowało jej tylko wideł. Pewna swej wszechwładzy, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na Kate z taką miną, jakby chciała powiedzieć: No, tylko mi tu spróbuj wejść, intruzko!

- Ale ja muszę się z nim zobaczyć! - Kate nie dała się zbyć. - Mam ważne informacje związane ze sprawą...

- A z czym by innym!

- Chcę tylko wyjaśnić...

- Przecież mówię, że mecenas ma teraz ważne spotkanie z partnerami, więc nie może pani przyjąć.

Kate czuła, że jej irytacja za moment osiągnie punkt krytyczny. Pochyliła się nad biurkiem nadętej służbistki i wycedziła z nienaturalną uprzejmością:

- Spotkania nie trwają wiecznie.

- A to właśnie potrwa. - Sekretarka posłała jej lodowaty uśmiech.

- Skoro tak, poczekam.

- Pani doktor, niepotrzebnie marnuje pani czas. Pan Ransom nigdy nie rozmawia z pozwanymi. Jeśli pani sobie życzy, z przyjemnością odprowadzę panią... - Urwała i z wyraźnym niezadowoleniem spojrzała na telefon, który właśnie zadzwonił. - Uehara i Ransom - rzuciła do słuchawki. - Tak? Ależ naturalnie, panie Matheson! - Odwróciła się plecami do Kate. - Jedną chwileczkę, mam te akta przed sobą...

Coraz bardziej sfrustrowana Kate rozejrzała się po recepcji. Zwróciła uwagę na skórzaną sofę, ikebanę oraz rycinę przedstawiającą samuraja. Wszystko szalenie gustowne i bez wątplenia drogie. Najwyraźniej kancelaria odnosi

sukcesy. Kosztem lekarzy i ich krwawicy, stwierdziła z niesmakiem.

Naraz jej uwagę przykuły głosy dobiegające z korytarza. Dyskretnie zerknęła w tę stronę i spostrzegła małą armię młodych ludzi, opuszczających salę konferencyjną. Który z nich to Ransom? Przyjrzała się im uważnie, lecz uznała, że są zbyt młodzi jak na wspólników w poważnej kancelarii. Szybko sprawdziła, co robi sekretarka, a widząc, że wciąż rozmawia odwrócona do niej tyłem, uznała, że los daje jej niepowtarzalną szansę. Teraz albo nigdy, pomyślała.

Nie tracąc ani chwili, ruszyła w stronę uchylonych drzwi. Jednak w progu gwałtownie przystanęła, oślepiona jasnym światłem.

Przed sobą miała długi stół konferencyjny z teaku. Po jego obu stronach stały skórzane fotele, przez ogromne południowe okna wpadało ostre słoneczne światło, lejąc się wprost na głowę i ramiona mężczyzny siedzącego samotnie przy końcu stołu. W ciepłych promieniach jego jasne włosy lśniły jak złoto. Mężczyzna był tak pochłonięty studiowaniem dokumentów, że nawet nie zauważył, iż nie jest sam.

Kate przez chwilę słuchała cichego szelestu wertowanych stron. Zaraz jednak przypomniała sobie cel swej wizyty i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Pan Ransom?

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na nią bez większego zainteresowania.

- Tak? Przepraszam, kim pani jest?

- Jestem...

- Tak mi przykro, mecenasie! - Wzburzona sekretarka bez pardonu chwyciła Kate za ramię i syknęła: - Mówiłam przecież, że mecenas jest zajęty. Proszę...

- Ale ja chcę tylko porozmawiać!

- Czy pani naprawdę chce, żebym wezwała ochronę?

- A niech pani sobie wzywa! - Energicznie wyszarpnęła się z żelaznego uścisku.

- Proszę mnie nie prowokować, bo...

- Co tu się tutaj dzieje? - Podniesiony głos Ransoma przetoczył się przez pustą salę niczym grom, wprawiając obie kobiety w stan osłupienia. - Dowiem się wreszcie, kim pani jest? - zapytał, przesywając Kate surowym spojrzeniem.

- Nazywam się Kate... - Urwała, by po chwili zacząć silniejszym i pewniejszym tonem: - Jestem doktor Katherine Chesne. Cisza.

- Ach tak. - Ransom wrócił do przerwanej zajęcia. - Pani Pierce, proszę odprowadzić panią doktor do wyjścia.

- Ale ja chcę przedstawić panu fakty! - zawołała, robiąc uniki przed sekretarką, która z wprawą pasterskiego psa spychała ją w stronę drzwi. - A może pan wcale nie chce ich poznać? Czy właśnie tak działają prawnicy? - Ransom umyślnie ją ignorował. - Nic pana nie obchodzi, jak było naprawdę, tak? Nie chce pan usłyszeć, co się stało z Ellen O'Brien!

Gwałtownie uniósł głowę znad papierów.

- Niech pani zaczeka - powstrzymał sekretarkę.

- Zmieniłem zdanie. Pozwólmy pani doktor zostać.

- Ależ mecenasie, ta kobieta może być niebezpieczna! - ostrzegła go bezgranicznie zdumiona podwładna.

- Proszę się nie obawiać, poradzę sobie. A teraz niech nas pani zostawi samych.

Sekretarka wyszła, mamrocząc coś pod nosem.

- No cóż, pani doktor - zaczął, gdy zostali sami

- udało się pani dokonać niemożliwego i sforsować zaporę nie do przejścia, czyli panią Pierce. I co dalej? Będzie pani tak stała? - Wskazał jej fotel. - Proszę usiąść. Chyba że woli pani krzyczeć do mnie przez całą salę.

Jego ironia, zamiast pomóc w przełamaniu lodów, przyniosła odwrotny skutek. Kate poczuła się bardziej spięta, on sam zaś wydał jej się jeszcze bardziej nieprzystępny. Po chwili wahania zdecydowała się do niego podejść. Drażniło ją, że uważnie śledzi każdy jej krok. Zresztą sama też go obserwowała. Nie spodziewała się, że będzie tak młody. Przypuszczała, że prawnik o takiej renomie musi być osobą w co najmniej średnim wieku, tymczasem on chyba nie ma jeszcze czterdziestu lat. Wszystko inne poza wiekiem pasowało do stereotypowego wizerunku wziętego adwokata.

Elegancki ubiór, niczym transparent, krzyczał: elita. Wszystko, co na sobie miał, począwszy od dobrze skrojonego szarego garnituru w prążki po spinkę do krawata z emblematem Yale, świadczyło o jego wysokiej pozycji społecznej. Tylko mocna opalenizna i spłowiałe od słońca włosy nieco psuły idealny portret absolwenta prestiżowej uczelni. Wygląda jak surfer, który wydoroślał, oceniła. W każdym razie budową ciała przypominał miłośnika ślizgania się na falach. Wysoki i szczupły, miał długie ręce i efektowne szerokie barki. Daleki od klasycznego ideału nos i nieco cofnięty podbródek uchroniły go od etykiety mężczyzny super przystojnego. Jednak największe wrażenie wywarły na niej jego oczy. Chłodne, przenikliwie niebieskie. Z rodzaju tych, przed którymi niczego się nie ukryje. Ich przeszywające spojrzenie sprawiło, że ledwie się powstrzymała, by w obronnym geście nie skrzyżować rąk na piersi.

- Przyszedłam przedstawić panu fakty - powtórzyła.
- W pani subiektywnej ocenie?
- Nie, panie Ransom. Po prostu fakty.
- Proszę sobie darować. - Wyciągnął akta sprawy Ellen i oskarżycielsko rzucił je na biurko. - Tu są fakty. Wszystkie, których potrzebuję.

Żeby cię powiesić, takie było ukryte przesłanie jego słów.

- Myli się pan. To nie jest wszystko.

- Rozumiem, że chce pani uzupełnić luki w mojej wiedzy i podsunąć mi kilka brakujących szczegółów.

- Jego uśmiech wydał jej się złowrogi i groźny. Idealnie równe, białe i ostre zęby nasunęły jej skojarzenie ze szczękami rekina.

Oparła ręce na blacie stołu i pochyliwszy się w jego stronę, rzekła z naciskiem:

- Chcę powiedzieć panu prawdę.

- Naturalnie. - Nonszalancko rozparł się w fotelu, przybierając pozę świadcząca o śmiertelnym znudzeniu. - Niech mi pani coś powie - poprosił zniechęcony.

- Czy pani adwokat wie o tej wizycie?

- Adwokat? Nie mam żadnego adwokata...

- Błąd. Niech go pani sobie jak najszybciej wynajmie. Bo zareczam, że będzie pani bardzo potrzebny.

- Niekoniecznie. Proszę mi wierzyć, że ta sprawa to jedno wielkie nieporozumienie. Jeśli zechce pan mnie wysłuchać...

- Proszę zaczekać.

- Co pan wyprawia?

Położył na stole dyktafon i włączył nagrywanie.

- Nie chcę uronić żadnej ważnej informacji. Proszę opowiedzieć swoją wersję zdarzeń. Zamieniam się w słuch.

Zdenerwowana wyłączyła dyktafon.

- Nie składam przed panem zeznań. Niech pan to stąd zabiera!

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem. Ostatecznie dyktafon wrócił do teczki, co Kate potraktowała jak swoje małe zwycięstwo.

- Na czym to stanęliśmy? - zapytał uprzedzająco grzecznym tonem. - A tak, miała mi pani opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło. - Poprawił się w fotelu, jak widz przed spektaklem.

Ona jednak milczała. Teraz, gdy wreszcie dopięła swego, nie wiedziała, od czego zacząć.

- Jestem bardzo... skrupulatną osobą, panie Ransom - powiedziała wreszcie. - Nigdy nie działałam pochopnie. Może nie jestem genialna, ale za to bardzo solidna. I naprawdę nie popełniam szkolnych błędów.

Jego wysoko uniesione brwi były wystarczająco czytelnym komentarzem. Zignorowała to jednak i ciągnęła:

- Guy Santini przyjmował Ellen na oddział, ale to ja wydawałam polecenia związane z przygotowaniem do operacji i ja sprawdzałam wyniki badań. Między innymi zapis EKG. Była niedziela wieczór i technik miał coś pilnego do zrobienia, więc sama włączałam elektrokardiogram. Nie spieszyłam się. Wszystko robiłam dokładnie i spokojnie. Szczerze mówiąc, nawet dokładniej niż zwykle, bo przecież Ellen z nami pracowała. Doskonale pamiętam, jak omawiałam z nią wyniki badań. Chciała wiedzieć, czy wszystko jest w normie.

- I pani zapewniła ją, że tak.

- Oczywiście. Również EKG.

- Czyli popełniła pani błąd.

- Już panu mówiłam, że nie popełniam głupich błędów.

Tamtego wieczoru też się nie pomyliłam.

- Z akt sprawy wynika coś zupełnie innego...

- Akta pokazują nieprawdę. Musiała nastąpić pomyłka.

- Jest w nich zapis badania, z którego jasno wynika, że pacjentka miała atak serca.

- To nie jest ten zapis EKG, który widziałam! Zrobił mnie człowieka, który ma wątpliwości, czy się przypadkiem nie przesłyszał.

- Wynik badania EKG, który widziałam, był prawidłowy.

- Jakim więc cudem w karcie pacjentki znalazł się ten niewłaściwy?

- Ktoś musiał zamienić wyniki. To chyba oczywiste!
- Ktoś, czyli kto?
- Nie mam pojęcia.
- Rozumiem. Już słyszę, jak to zabrzmie w sądzie.
- Panie Ransom, gdybym popełniła błąd, pierwsza bym się do tego przyznała.
- Cóż za godna podziwu uczciwość.
- Pan naprawdę myśli, że byłabym w stanie wymyślić tak... kretyńską historię?

W odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

- Nie, przypuszczam, że byłoby panią stać na coś bardziej wiarygodnego. - Skinął zachęcająco głową, po czym rzucił z ironią: - Proszę mówić dalej. Umieram z ciekawości, żeby się wreszcie dowiedzieć, jak doszło do tej nieszczęsnej zamiany wyników. Jak rozumiem, ma pani na ten temat własną hipotezę, tak?

- Nie mam.
- Pani doktor, litości. Proszę nie sprawiać mi zawodu.
- Już mówiłam, że nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść.
- Niech pani przynajmniej coś zasugeruje.
- Może zrobili to kosmici! - rzekła zdenerwowana.
- Ciekawa koncepcja - zauważył poważnie. - Wróćmy jednak na ziemię. Czy jeśli pani woli, do realiów, które w tym przypadku przybrały formę produktu pochodzenia drzewnego, znanego powszechnie jako papier. - Otworzył kartę na feralnym zapisie pracy serca. - Proszę, niech się pani z tego wytłumaczy.

- Przecież panu mówię, że nie potrafię! Odchodzę od zmysłów, próbując to rozgryźć. W szpitalu każdego dnia robimy dziesiątki takich badań. Może ktoś z personelu pomylił karty. Albo nie opatrzył wydruku nazwiskiem pacjenta.

Pojęcia nie mam, jak to się stało, że akurat ten zapis trafił do karty Ellen.

- Podpisała się pani na nim. Przecież to pani inicjały.

- Nie, nie moje.

- W szpitalu pracuje jeszcze jedna osoba o inicjałach K.C., lekarz medycyny?

- To znaczy inicjały są rzeczywiście moje, ale to nie ja je napisałam.

- Mam rozumieć, że ktoś sfałszował pani podpis?

- Tak mi się wydaje. To znaczy, na to wygląda... - Zmieszana niecierpliwie odgarnęła niesforne pasemko włosów. Olimpijski spokój Ransoma wytrącał ją z równowagi. Na litość boską, czemu ten człowiek nic nie mówi? Dlaczego siedzi i patrzy na nią z politowaniem?

- No dobrze - odezwał się w końcu.

- Co dobrze?

- Od jak dawna wydaje się pani, że ktoś fałszuje pani podpis?

- Proszę nie robić ze mnie paranoiczki!

- Nie muszę, dobrze pani to wychodzi.

On się z niej śmieje. Wyczytała to z jego oczu. Co gorsza, nie może mieć do niego o to pretensji. Sama czuła, że jej wywody brzmią jak urojenia schizofrenika.

- W porządku - westchnął ugodowo. - Załóżmy, że mówi pani prawdę.

- Właśnie!

- Widzę dwa potencjalne motywy. Pierwszy to chęć skompromitowania pani. Ktoś postanowił panią zniszczyć...

- Absurd! Nie mam żadnych wrogów!

- Drugi to próba zatuszowania morderstwa - dokończył, a widząc jej zdumienie, uśmiechnął się z irytującą wyższością. - Ponieważ ta druga ewentualność nam obojgu wydaje się niedorzeczna, nie pozostaje mi nic innego, jak uznać, że pani

kłamie. - Przysunął się do niej, a jego głos niespodziewanie przybrał poufały, niemal intymny ton. Wilk postanowił przywdziać owczą skórę, należy mieć się na baczności. - No dalej, pani doktor. Zagrajmy w otwarte karty. Niech pani to wreszcie z siebie wyrzuci. Niech mi pani powie, co się naprawdę stało w sali operacyjnej? Chirurgowi zadrżała ręka? Przez pomyłkę podała pani nie ten środek co potrzeba?

- Nic podobnego nie miało miejsca!
- Za dużo głupiego jasia, za mało tlenu?
- Nie popełniliśmy żadnych błędów!
- Więc dlaczego Ellen O'Brien nie żyje?

Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji z jego strony. Lekko oszołomiona i zaskoczona, spojrzała mu w oczy. Ich błękit ją hipnotyzował. Nagle odniosła wrażenie, że przeskoczyła między nimi jakaś iskra. Zszokowana po raz pierwszy pomyślała o tym, że ma do czynienia z atrakcyjnym mężczyzną. Może nawet zbyt atrakcyjnym, sądząc po tym, jak na niego reaguje. Uznała, że sytuacja staje się groźna.

- Doczekam się jakiejś odpowiedzi? - rzucił zaczepnie. Zachowywał się w tak, jakby fakt, że ma nad nią przewagę, sprawiał mu przyjemność. - Może woli pani, żebym to ja powiedział, co się wydarzyło? W niedzielę drugiego kwietnia Ellen O'Brien została przyjęta do szpitala w związku z planowaną operacją usunięcia woreczka żółciowego. Jako anestezjolog zleciła pani wykonanie rutynowych badań, w tym EKG. Obejrzała je pani przed końcem dyżuru. Być może spieszyła się pani, żeby wyjść. W końcu był niedzielny wieczór. Może była pani umówiona na randkę. Mniejsza o powód pośpiechu, ważne, że popełniła pani tragiczny w skutkach błąd. Zinterpretowała pani krzywą EKG jako prawidłową i podpisała się pani na wydruku. Następnie wyszła pani do domu, nie mając pojęcia o tym, że pacjentka właśnie przechodzi atak serca.

- Ellen nie miała żadnych objawów, które mogłyby na to wskazywać - broniła się. - Nie skarżyła się na ból w obrębie klatki piersiowej...

- A jednak w notatkach pielęgniarki pojawia się wzmianka - szybko odnalazł odpowiednią stronę - że pacjentka uskarża się na bóle brzucha...

- To był ten nieszczęsny woreczek.

- A może serce? Tak czy owak, kolejne zdarzenia są bezsporne. Razem z doktorem Santinim położyliście pacjentkę na stole. Szybko okazało się, że narkoza plus stres to zbyt wiele dla jej osłabionego serca. Więc się zatrzymało. A wy nie byliście w stanie pobudzić go do pracy. - Zrobił dramatyczną pauzę. - Koniec historii, pani doktor. Wasza pacjentka zeszła.

- To nie tak! Ja naprawdę pamiętam EKG, na którym się podpisałam. Było normalne.

- Może warto wrócić do studenckich podręczników i przypomnieć sobie rozdział o odczytywaniu krzywej EKG.

- Nie potrzebuję podręczników. Wiem, co jest normalne! - Nie poznawała własnego głosu odbijającego się echem w przestronnym pomieszczeniu.

Na Ransomie jej wystąpienie nie zrobiło większego wrażenia. Wyglądał wręcz na znudzonego.

- Niech się pani zastanowi - westchnął - czy nie byłoby lepiej przyznać się do błędu?

- Lepiej dla kogo?

- Dla wszystkich. Niech pani rozważy zawarcie ugody. To najszybszy, najprostszy i w miarę bezbolesny sposób zakończenia tej sprawy.

- Ugoda? Przecież to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do błędu, którego nie popełniłam!

- Chce pani procesu? - rzucił, nie panując dłużej nad zniecierpliwieniem. - Proszę bardzo. Jednak najpierw opowiem pani, jak pracuję. Jeśli już zdecyduję się prowadzić

sprawę, nie uznaję półśrodków. Proszę mi wierzyć, że jeśli w sądzie będę musiał rozerwać panią na strzępy, zrobię to! A kiedy z panią skończę, będzie pani żałowała, że w ogóle przyszło pani do głowy podjąć tę żalosną walkę w obronie honoru. Bo mówiąc szczerze, nie ma pani najmniejszych szans. Prędzej piekło zamarznie, niż pani ze mną wygra.

Miała wielką ochotę złapać go za klapy marynarki i wykrzyknąć mu prosto w twarz, że w całym tym gadaniu o ugodach i procesach ignoruje się jej uczucia i żal po śmierci Ellen. Jednak nagle gniew, a wraz z nim siła, uszły z niej, zostawiając ją w stanie psychicznego i fizycznego wyczerpania.

- Nawet pan nie wie, ile bym dała, żeby móc przyznać się do błędu - wyznała cicho, zapadając się w fotel. - Chciałabym oznajmić: jestem winna i gotowa ponieść konsekwencje. Bóg jeden wie, jak bardzo bym chciała to powiedzieć. Od tygodnia nie myślę o niczym innym tylko o tym, jak to się mogło stać. Ellen mi ufała, a ja pozwoliłam jej umrzeć. Po raz pierwszy żałuję, że zostałam lekarzem. Naprawdę kocham swoją pracę. Nie ma pan pojęcia, jak mi było ciężko, jak wielką zapłaciłam cenę, żeby osiągnąć to, co osiągnęłam. I nagle, dosłownie z dnia na dzień, mogę wszystko stracić. - Umilkła i opuściła głowę. - Nawet nie wiem, czy po tym doświadczeniu będę w stanie wykonywać swój zawód...

David przyglądał jej się w milczeniu i jednocześnie toczył wewnętrzną walkę z emocjami, które nie wiedzieć czemu się w nim obudziły. Uważał, że zna się na ludziach. Z reguły wystarczyło, że spojrzał człowiekowi w oczy i od razu wiedział, czy ten mówi prawdę. Od kilku minut obserwował mowę ciała pani doktor. Czekał na podświadomy sygnał, znak, który zdradzi, że kłamie jak z nut. Tymczasem ona ani razu nie uciekła przed nim spojrzeniem. Przez całe swoje emocjonalne wystąpienie utrzymywała kontakt wzrokowy. Z

jej pięknych oczu, które kojarzyły mu się ze szmaragdami, była absolutna szczerść.

Porównanie do szmaragdów lekko go zaniepokoiło. Sytuacja nie sprzyjała szukaniu poetyckich metafor ani w ogóle roztrząsaniu kwestii nie mających związku ze sprawą. Tymczasem, niejako wbrew własnej woli, nagle zaczął myśleć o tym, że jest sam na sam z bardzo piękną kobietą. Prosta szara sukienka tej kobiety pozwalała odgadnąć, iż pod jedwabistym materiałem kryją się apetyczne krągłości. Twarz miała ładną, aczkolwiek nie na tyle, by zdobić okładkę kolorowego pisma, głównie z powodu zbyt mocno zarysowanej szczęki i wysokiego czoła. Za to jej włosy były przepiękne. Gęste, falujące, o odcieniu wpadającym w mahoń, sięgały łopatek i nie dawały się łatwo ujarzmić. Nie, doktor Chesne z pewnością nie jest klasyczną pięknoscia. Ale też klasyczne piękności nigdy go nie pociągały.

Zdenerwował się w końcu nie tylko na siebie, lecz także na nią, że prowokuje go do takich rozmyślań. Nie był żółtodziobem tuż po studiach. Miał wystarczająco dużo lat i życiowej mądrości, by trzymać na wodzy wyobraźnię i nie pozwalać sobie na idiotyczne zgadywanki w rodzaju: co też ona tam ma pod tą sukienką...

Ostentacyjnie spojrział na zegarek, po czym wstał.

- Muszę wysłuchać zeznań, a widzę, że już jestem spóźniony - oświadczył. - Pozwoli więc pani, że się pożegnám.

Doszedł do połowy sali, gdy usłyszał ciche:

- Panie Ransom? Zirytowany spojrział za siebie.

- Słucham?

- Ja wiem, że to brzmi niedorzecznie i że nie ma powodu, żeby pan mi wierzył. Ale przysięgam, że mówię prawdę.

Wyczuł, że desperacko szuka potwierdzenia, iż zdołała się przebić przez grubą skorupę jego sceptycyzmu. Problem w

tym, że sam nie wiedział, czy jej wierzy. Złościło go niepomiarowo, że intuicja, dzięki której wyczuwał konfabulacje, niespodziewanie go zawiodła. A wszystko z powodu szmaragdowych oczu.

- Moja wiara bądź niewiara nie ma tu nic do rzeczy - odparł sucho. - Proszę nie tracić na mnie czasu, pani doktor. To nie mnie ma pani przekonać do swoich racji, ale sąd. - Nie było jego intencją, by zabrzmiało to tak oficjalnie i chłodno, ale stało się. Sposób, w jaki się wzdrygnęła, zdradził, że poczuła się dotknięta.

- Nie mogę więc nic powiedzieć ani zrobić...

- Absolutnie nic.

- Miałam nadzieję, że da się pan przekonać.

- Skoro tak, to musi się pani jeszcze sporo nauczyć o prawnikach. Miłego dnia, pani doktor. - Energicznie ruszył do drzwi. - Do zobaczenia w sądzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Nie ma pani najmniejszych szans. Prędzej piekło zamarznie, niż pani ze mną wygra”.

Siedząc samotnie w szpitalnym barku, bezustannie powtarzała w myślach te słowa. Ciekawe w jakiej temperaturze zamarza piekło? I ile potrzeba na to czasu?

A ile czasu będzie potrzebował Ransom, żeby zniszczyć ją w sądzie?

Do niedawna doskonale radziła w sobie w momentach krytycznych. Gdy życie ludzkie wisiało na włosku, nie załamywała rąk i wiedziała, co ma zrobić. I robiła to. W sterylnych ścianach sali operacyjnej czuła się bezpiecznie, bo miała kontrolę nad sytuacją.

Co innego w sali sądowej, która była dla niej obcym terytorium. Tu króluje David Ransom. To on dyktuje warunki, ona zaś jest bezradna i bezbronna jak pacjent na stole operacyjnym. Jak ma odeprzeć atak ze strony człowieka, który zbudował swoją potęgę, bezwzględnie łamiąc kariery lekarzy?

Dotąd nie odczuwała lęku przed mężczyznami. W końcu ramię w ramię zdobywała z nimi zawodowe szlify, a potem pracowała w zespole. David Ransom był pierwszym, przy którym poczuła się onieśmielona. Gdyby chociaż był niski albo łysy. Albo gdyby pokazał, że jak każdy ma słabości. Ale nie. Robiło jej się niedobrze na samą myśl, że w sądzie znów będzie musiała spojrzeć w lodowato zimne niebieskie oczy.

- Coś mi się zdaje, że potrzebujesz towarzystwa - stwierdził znajomy głos.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Guya Santiniego, który popatrywał na nią dobrotliwie zza szkieł grubych jak denka od butelek.

- Cześć! - Apatycznie skinęła głową.

- Co dobrego, Kate? - zagadnął.

- Poza tym, że jestem bezrobotna? - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Świetnie.

- Słyszałem, że stary wycofał cię z bloku operacyjnego. Sorki.

- Powiem ci, że nawet nie mam do niego żalu. Wiadomo, że poczciwina Avery bez szemrania wykonuje polecenia.

- Bettencourta?

- A czyje? Nasz pan dyrektor spisał mnie na straty. Również finansowe.

- Tak to już jest, jak zasrani spece od zarządzania dorwą się do koryta. Jedyne, o czym potrafią gadać, to zyski i straty. Dam głowę, że gdyby Bettencourt mógł zarabiać na złotych zębach, każdy oddział miałby na stanie dentystyczne szczypce.

- I jeszcze kazałby pacjentom płacić za ekstrakcję. Nawet się nie roześmiali.

- Nie wiem, czy ci to w czymś pomoże, ale i tak ci powiem, że w sądzie nie będziesz sama. Mnie też pozwali.

- O rany, Guy, przykro mi...

- Daj spokój. - Wzruszył ramionami. - To dla mnie nie pierwszozna. Miałem już proces. Uwierz mi, że tylko za pierwszym razem człowiek tak bardzo to przeżywa.

- A co się wtedy stało?

- Wypadek. Facet miał pękniętą śledzionę. Na ratunek było za późno. Jak mi doręczyli pozew, wpadłem w taki dołek, że miałem ochotę wyskoczyć z okna. Susan chciała mnie zamknąć w psychiatryku. Jak widzisz, przetrwałem. I ty też przetrwasz, jeśli będziesz pamiętała, że to nie ciebie atakują, tylko twoją pracę.

- Jakoś nie widzę różnicy.

- I właśnie na tym polega twój problem. Nie potrafisz oddzielić życia prywatnego od zawodowego. Oboje wiemy, ile godzin spędzasz w szpitalu. Do diabła, czasem mi się zdaje, że

ty tu mieszkasz. Nie mówię, że pełne zaangażowanie w pracę to wada. Trzeba jednak uważać, żeby nie przeholować.

Najbardziej bolało ją, że Guy ma rację. Często zostawała po godzinach. Być może było jej to potrzebne, bo pozwalało zapomnieć o nieudanym życiu osobistym.

To nieprawda, że żyję tylko pracą - broniła się. ostatnio znowu zaczęłam chodzić na randki. Najwyższy czas. Można wiedzieć, z kim? W zeszłym tygodniu spotkałam się z Elliotem.

- Tym kolesiem od komputerów? - westchnął Guy. Wspomniany Elliot nie mógł uchodzić za wzór męskiej urody: przy wzroście metr osiemdziesiąt parę ważył góra sześćdziesiąt kilogramów i był nieco podobny do Pee - Wee Hermana. - Wyobrażam sobie, jak się ubawiłaś.

- Wiesz co? Właściwie to nawet było fajnie. Po kolacji zaprosił mnie do siebie.

- Poważnie?

- I poszłam.

- No nie żartuj!

- Chciał mi pokazać swój najnowszy elektroniczny gadżet.

- I co było dalej? - Guy przysunął się bliżej.

- Słuchaliśmy kompaktów. Graliśmy w gry komputerowe.

- I?

- Po ośmiu rundach Zorka poszłam do domu. Guy z jękiem zawodu osunął się na krzesło.

- Elliot Lafferty, ostatni z gorących kochanków. Moim zdaniem powinnaś poszukać kogoś na forach randkowych. Jak chcesz, to napiszę twój post. Inteligentna i atrakcyjna pozna...

- Tatuś! - Radosny dziecięcy okrzyk przebił się przez gwar rozmów.

Guy obrócił się, słysząc znajomy tupot małych stóp.

- Patrzcie, kogo tu mamy! - zawołał. - Przecież to mój Will! - Poderwał się z krzesła i chwyciwszy swego pięcioletniego synka, podrzucił go do góry. Chłopczyk był tak lekki, że przez chwilę frunął w powietrzu jak ptak, by w końcu wylądować w ramionach ojca.

- Ty wiesz, szkrabie, że ja tu na ciebie czekam? - zapytał go Guy. - Co tak długo?

- Mama późno wróciła.

- Znowu?

- Adele była wściekła - szepnął mu Will na ucho.

- Umówiła się z chłopakiem do kina i nie mogła wyjść.

- Ojoj! To ci obciach! A my przecież nie chcemy, żeby Adele była na nas zła, prawda? - Guy spojrzał pytająco na swoją żonę Susan, która szła w ich stronę.

- Czyżbyśmy wykończyli kolejną opiekunkę?

- Przysięgam, że to wina pełni księżyca! - Susan ze śmiechem odgarnęła z oczu pasmo kręconych rudych włosów.

- Wszystkim moim pacjentom kompletnie dziś odbiło. Nie mogłam się od nich uwolnić. Dosłownie nie chcieli wychodzić z gabinetu.

- A zarzekała się, że wraca tylko na pół etatu - mruknął Guy, przysuwając się do Kate. - Dobrze sobie! Zgadnij, kogo co noc wzywają do nagłych przypadków?

- Ty się lepiej od razu przyznaj, że brakuje ci domowych obiadków i wyprasowanych koszul. - Susan czule poklepała męża po policzku. Był to jeden z typowo macierzyńskich gestów, z których Susan Santini była powszechnie znana. „Moja kwoczka”, powiedział o niej kiedyś Guy. To będące wyrazem czułości określenie pasowało do niej jak ulał. Jej piękno nie wiązało się z wyglądem zewnętrznym, miała bowiem przeciętnej urody piegowatą twarz i masywną budowę ciała żony farmera. Piękno Susan Santini kryło się w

jej łagodnym uśmiechu, którym właśnie obdarzyła swego małego synka.

- Tato! - Will kręcił się wokół nóg Guya niczym elf. - Podrzucić mnie jeszcze raz.

- A co ja jestem, wyrzutnia raketowa?

- Podrzucić! Jeszcze raz!

- Później, Will - przystopowała go Susan. - Musimy odebrać samochód taty, zanim zamkną garaż.

- Proszę!

- Słyszałaś? Powiedział magiczne słowo! - rozpromienił się Guy i rycząc jak lew, porwał chłopca na ręce i podrzucił do samego sufitu.

Susan posłała Kate cierpiętnicze spojrzenie.

- Tak naprawdę mam dwoje dzieci - westchnęła z rezygnacją. - Tyle że jedno waży sto dwadzieścia kilo.

- Wszystko słyszałem. - Guy otoczył żonę ramieniem. - Za karę, moja pani, musisz odwieźć mnie do domu.

- Tyran! Masz ochotę na coś z McDonalda?

- Uhm. Chyba wiem, komu się dziś nie chce gotować. - Guy pomachał Kate i ruszył ze swą rodziną do wyjścia. Słyszała, jak pyta synka, co ma ochotę zjeść.

Odprowadzała ich tęsknym wzrokiem. Z łatwością wyobraziła sobie, jak będzie wyglądał ich wieczór. Najpierw McDonald, gdzie śmiejąc się i żartując, będą na zmianę podtykali jedzenie Williamowi, który nigdy nie był głodny. Potem wrócą do domu i położą go spać. Guy pewnie opowie mu bajkę na dobranoc, a on złapie go za szyję swymi chudymi rączkami i da mu buziaka.

A ja do czego mam wracać? To pustych ścian? - pomyślała ze smutkiem, machając do Guya. Szczęściarzu, westchnęła, czując lekkie ukłucie zazdrości.

Po wyjściu z biura David pojechał w górę Nuuanu Avenue i skręcił w gruntową drogę wiodącą na stary cmentarz. Zaparkował samochód w cieniu rozłożystego figowca i stąpając po świeżo skoszonej trawie, rozpoczął wędrówkę pomiędzy marmurowymi nagrobkami, z których spoglądały na niego groteskowe anioły strzegące wiecznego spokoju Dole'ow, Bighamów i Cooke'ów. Minąwszy starszą część, przeszedł do nowych kwater, w których miejsce tradycyjnych pomników zajęły wykonane z brązu tablice położone wprost na trawie. Tam zatrzymał się pod okazałym drzewem i spojrzął w dół.

Noah Ransom Żył lat siedem

Miejsce było wyjątkowo malownicze, usytuowane na łagodnie opadającym stoku, z którego roztaczał się widok na miasto. Zawsze wiał tu lekki wiatr, przylatujący albo od strony morza, albo - doliny. David nawet z zamkniętymi oczami potrafił odgadnąć, z której strony wieje; poznawał to po zapachu.

Nie on wybierał to miejsce. Nawet nie pamiętał, kto zdecydował, że Noah ma spocząć właśnie tutaj. A może była to kwestia przypadku, bo akurat ta kwatery była wolna. Kto w obliczu śmierci dziecka ma głowę myśleć o widokach, powiewach wiatru albo drzewach?

Pochylił się i zmiotł ręką liście z tablicy. Potem się wyprostował i milcząc stał przy swoim synu. Był tak skupiony, że ledwie usłyszał szelest długiej spódnicy i rytmiczne głuchoe stukanie laski.

- A więc jesteś, Davidzie - odezwał się głos za jego plecami.

Odwrócił się i ujrzał wysoką siwowłosą kobietę, która powoli kuśtykała w jego stronę.

- Nie powinnaś tu przychodzić, mamó. Masz zwichniętą nogę i dobrze wiesz, że nie wolno ci jej nadwerężyć - odparł.

- Zobaczyłam cię z kuchni - powiedziała, wskazując laską biały dom sąsiadujący z cmentarzem - i pomyślałam sobie, że pójdę się przywitać. Przecież nie będę w nieskończoność czekała, aż się domyślisz, że trzeba mnie odwiedzić.

- Przepraszam - mruknął, całując ją w policzek. - Ostatnio mam mnóstwo pracy. Ale naprawdę chciałem dziś do ciebie zajrzeć.

- Pewnie - burknęła i spojrzała na grób. Chłodny błękit oczu był tylko jedną spośród wielu cech, które po niej odziedziczył. Mimo skończonych sześćdziesięciu ośmiu lat Jinx Ransom miała równie przenikliwe spojrzenie jak on. - O niektórych rocznicach lepiej zapomnieć - stwierdziła półgłosem.

David nie zareagował.

- Pamiętasz, Noah zawsze mówił, że chce mieć brata. Zastanów się, czy aby nie pora spełnić jego prośbę.

- I co w związku z tym proponujesz? - Zaryzykował słaby uśmiech.

- Coś, co jest naturalną kolejną rzeczą.

- A nie uważasz, że powinienem najpierw się ożenić?

- To chyba oczywiste! Powiedz, masz kogoś na oku? - zapytała z nadzieją.

- Absolutnie nikogo.

- Tak myślałam - przyznała, nie kryjąc zawodu, i wzięwszy go za ramię, westchnęła. - Chodź, synu. Skoro nie czeka na ciebie żadna piękna kobieta, to przynajmniej napij się kawy ze starą matką.

Poszli w stronę domu. Grunt był nierówny, więc Jinx posuwała się wolno i ostrożnie. David klika razy proponował, by wzięła go pod ramię, ale ona uparcie odmawiała. Nie dziwiło go to, bo matka nigdy nie słuchała lekarzy, a kontuzji nabawiła się, grając w tenisa.

Drzwi otworzyła im Gracie, która mieszkała z Jinx i pomagała jej w domu.

- No wreszcie jesteś! - zawołała z wyrzutem, a zwróciwszy się do Davida, dodała tonem skargi: - Uprzedzam, że nie mam żadnej kontroli nad tą kobietą. Żadnej!

- A kto ma? - odparł, wzruszając ramionami. Razem z matką usiadł przy kuchennym stole, obok okna, z którego widać było cmentarz.

- Co za szkoda, że przycięli drzewa - westchnęła.

- Przecież musieli to zrobić - zauważyła Gracie, nalewając kawę. - Inaczej trawa by nie rosła.

- Ale zepsuli nam widok.

- Nie przesadzaj z tym widokiem - obruszył się David, odsuwając na bok liść paproci, który łaskotał go w twarz. Jego matka hodowała taką ilość kwiatów, że kuchnia powoli zmieniała się w dżunglę. - Nie rozumiem, jak można dzień w dzień patrzeć na cmentarz.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła. - Kiedy wyglądam przez okno, przypominają mi się starzy przyjaciele. Pani Goto, która leży pod żywopełtem. Pan Carvalho pochowany pod złotokapem. A na górcie jest nasz Noah. Dla mnie oni wszyscy po prostu śpią.

- Mamo, na litość boską, daj spokój!

- Wiesz, synu, na czym polega twój problem? Na tym, że nie uporałeś się z lękiem przed śmiercią. Dopóki tego nie zrobisz, nie uporządkujesz sobie życia.

- Jakież sugestie, jak to zrobić?

- Jeszcze raz spróbuj zawałczyć o nieśmiertelność. Zafunduj sobie drugie dziecko.

- Póki co nie zamierzam się żenić, więc proponuję zmianę tematu.

Jinx zareagowała tak, jak zwykła była reagować, gdy syn występował z jakąś niedorzeczną prośbą. Zignorowała go.

- Zdaje się, że w zeszłym roku poznałeś na Maui jakąś dziewczynę. Co się z nią stało?

- Wyszła za męż. Za innego.

- Co za pech!

- Też facetowi współczuję.

- Jesteś niemożliwy! Kiedy ty wreszcie dorośniesz?!

Uśmiechnął się i ostrożnie upił łyk smolisto czarnej kawy, tak mocnej, że o mało się nie zakrztusił. Był to jeszcze jeden z powodów, dla których unikał tych wizyt. Nie dość, że matka potrafiła obudzić w nim wspomnienia, od których wolał uciec, to jeszcze musiał pić okropną ciecz, którą Gracie ośmielała się nazywać kawą.

- Jak minął dzień, mamó? - zagadnął.

- Z minuty na minutę coraz gorzej.

- Dolać ci kawy? - zapytała Gracie.

- Nie! - Gwałtownie zasłonił ręką filiżankę, nad którą groźnie zawisł dzióbek dzbanka. Jego żywiołowa reakcja zdumiała Gracie, więc szybko dodał: - Dziękuję bardzo, już mi wystarczy.

- Strasznie jesteś nerwowy - zauważyła Jinx. - Masz jakieś problemy? Oczywiście poza brakiem seksu.

- Po prostu mam więcej pracy niż zwykle. Hiro wciąż ma kłopoty z kręgosłupem, więc cała kancelaria jest na mojej głowie.

- Coś mi się zdaje, że praca nie daje ci już takiej satysfakcji jak kiedyś. Chyba było ci lepiej w prokuraturze. Odkąd poszedłeś na swoje, strasznie się wszystkim przejmujesz.

- Bo jest czym. W końcu to poważne sprawy.

- Pozywanie lekarzy? Ha! Dla mnie to jeszcze jeden sposób, żeby się szybko dorobić.

- Mój lekarz też miał raz proces - przypomniała sobie Gracie. - Straszne, co o nim wygadywali. A to przecież taki porządny człowiek, prawdziwy anioł...

- Nikt nie jest święty - stwierdził ponuro. - A już na pewno żaden lekarz - dodał, błędząc nieobecny wzrokiem gdzieś za oknem.

Znowu wrócił myślami do sprawy O'Brien. Tak naprawdę miał ją w głowie przez cały czas. Nie tyle zresztą samą sprawę, co zielonooką kłamliwą doktor Chesne. Wiedział, że w sądzie będzie dla niego łatwym celem i zamierzał to wykorzystać. Miał zwyczaj przechadzać się po sali w czasie rozprawy, zataczając kręgi wokół podsądnego. W miarę zadawania pytań krąg się zacieśniał. Gdy przychodził czas na ostateczny cios, z reguły stał już twarzą w twarz z ofiarą. Nagle wyobraził sobie, jak to będzie wyglądało w przypadku doktor Chesne, i poczuł irracjonalny lęk. Przestraszył się, że będzie musiał ją obnażyć. Zniszczyć. Na tym polega jego praca. Dotąd był z siebie dumny, że jest tak dobry w tym, co robi. Z przymusem dopił kawę i wstał.

- Muszę jechać - oznajmił i wstał, w ostatniej chwili uchylając się przed wiszącą doniczką z paprocią. - Zadzwoń do ciebie, mamó.

- Kiedy? W przyszłym roku? - prychnęła.

Nie dał się sprowokować, jedynie z sympatią poklepał Gracie po plecach i szepnął jej do ucha:

- Powodzenia! Nie dawaj się. Nie pozwól, żeby doprowadziła cię do szału.

- Ja! Ja ją doprowadzam do szału? - obruszyła się Jinx. - Wolne żarty.

Gracie odprowadziła go do drzwi, a potem patrzyła, jak idzie przez cmentarz do samochodu.

- Biedny człowiek, taki nieszczęśliwy - westchnęła, wróciwszy do kuchni. - Gdyby udało mu się zapomnieć...

- On nie zapomni - odparła smutno Jinx. - Jest taki sam jak jego ojciec. Będzie się z tym zmagał do końca życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Motorówka z prochami Ellen O'Brien wypływała w morze, zmagając się z silnym wiatrem. Za chwilę doczesne szczątki zmarłej zostaną rozsypane nad wodami, w których powoli chowało się słońce. Tak oto przedwcześnie zgasłe życie powraca tam, skąd wzięło swój początek.

Pastor sprawujący ostatnią posługę rzucił na fale wieniec z żółtych kwiatów. Gdy uniesione przez prąd zaczęły oddalać się od pomostu, symbolizując nieuchronne i ostateczne rozstanie, Patrick O'Brien nie potrafił powstrzymać łez.

Jego rozdzierający szloch poszybował z wiatrem ponad głowami żałobników i dotarł na sam skraj pomostu, gdzie obok podskakujących na wysokiej fali łodzi rybackich stała Kate. Samotna i niezauważona, trzymała się z dala od pozostałych uczestników ceremonii i bezustannie zadawała sobie pytanie, po co właściwie tu przyszła. Czy miał być to rodzaj okrutnej kary, którą sama sobie wymierzyła? Czy może wyraz żalu? Nie umiała odpowiedzieć na te pytania. Wiedziała tylko, że jakiś wewnętrzny głos kazał jej tu się pojawić.

Pośród tych, którzy przyszli pożegnać Ellen, dostrzegła wiele znajomych twarzy. Pielęgniarki ze szpitala zbiły się w grupkę, zjednoczone w cichej żałobie. Obok nich stała para ginekologów sprawiających wrażenie, jakby czuli się nieswojo bez fartuchów. Clarence Avery pochylił nisko głowę, a jego targane wiatrem białe włosy przypominały dmuchawiec. Pojawił się nawet George Bettencourt. Stał sam i miał nieprzeniknioną minę, która upodobniła jego twarz do woskowej maski. Dla tych ludzi szpital był czymś więcej niż miejscem pracy. Często pełnił funkcję drugiego domu, koledzy zaś byli jakby drugą rodziną. Lekarze i pielęgniarki wzajemnie asystowali sobie w czasie porodów, a czasem w chwili śmierci. Ellen była przy nich, gdy rodziły się ich dzieci. Teraz oni stawili się, by odprowadzić ją w ostatnią drogę.

W pewnej chwili uwagę Kate przykuł blask promieni słońca, które utworzyły coś na kształt pomarańczowozłotej aureoli nad jasnowłosą głową. Zaintrygowana spojrzała na przeciwległy kraniec pomostu, gdzie stał David Ransom, górując wzrostem nad pozostałymi. Oczywiście ubrał się stosownie do okazji, w ciemny garnitur, do którego dobrał stonowany krawat, więc wyglądał jak każdy z uczestników pogrzebu. Jedynym, co wyróżniało go na tle pogrążonych w smutku ludzi, był brak widocznych oznak jakichkolwiek emocji. Przypominał kamienny posąg. Mimo woli Kate zaczęła się zastanawiać, czy ten facet w ogóle posiada jakieś ludzkie cechy. Gzy ty wiesz, co to płacz albo śmiech? Rozumiesz, czym jest rozpacz? Przeżywasz uniesienie, kiedy się z kimś kochasz? - pytała go w myślach.

Ostatnie z pytań przyszło zupełnie nieoczekiwanie. Kochać się z nim? Tak, potrafiła sobie wyobrazić, jak by to wyglądało w jego wykonaniu: to nie jest radość ze wspólnych przeżyć, lecz wypełnianie żądań. Podejrzewała, że David Ransom przenosi do sypialni doświadczenia z sali sądowej. Tam też dyktuje warunki i wymusza całkowitą podległość. Patrzyła, jak gasnące słońce okrywa go blaskiem niczym zbroją, dzięki której zdaje się być niezniszczalny. I jak tu walczyć przeciw takiemu człowiekowi?

Porywisty wiatr wiejący od strony morza zagłuszył ostatnie słowa pastora. Chwilę później ceremonia dobiegła końca, jednak Kate nie potrafiła zebrać sił, by się ruszyć. Żałobnicy mijali ją w milczeniu i tylko Clarence Avery przystanął, by coś powiedzieć, chyba jednak zabrakło mu odwagi, bo skulił się i odszedł. Rodzice Ellen nawet na nią nie spojrzeli. David Ransom wprawdzie ją dostrzegł, lecz przeszedł obok niej tak obojętnie, jakby była powietrzem.

Zanim zdołała wyrwać się z odrętwienia, pomost opustoszał. Jedynie maszty jachtów sterczały w górę jak

kikuty martwych drzew. Stare deski dudniły głucho pod jej stopami, gdy z trudem stawiała ciężkie kroki. Kiedy doszła do samochodu, była tak zmęczona, jakby przemierzyła dziesiątki mil. Zaczęła szukać kluczyków, lecz robiła to tak niezdarnie, że torebka wysunęła jej się z rąk i upadła na ziemię. W chwili, gdy jej osobiste rzeczy wysypywały się na chodnik, doświadczyła przedziwnego przeczucia nieuchronności pewnych zdarzeń. Biernie przyglądała się, jak wiatr rozwiewa chusteczki, i wyobrażała sobie, że będzie tak stała przez całą noc i kolejne dni, zupełnie jakby wrosła w ziemię. Wizja była absurdalna, lecz ją nurtowało pytanie, czy ktoś by w ogóle zauważył, co się z nią dzieje.

David. On wszystko widział. Pożegnał się już ze swymi klientami i czekał, aż odjadą, lecz cały czas miał świadomość, że gdzieś z tyłu, na pomoście, została Kate Chesne. Nie spodziewał się, że ją tu zobaczy. To, że przyszła na pogrzeb, uznał za przejaw sprytu. Podejrzewał, że okazując publicznie skruchę, próbuje przypodobać się O'Brienom. Myślał tak, dopóki nie obejrzał się za siebie i nie zobaczył, jak idzie wzdłuż nabrzeża, samotna, z bezradnie opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową. Dopiero wtedy uświadomił sobie, ile odwagi wymagało, by tu przyszła.

Chłodny głos rozsądku natychmiast przypomniał mu, że niektórzy lekarze zrobią wszystko, byle tylko uniknąć procesu. To wystarczyło, by momentalnie stracił zainteresowanie jej losem. Ruszył do samochodu, lecz w połowie drogi usłyszał, że coś stuknęło o asfalt. Znów się obejrzał i zobaczył ją, jak stoi bezradnie nad torebką, z której wysypała się cała zawartość. Skojarzyła mu się z przestraszonym i zagubionym dzieckiem, które nie wie, co robić. Dopiero po kilku minutach pochyliła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Coś kazało mu do niej podejść. Nawet go nie zauważyła. Bez słowa kucnął obok i zebrał rozsypane drobne. Dopiero wtedy go spostrzegła. Zamarła.

- Pomyślałem, że przyda się pani pomoc. Nie odpowiedziała.

- Nic więcej nie zostało - stwierdził, rozglądając się na boki.

Wstali. Ona nadal nic nie mówiła. Dopiero kiedy podał jej drobne, wydusiła z siebie wątle dziękuję.

- Nie spodziewałem się pani tutaj. Po co pani przyszła?

- Myślę, że... to był błąd. - Wzruszyła ramionami.

- Czy to adwokat podsunął pani ten pomysł?

- Niby dlaczego miałyby to robić?

- Żeby pokazać państwu O'Brien, że się pani przejmuje.

- Więc według pana to był element jakiejś... strategii? - Zaczerwieniła się ze złości.

- Czasem słyszy się o takich rzeczach.

- A pan po co tu przyszedł? Żeby pokazać klientom, że się pan przejmuje? To element pańskiej strategii?

- Cóż, ja rzeczywiście się przejmuje.

- A myśli pan, że ja nie?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale to właśnie pan insynuował.

- Proszę nie brać do siebie wszystkiego, co powiem.

- Na wszelki wypadek biorę do siebie każde pańskie słowo.

- Niepotrzebnie. Niech pani nie zapomina, że to jest moja praca.

- A na czym ona polega? Na niszczeniu ludzi?

- Nie atakuję ludzi, proszę pani. Atakuję błędy, które popełnili. A te zdarzają się nawet najlepszym lekarzom.

- Nie musi mi pan o tym mówić! - Spojrzała w stronę morza, w którym spoczęły prochy Ellen.

- Dla mnie to chleb powszedni. Zmagam się z tym każdego dnia w sali operacyjnej. Dobrze wiem, że moja pomyłka może kosztować ludzkie życie. Oczywiście, my, lekarze, potrafimy sobie radzić ze stresem. Pomaga nam wisielczy humor i mało wybredne żarty. Strach pomyśleć, z czego się czasem śmiejemy. To jednak pozwala nam jakoś przetrwać, jest rodzajem emocjonalnej samoobrony. Dla was, prawników, to abstrakcja. Nie macie bladego pojęcia, jak to jest, kiedy coś pójdzie nie tak i na stole umiera pacjent.

- Za to dobrze wiemy, co wtedy czuje rodzina. Każdy wasz błąd oznacza czyjeś cierpienie.

- A pan nigdy się nie myli, tak?

- Nie ma ludzi nieomylnych. Cały problem polega na tym, że wy, lekarze, wypieracie się swoich błędów.

- Nigdy nie pozwoli mi pan zapomnieć, prawda? - stwierdziła, odwracając się w jego stronę.

Zachodzące słońce zabarwiło na pomarańczowo nie tylko wieczorne niebo, lecz także jej włosy i policzki. David niespodziewanie zastanowił się, jak by to było, gdyby wsunął palce w falujące na wietrze kasztanowe pasma. Albo gdyby ją pocałował. Sam nie wiedział, skąd mu przyszedł do głowy ten niedorzeczny pomysł. Najgorsze, że nie mógł się od niego uwolnić. Nie wolno mu myśleć o takich rzeczach.

Jednak ta kobieta stała tak blisko, że miał do wyboru albo cofnąć się, albo ją pocałować. Oparł się pokusie.

- Jak już mówiłem, jedynie wykonuję swoje obowiązki - powtórzył.

- Nie, tu chodzi o coś więcej. Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że pan się mści. Postawił pan sobie za cel rozprawienie się z całym światem medycznym. Zgadłam?

Nie spodziewał się takich oskarżeń. Zaprzeczył, ale dobrze wiedział, że trafiła w sedno. Udało jej się odnaleźć starą ranę i otworzyć ją słowem jak skalpelem.

- Mówi pani, że chcę rozprawić się z lekarzami? - powtórzył. - Niekompetencja osób takich jak pani bardzo ułatwia mi zadanie.

W jej oczach zapłonął gniew. David był niemal pewny, że za chwilę go spoliczkuje. Ona jednak wskoczyła do swojego audi, trzasnęła drzwiami i ruszyła tak ostro, że instynktownie odskoczył na bok.

Patrzył, jak odjeżdża, i żałował swych niepotrzebnych słów. Nie powinien był potraktować jej surowo, ale próbował się bronić. Perwersyjna fascynacja jej osobą stała się na tyle silna, że poczuł się zagrożony. Chciał to w sobie zdławić, raz na zawsze.

Już miał wsiadać do samochodu, gdy kątem oka dostrzegł jakiś błyszczący przedmiot: na jezdni leżało srebrne pióro. Musiało wturlać się pod samochód i dlatego go nie zauważyli. Podniósł je i spojrzał na wygrawerowany napis: dr Katharine Chesne.

Przez chwilę ważył je w dłoni, myśląc o jego właścicielce. Ciekawe, czy podobnie jak on nie ma do kogo wracać po pracy. Nagle, stojąc samotnie na przystani, uświadomił sobie, jak wielką czuje pustkę. Do niedawna błogosławił ten stan, pustka uwalniała go bowiem od cierpienia. Teraz zaś zupełnie nieoczekiwanie zatęsknił za emocjami. Chciał znów coś czuć. Cokolwiek. Choćby tylko po to, by upewnić się, że jeszcze żyje. Jego uczucia ukryły się gdzieś głęboko, na dnie duszy. Domyślał się, że wciąż tam są, bo nieśmiało przypominały o sobie, gdy patrzył w pałające oczy Kate. Nie była to żadna gwałtowna eksplozja, raczej nieśmiała iskierka. Mocniejsze odchylenie na wykresie pracy śmiertelnie chorego serca.

Znak, że pacjent jeszcze nie umarł. Uśmiechnął się do siebie. Podrzucił pióro i zwinnie złapał je w powietrzu. Następnie wsunął je do kieszeni i wsiadł do samochodu.

Pies był już w stanie głębokiej narkozy. Leżał z rozłożonymi łapami i wygolonym brzuchem, który za chwilę miał zostać wysmarowany jodyną. Był to wyjątkowo ładny owczarek niemiecki, ewidentnie bardzo rasowy. I przez nikogo niekochany.

Guy Santini żałował, że takie piękne zwierzę dokona żywota na jego stole, ponieważ jednak ostatnio ciężko było o zwierzęta doświadczalne, musiał brać, co mu dawali. Pocieszał się, że stworzenia, które wykorzystywał do badań, nie cierpiały. Podczas zabiegu były uśpione i nic nie czuły, a po wszystkim dostawały śmiertelną dawkę pentothalu. Umierały spokojnie. Guy uważał, że tak jest dla nich lepiej, niż gdyby miały skończyć na ulicy. Poza tym ich poświęcenie nie szło na marne. Każdy wykorzystany do badań pies dostarczał nowych danych i przybliżał go do poznania wszystkich tajników fizjologii wątroby.

Spojrzał na przyrządy ułożone na tacy: skalpel, klamry, dreny. Wszystko gotowe. Sięgnął po skalpel.

Naraz znieruchomiał, usłyszał bowiem ciche skrzypnięcie wahadłowych drzwi. I czyjeś kroki na lśniącem linoleum. Podniósł wzrok. Naprzeciw niego stała Ann Richter. W milczeniu spojrzeli sobie w oczy.

- Widzę, że też nie poszłaś na pogrzeb Ellen.

- Chciałam pójść, ale się bałam.

- Bałaś się? Czego?

- Przykro mi, Guy. Naprawdę nie mam już wyboru. - Wyciągnęła rękę, w której trzymała list. - To od adwokata Charliego Deckera. Drażą sprawę Jenny Brook.

- Co takiego? - Błyskawicznie ściągnął rękawiczki i wyszarpnął papier z jej dłoni. Zapoznawszy się z treścią, spojrzął na nią zaniepokojony. - Ann, ty im nic nie powiesz, prawda? Przecież nie możesz...

- Guy, wzywają mnie na świadka.

- Na miłość boską, kto ci każe mówić prawdę?
- Wypuścili Deckera. Nie wiedziałeś? Już miesiąc temu wypisali go ze szpitala. A teraz dzwoni do mnie. Zostawia listy pod drzwiami. Czasem wydaje mi się, że mnie śledzi.

- Nic ci nie zrobi!
- Skąd ta pewność? - Skinęła głową w stronę listu.
- Henry też taki dostał. I Ellen. Parę dni przed...
- Umilkła jakby w obawie, że mówiąc głośno o swych najgorszych lękach, ściągnie na siebie nieszczęście. Guy dopiero teraz zauważył, jak źle wygląda. Miała podkrążone oczy, a popielate włosy, którymi tak zawsze się chlubiła, wyglądały, jakby nie czesała się od wielu dni. To się musi skończyć - dodała po chwili. Nie chcę do końca życia sprawdzać, czy przypadkiem Decker mnie nie śledzi.

Guy zgniótł list, a potem zaczął krążyć po gabinecie. Jego nerwowość graniczyła z paniką.

- Posłuchaj, przecież na jakiś czas możesz zniknąć...
- Na jak długo? Na miesiąc? Na rok?
- Nie wiem. Dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Dam ci pieniądze... - Sięgnął do portfela i wyjął pięćdziesiąt dolarów, wszystko, co przy sobie miał.

- Weź to. Obiecuję, że przyślę ci więcej.
- Nie chcę od ciebie pieniędzy.
- Daj spokój. No, bierz.
- Już ci mówiłam, że...
- Na litość boską, bierz! - Jego podniesiony głos odbił się od surowych białych ścian. - Proszę cię, Ann

- nalegał, tym razem o wiele ciszej. - Zrób to dla mnie, w imię naszej przyjaźni. Proszę...

Spojrzała na zwitek banknotów. Po chwili wahania wzięła je i ścisnęła w dłoni.

- Wyjadę jeszcze dziś wieczorem. Do San Francisco. Mam tam brata.

- Zadzwoń do mnie, jak dotrzesz na miejsce. Wyślę ci pieniądze, tyle ile trzeba. - Miał wrażenie, że go nie słucha. - Ann? Zrobisz to dla mnie. Prawda?

Wpatrywała się tępo w ścianę. Chciał ją pocieszyć, zapewnić, że wszystko się ułoży, oboje jednak wiedzieli, że to nieprawda. Guy patrzył, jak Ann wolno idzie w stronę drzwi. Zanim wyszła, powiedział:

- Dziękuję ci, Ann.

Nie odwróciła się. Jedynie przystanęła na chwilę, a potem wzruszyła ramionami i zniknęła w drzwiach.

Szła na przystanek, kurczowo ściskając w dłoni pieniądze od Guya. Pięćdziesiąt baksów! I to ma wystarczyć! Nawet tysiąc czy milion byłoby za mało.

Wsiadła do autobusu jadącego do Waikiki. Usiadła przy oknie i przez całą drogę gapiła się na mijane przecznice. Jedna, druga, trzecia... Niewiele brakowało, a wpadłaby przez to w kompletne ośpienie. Wysiadła w Kalakaua i szybko ruszyła w stronę swojego domu.

Jezdnią sunęły warczące autobusy, dławiące smrodem spalin. W miejskiej duchocie od razu spocły jej się dłonie. Betonowa dżungla zdawała się napierać na nią ze wszystkich stron, turyści co krok zachodzili jej drogę. Przedzierała się przez ten ludzki gąszcz, z każdą chwilą bardziej niespokojna. Przyspieszyła.

Dwie ulice dalej tłum trochę się przerzedził. Gdy na następnym skrzyżowaniu czekała na zielone światło, była zupełnie sama. Niespodziewanie dopadło ją przecucie, że ktoś za nią idzie. Obejrzała się za siebie. Stary człowiek wolno włókł się chodnikiem, tuż za nim jakaś para pchała dziecięcy wózek. Na wieszakach ustawionych przed sklepem powiewały jaskrawe hawajskie koszule. Nie działo się nic niezwykłego. Pozornie...

Zapaliło się zielone światło. Przebiegła przez ulicę i biegła już przez całą drogę.

W mieszkaniu od razu zaczęła się pakować. Wrzucając rzeczy do walizki, obmyślała, co dalej robić. Samolot do San Francisco odlatuje o północy. Była pewna, że brat na jakiś czas ją przygarnie i nie będzie zadawał zbędnych pytań. Rozumiał, że każdy ma jakieś tajemnice i każdy przed czymś ucieka.

To nie jest jedyne wyjście z sytuacji, podszeptował wewnętrzny głos. Możesz pójść na policję...

I co im powiedzieć? Prawdę o Jenny Brook? Po to, żeby zniszczyć jeszcze jedno niewinne życie?

Bijąc się z myślami, zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu. W pewnej chwili podchwyciła swoje odbicie w lustrze. Z przerażeniem patrzyła na rozmazany tusz i potargane włosy. Strach tak bardzo wyostrzył jej rysy, że nie poznawała samej siebie.

Wystarczy jeden telefon i w końcu to z siebie wyrzucisz, pomyślała. Wyjawiona tajemnica przestaje być groźna...

Podniosła słuchawkę i drżącymi palcami wystukała domowy numer Kate. Serce jej zamarło, gdy po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

Odchrząknęła, by nadać głosowi w miarę normalny ton. „Dobry wieczór. Mówi Ann Richter. Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Rozłączyła się i z nadzieją czekała na telefon.

Minęły godziny, zanim Kate odsłuchiwała wiadomość. Po odjeździe z przystani długo krążyła po mieście. Bez celu, jedynie po to, by odwlec moment powrotu do pustego domu. Był wieczór. Dzięki Bogu, już jest piątek. Postanowiła, że na przekór wszystkiemu spędzi czas przyjemnie. Zaczęła od kolacji w modnym barze z grillem, gdzie wszyscy poza nią

świetnie się bawili. Stek, który zamówiła, wydał jej się zupełnie pozbawiony smaku, a czekoladowy mus był tak słodki, że z trudem go przełknęła. Chyba czuła się winna, bo zostawiła na stoliku nieproporcjonalnie duży napiwek, jakby chciała przeprosić za brak apetytu.

Następnie wybrała się do kina. Pech chciał, że wylądowała pomiędzy wiercącym się ośmiolatkiem a obściskującą się parą nastolatków. Wyszła w połowie filmu. Nawet nie pamiętała tytułu, wiedziała tylko, że była to komedia. Na której nie zaśmiała się ani razu.

Wróciła do domu o dziesiątej. Zaczęła się rozbierać, lecz nagle uszła z niej cała energia, więc przysiadła na brzegu łóżka i apatycznie gapiła się na ściany. Dopiero po jakimś czasie zauważyła migające światełko automatycznej sekretarki. Włączyła więc odtwarzanie i poszła do garderoby.

„Dobry wieczór, pani doktor. Dzwonię z czwórki, żeby powiedzieć, że cukier u pana Berga wynosi dziewięćdziesiąt osiem... Witam, mówi June z sekretariatu doktora Avery'ego. Proszę nie zapomnieć, że we wtorek o czwartej jest posiedzenie sądu koleżeńskiego... Kłania się agencja nieruchomości Winward. Proszę się z nami skontaktować. Mamy dla pani kilka ciekawych ofert...”.

Wieszła spódnice, gdy maszyna odtworzyła ostatnią wiadomość.

„Dobry wieczór. Mówi Ann Richter. Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Rozległ się szcęk odkładanej słuchawki, po czym taśma zaczęła się przewijać. Kate podbiegła do telefonu i ponownie odtworzyła wiadomości. Z bijącym sercem czekała na głos Ann.

„Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Bez namysłu sięgnęła po książkę telefoniczną i odnalazła numer i adres. Niestety, linia była zajęta. Wiele razy

próbowała się połączyć, lecz wciąż słyszała przerywany sygnał. Nie zamierzała tracić czasu. Wiedziała, co ma robić. Czym prędzej wróciła do garderoby i zaczęła gorączkowo się ubierać.

Główna arteria Waikiki była zakorkowana.

Chodnikami jak zwykle przelewał się barwny tłum złożony z turystów, żołnierzy na przepustce i bezdomnych. Całe to groteskowe towarzystwo płynęło w morzu jaskrawych świateł wielkiego miasta. Po frontach budynków pełzły cienie palm, przypominające gigantyczne pająki. Jakiś nobliwie wyglądający dżentelmen wystawił na widok publiczny swe chude białe kończyny, obleczone w bermudy.

Do Waikiki z reguły przyjeżdżało się po to, by dla rozrywki z bliska spojrzeć na kicz, absurd i jarmarczną estetykę. Tej nocy Kate po raz pierwszy nie czuła się rozbawiona tym, co widzi. Nie wiedzieć czemu ulica po prostu ją przerażała. Wlokąc się w żółtym tempie, obserwowała z okna samochodu bezbarwne twarze przechodniów, chwiejące się grupy pijanych żołnierzy przed barami i wreszcie ulicznego kaznodzieję, który stojąc na rogu, wymachiwał Biblią i z obłędem w oczach obwieszczał krzykiem rychły koniec świata.

Musiła zatrzymać się na czerwonym świetle, a wtedy on niespodziewanie się odwrócił i na nią spojrział. Wzdrygnęła się, bo odniosła wrażenie, że jego rozgorączkowane oczy przekazują jej jakąś tajemną wiadomość, przeznaczoną wyłącznie dla niej. Gdy zapaliło się zielone światło, z ulgą ruszyła z miejsca. Opętane krzyki nieszczęsnego proroka słabły, aż w końcu ucichły.

Dziesięć minut później, wciąż nieco roztrzęsiona, weszła do budynku, w którym mieszkała Ann. Wykorzystała moment, gdy wychodzili stamtąd jacyś ludzie, i wśliznęła się do holu.

Winda długo nie przyjeżdżała, miała więc czas, by trochę ochłonać. Oparła się o ścianę i zaczęła głęboko oddychać. Cisza panująca w budynku koła jej nerwy. Kiedy wreszcie wsiadała do windy, rytm serca zdążył wrócić do normy. Kabina wolno sunęła w górę, a ona obserwowała, jak kolejno zapalają się światelka z piętrami: trzecie, czwarte, piąte.

Wysiadła na siódmym.

Na korytarzu nie było żywej duszy. Mdła zielona wykładzina rozciągała się przed nią niczym idealnie prosta ścieżka. Ruszyła w stronę mieszkania numer 710. Idąc, miała dziwne wrażenie, że to wszystko jej się śni. Nawet wzorzysta tapeta i drzwi majaczące na końcu długiego wąskiego korytarza zdawały się nierealne. Dopiero gdy do nich podeszła, zauważyła, że są niedomknięte.

- Ann?

Cisza.

Pchnęła delikatnie drzwi. Otwierały się powoli, stopniowo odsłaniając wnętrze. Zamarła, lecz nie od razu dotarło do niej, co widzi. Ze zgrozą patrzyła na poprzewracane krzesła, kolorowe pisma na podłodze, czerwone plamy na ścianach. Podążyła spojrzeniem za jedną z nich: purpurowy ślad biegnący zygzakiem przez beżowy dywan doprowadził ją do swego makabrycznego źródła, którym było ciało Ann Richter, leżące twarzą do ziemi w wielkiej kałuży krwi.

Ze słuchawki zwisającej ze stołu dobiegał przerywany sygnał. Powinna potraktować go jak alarm ostrzegający przed niebezpieczeństwem i zmuszający do działania. Tymczasem nie była w stanie ruszyć nawet palcem. Stała jak sparaliżowana. Zupełnie jakby ogarnęła ją litościwa niemoc.

Dopiero po chwili zrobiło jej się czarno przed oczami. Aby nie upaść, przykłękała i chwyciła się futryny. Okazało się, że długie lata studiów, zajęcia w prosektorium, praca w szpitalu, ciągły widok krwi nie uodporniły jej na tyle, by

potrafiła zapanować nad instynktowną reakcją ciała. Serce biło jej jak oszalałe, w uszach szumiało. Mimo to wychwyciła jakiś niepokojący dźwięk. Nieregularny, rwący się, chrapliwy. Oddech. To nie ona tak oddycha.

W pokoju ktoś jest.

W dużym lustrze wiszącym w salonie spostrzegła nagle jakiś ruch. Przyjrząwszy się uważnie, rozpoznała odbicie sylwetki. Nie dalej jak parę metrów od niej, za komodą, krył się jakiś mężczyzna.

On też ją zauważył. Poprzez lustro spojrzeli sobie w oczy. I choć trwało to zaledwie ułamek sekundy, miała wrażenie, że ogarnęła ją ciemność. Czuła się tak, jakby otoczyła ją otchłań, z której nie ma ucieczki.

Mężczyzna otworzył usta, lecz z jego gardła zamiast słów wydobył się upiorny syk, podobny do tego, który wydaje zmija tuż przed atakiem. Wrażenie było tak koszmarne, że podziałało na nią jak kubek zimnej wody. Błyskawicznie poderwała się z kolan. Gdy się odwracała, by rzucić się do ucieczki, zdawało jej się, że pokój obraca się wokół niej jak na zwolnionym filmie. Korytarz zdawał się nie mieć końca. Przeraził ją własny krzyk, który odbił się echem od ścian.

Pobiegła do klatki schodowej, którą uznała na jedyną drogę ucieczki. Nie miała odwagi tracić bezcennych minut, czekając na windę. Z całej siły pchnęła drzwi i na oślep ruszyła w dół po betonowych schodach. Była piętro niżej, gdy usłyszała łomot drzwi uderzających o ścianę. Zaraz potem z góry dobiegł przerażający syk, który dla niej brzmiał jak szept szatana.

Chciała wydostać się na korytarz, lecz okazało się, że drzwi są zamknięte. Zaczęła krzyczeć i z całej siły tłuc w nie pięściami. Ktoś na pewno usłyszy! Pomoże!

Nad jej głową zadudniły nerwowe kroki. Nie ma czasu do stracenia, musi biec. Zdyszana dotarła na piąte piętro i z

rozpędu całym ciałem napała na drzwi. W kostce poczuła taki ból, że łyzy zakreśliły jej się w oczach. Zaczęła szarpać za klamkę i kopać w drzwi, lecz one również były zamknięte na głucho.

A on deptał jej po piętach.

Jak w amoku mijala kolejne piętra. Gdzieś po drodze upuściła torbę, ale nawet nie próbowała jej podnosić. Kostka bolała ją tak bardzo, że miała ochotę wyć. Kulejąc, podbiegła do drzwi na trzecim piętrze. Czy one też są zaryglowane? Wszystkie, aż do parteru? Próbowała sobie wyobrazić, co znajduje się na tyłach budynku. Parking? Ciemny zaułek? Czy rankiem właśnie tam ktoś natknie się na jej zwłoki?

Paniczny strach dodał jej sił. Zapomniała o bólu i szarpnęła drzwi na drugim piętrze najmocniej jak potrafiła. Nie wierzyła w swoje szczęście, gdy ustąpiły pod naporem. Potykając się o własne nogi, wpadła do podziemnego garażu. Nie miała czasu, by obmyślić dalszy plan ucieczki. Instynktownie ukryła się w cieniu. Niemal w tej samej chwili metalowe drzwi otwarły się z hukiem. Przerazona przykucnęła za najbliższym samochodem.

Skuliła się i w napięciu nasłuchiwała kroków. O dziwo, nie usłyszała niczego oprócz szumu własnej krwi. Mijały sekundy, potem minuty. Gdzie on może być? Czyżby przestał ją ścigać? Przywarła do samochodu tak mocno, że zderzak boleśnie wrzynał jej się w udo. Nawet tego nie poczuła. Całkowicie skupiła się na walce o przetrwanie.

Kamyk potoczył się po asfalcie, co w betonowym garażu zabrzmiało jak huk wystrzału. Próbowała ustalić, skąd dochodzi dźwięk, lecz ten, zwielokrotniony echem, zdawał się atakować ją ze wszystkich stron. Odejdź stąd! Dobry Boże, spraw, żeby on stąd poszedł!

Echo wybrzmiało, zapadła cisza, ale Kate i tak czuła przez skórę jego obecność. Wiedziała, że się do niej zbliża. Niemal słyszała jego diabelski szept: Idę po ciebie!

Musiała sprawdzić, gdzie on jest, jak blisko podszedł. Przytrzymując się opony, schyliła głowę i ostrożnie wyjrzała zza samochodu. Niemal w tej samej chwili cofnęła się przerażona. Napastnik był po drugiej stronie. Szedł ku tyłowi samochodu. Za chwilę ją zobaczy.

Poderwała się i czmychnęła jak wystraszony królik. Rzuciła się do panicznej ucieczki między rzędami aut, które zlewały się w jedną niewyraźną masę. Kierowała się w stronę drogi wyjazdowej. Tuż za sobą słyszała przyspieszony oddech. Mężczyzna musiał być naprawdę blisko, tymczasem jej zdrewniałe od długiego kucania nogi ledwie ją niosły.

Kręty, opadający w dół podjazd zdawał się nie mieć końca. Na każdym wirażu bała się, że się pośliznie i przewróci. Płuca paliły ją tak, jakby za chwilę miały pęknąć.

Zmobilizowała wszystkie siły i pokonała ostatni zakręt, zbyt późno jednak dostrzegła światła wjeżdżającego na górę samochodu. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała, były twarze dwojga ludzi i ich szeroko otwarte usta. Gdy upadła na maskę, przed jej oczami rozbłysły barwne fajerwerki. Po chwili jednak zgasły i zapadła absolutna ciemność.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mango pyli - oznajmił sierżant Brophy, kichając w wilgotną chustkę. - Nie ma dla mnie gorszej pory roku. Cholerna alergia. - Dokładnie wytarł nos, a potem kilka razy nim pociągnął, by upewnić się, że kanały są drożne. Przygnębiające okoliczności oraz miejsca, w których się znajdował, nie robiły na nim wrażenia. Zupełnie jakby trupy, ściany zbryzgane krwią i armia techników z laboratorium kryminalistycznego były jego naturalnym środowiskiem. Kiedy łapał go katar sienny, obojętniał na wszystko z wyjątkiem stanu swoich zatok.

Porucznik Francis „Pokie” Ah Ching przywykł do notorycznego kichania młodszego kolegi. Zresztą ta męcząca przypadłość miała dobre strony. Tę na przykład, że zawsze było wiadomo, w którym pomieszczeniu Brophy się znajduje.

Sądząc po odgłosach, teraz była to sypialnia denatki. Pokie ze spokojem wrócił więc do sporządzania notatek. Pisał szybko, posługując się osobliwą stenografią, którą wypracował w ciągu dwudziestosześcioletniej służby, w tym siedemnastu lat w wydziale zabójstw. Tym razem rysunki i adnotacje zapełniły osiem stron, z czego cztery dotyczyły salonu jako miejsca zbrodni. Porucznik nie był wybitnym artystą, lecz jego mało wyrafinowane szkice były wyjątkowo precyzyjne. Ciało tu. Poprzewracane meble tam. Plamy krwi wszędzie.

Lekarka specjalizująca się w medycynie sądowej, piegowata, w typie chłopczycy, znana wszystkim jako M.J., jak zwykle robiła obchód miejsca zbrodni. Miała na sobie dzinsy i tenisówki, dość niechlujny strój jak na lekarza, jednak mogła sobie na to pozwolić, bo jej pacjenci i tak się nigdy nie skarżyli. Krążąc po pokoju, mówiła do dyktafonu:

- Na trzech ścianach ślady krwi tętnicznej, na wysokości metr dwadzieścia do półtora metra... Duża plama krwi w

miejscu, gdzie leżało ciało... Ofiara to kobieta, włosy blond, wiek między trzydzieści a czterdzieści lat, znaleziona w pozycji leżącej, na brzuchu, prawe ramię podłożone pod głowę, lewe wyciągnięte. Na ramionach i przedramionach nie ma obrażeń. - M.J. przyklękła i przystąpiła do oględzin zwłok. - Na skórze przebarwienia. Hm. - Zmarszczyła brwi i dotknęła ramienia denatki. - Ciało znacznie wychłodzone. Aktualny czas: dwudziesta czwarta piętnaście. - Wyłączyła dyktafon i przez chwilę milczała.

- Coś nie tak? - zainteresował się Pokie.

- Słucham? Nie, tak się tylko zastanawiam.

- Jakie są pierwsze ustalenia?

- Cóż, wygląda na to, że lewa tętnica szyjna została przecięta wyjątkowo ostrym narzędziem. To się musiało stać w ułamku sekundy. Ofiara nawet nie próbowała się bronić. Przyjrzę się lepiej w kostnicy, jak ją umyją - dodała, wstając. Pokie zauważył, że jej tenisówki są uwalane krwią. Ciekawe, ile miejsc zbrodni już przewędrowały?

- Przecięta tętnica... Czy to ci czegoś nie przypomina? - spytał zamyślony.

- Tak, też o tym pomyślałam. Jak się ten facet nazywał? No wiesz, ten, którego znaleźliśmy dwa tygodnie temu?

- Tanaka. Też miał przeciętą lewą tętnicę.

- Właśnie. Identyczna krwawa jatka.

- Tanaka był lekarzem - zauważył Pokie. - A ona... - spojrzał na zwłoki - jest pielęgniarką.

- Była.

- Ciekawe, nie?

M.J. zatrzasnęła walizeczkę, w której miała podręczne laboratorium.

- W tym mieście mieszkają setki lekarzy i pielęgniarek - stwierdziła. - Fakt, że tych dwoje trafiło na mój stół, jeszcze nie znaczy, że się znali.

Siarczyście kichnięcie obwieściło nadejście sierżanta Brophy'ego.

- Na komodzie w sypialni znalazłem bilet na samolot do San Francisco. Miała lecieć o północy - oznajmił, a zerknąwszy na zegarek, dodał: - Chyba się spóźniła.

Bilet na samolot. Spakowana walizka. Ann Richter zamierzała prysnąć? Dlaczego? Zaintrygowany tym pytaniem Pokie jeszcze raz obszedł mieszkanie. W łazience natknął się na technika, który oglądał umywalkę.

- Widać ślady krwi. Zabójca umył ręce.

- Tak? Szczwana bestia. Są jakieś odciski palców?

- Są, ale w większości stare i raczej zostawione przez ofiarę. Parę świeżych zdjęliśmy z klamki, ale niewykluczone, że zostawił je świadek.

Pokie kiwnął głową i wrócił do salonu. Świadek. W nim, a raczej w niej cała nadzieja. Wykazała się nie lada hartem, gdy mimo obrażeń i powypadkowego szoku wezwała pogotowie na miejsce zbrodni. Rujnując przy okazji jego marzenia o spokojnym śnie.

- Znalazła się torebka doktor Chesne? - zapytał Brophy'ego.

- Nie. Na klatce schodowej jej nie ma, więc ktoś musiał ją zabrać.

Pokie chwilę milczał. Wyliczał w myślach, co kobiety noszą w torebkach: portfel, prawo jazdy, klucze.

- Sierzancie! - zawołał, zamykając notatnik.

- Tak?

- Dajcie doktor dwudziestoczwierogodzinną ochronę. Niech jeden człowiek siedzi pod jej salą w szpitalu, a drugi w głównym holu. Chcę też wiedzieć o wszystkich telefonach do niej. Wykonać!

Brophy miał sceptyczną minę.

- Aż tyle tego? Jak długo mamy jej pilnować?

- Dopóki nie wyjdzie ze szpitala. W tej chwili jest łatwym celem.

- Pan naprawdę sądzi, że ten psychol będzie jej szukał w szpitalu?

- Nie wiem - westchnął Pokie. - Na razie nie mamy pojęcia, w co wdepnęliśmy. Ale mamy dwa identyczne morderstwa. A ona jest naszym jedynym świadkiem.

Phil Glickman jak zwykle się naprzykrzał.

W sobotni poranek David mógł spokojnie popracować i uporządkować dokumenty, które w ciągu tygodnia gromadziły się na biurku. Pech chciał, że akurat dziś do kancelarii przylazł Glickman. I zaczął gadać. Facet był młody, agresywny i piekielnie sprytny, ale milczeć niestety nie umiał. David podejrzewał, że trajkocze również przez sen. Teraz od dobrego kwadransa zameczał go drobiazgową relacją z rozmowy, jaką przeprowadził z pozwanym lekarzem, który ostatecznie zgodził się pójść na ugodę. Widząc, że David nie podziela jego entuzjazmu, zapytał:

- A jak tam sprawa O'Brien? Gotowi do kapitulacji?

- O ile znam doktor Chesne, to raczej nie.

- A co, jest mało rozgarnięta?

- Nie, raczej uparta i zadufana w sobie.

- Jak wszystkie białe fartuchy.

David ze znużeniem przeczesał włosy palcami.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do procesu - odparł.

- Dlaczego? Przecież wygrana jest pewna. To będzie jak strzelania do królików w klatce. Łatwe.

- Właśnie. Zbyt łatwe.

- Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało - roześmiał się Glickman i zaczął zbierać swoje rzeczy.

Właśnie, dlaczego teraz mi przeszkadza? - zastanowił się David. Sprawa O'Brien rzeczywiście jest jak złote jabłko,

które wpadło mu prosto w ręce. Wystarczyło, by wypełnił kilka dokumentów, postraszył listownie dyrekcję szpitala i wyciągnął rękę po honorarium. Właściwie już dziś powinien otwierać szampana. Póki co marnuje piękny poranek, snując się po gabinecie i rozmyślając o tym, że z jakiegoś powodu cała ta sprawa wydaje mu się podejrzana. Co gorsza, czuł, że postępuje niemoralnie.

Ziewnął i odchyliwszy się w fotelu, zaczął trzeć zmęczone oczy. Miał za sobą fatalną noc. Najpierw długo nie mógł zasnąć, a potem dręczyły go sny, jakich nie miał od lat. Przyśniła mu się kobieta. Stała nieruchomo na tle okna, przez które sączyło się mleczne światło. Nie rozróżniał rysów jej twarzy, widział jedynie czarny zarys sylwetki. Początkowo wziął ją za swoją byłą żonę Lindę. Jednak coś było nie tak. Tymczasem ona ani drgnęła, zupełnie jak sarna, która nasłuchuje odgłosów lasu. Podszedł więc do niej i zaczął ją rozbierać. Robił to jednak tak nerwowo i nieporadnie, że urwał jej guzik od bluzki. Roześmiała się gardłowo, a jemu ten śmiech skojarzył się z brandy.

Wtedy już wiedział, że to nie Linda. Podniósł głowę i spojrzał prosto w zielone oczy Kate Chesne. Nie padło między nimi ani jedno słowo. Wystarczyły spojrzenia. I dotyk: delikatnie powiodła palcami po jego twarzy.

Obudził się mokry z pożądania. Zmusił się, by od razu zasnąć, lecz sen uparcie powracał. Nawet teraz, gdy przymykał oczy, znów widział jej twarz i czuł znane mrowienie. Brutalnie zdławił w sobie nedorzeczne pragnienia i podszedł do okna. Jest już za stary na takie głupoty. Za stary i za mądry, żeby bodaj fantazjować o romansie z pozwaną.

Do diabła, przez jego kancelarię przewijały się dziesiątki atrakcyjnych klientek. I naprawdę nierzadko niektóre z nich wysyłały pod jego adresem jednoznaczne sygnały. Wystarczyło zalotne nachylenie głowy albo niby przypadkowe

odsłonięcie uda, by każdy normalny facet wyczuł, co jest grane. Bawiły go takie prowokacje, ale nigdy nie dał się wciągnąć w tę grę; w końcu sypianie z klientkami nie wchodzi w zakres jego obowiązków.

Kate Chesne w żaden sposób go nie prowokowała. Mało tego, otwarcie przyznała, że pogardza prawnikami nie mniej niż on lekarzami. Czemu więc ze wszystkich kobiet, które przekroczyły próg jego gabinetu, to właśnie ona zawładnęła jego myślami?

Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrne pióro. Nagle uświadomił sobie, że kobieta raczej nie kupiłaby sobie takiej rzeczy. Czyżby prezent od narzeczonego? Zdumiał się, że z pozoru niewinne przypuszczenie wywołało w nim zazdrość.

Powinien oddać jej zgubę. Jedna myśl wystarczyła, by uruchomić lawinę skojarzeń. Szpital Mid Pac znajduje się kilka ulic dalej. Może więc podrzucić pióro w drodze do domu? W soboty większość lekarzy robi poranny obchód, jest więc szansa, że spotka Kate. Perspektywa ponownego spotkania z tą kobietą wprowadziła go w zapomniany stan podniecenia: znów poczuł tę mieszaninę niecierpliwego oczekiwania i lęku, które dręczyły go, gdy jako nastolatek zbierał się na odwagę, by podejść do dziewczyny i umówić się na randkę. Uznał to za wyjątkowo niepokojący znak.

Mimo to nie mógł wybić sobie z głowy pomysłu, żeby do niej jechać. Pióro dosłownie parzyło go w rękę. Wrzucił je więc do kieszeni i zaczął pospiesznie pakować dokumenty. Kwadrans później wszedł do holu i skierował się do telefonu, który łączył ze szpitalną centralą.

- Chciałbym skontaktować się z doktor Chesne - rzekł, gdy odezwała się operatorka. - Czy ją zastałem?

- Doktor Chesne? - Zapadła długa cisza. - Tak, wydaje mi się, że jest. A kto mówi?

Już miał się przedstawić, ale uznał, że gdy Kate dowie się, kto dzwoni, nie podejdzie do telefonu.

- Proszę powiedzieć, że dzwoni znajomy - odparł od niechcenia.

- Niech pan chwilę zaczeka.

W słuchawce odezwała się jedna z tych durnych melodyjek, które pewnie od rana do nocy rozbrzmiewają w piekle. Zdegustowany, zaczął nerwowo bębnić palcami o szybę. To mu uzmysłowiło, jak bardzo się niecierpliwi, by wreszcie zobaczyć Kate. Chyba mi kompletnie odbiło, stwierdził i odwiesił słuchawkę. Albo naprawdę oszalał. Albo tak desperacko potrzebuje kobiety.

Właśnie się odwracał, by wyjść z budki, kiedy drogę zaszło mu dwóch budzących respekt policjantów.

- Pan pozwoli z nami - odezwał się jeden z nich.

- Obawiam się, że nie pozwolę.

- To my panu pomożemy - rzucił policjant tonem, który nie pozostawiał złudzeń co do jego intencji.

David był tak zdumiony, że aż się roześmiał.

- Panowie, ale co ja zrobiłem? Zastawiłem komuś wyjazd na parkingu? Obraziłem wasze matki?

W odpowiedzi stróżę prawa wzięli go pod rękę i siłą poprowadzili do części biurowej szpitala.

- O co wam chodzi? Jestem aresztowany? - Zirytował się, ale nie stawiał oporu. Oni jednak uparcie milczeli. - Hola, powinniście poinformować mnie o moich prawach. - Nie zrobili tego. - Więc może pora, żebym to ja was pouczył, jakie prawa przysługują zatrzymanemu. - Nadal nie otrzymał odpowiedzi, więc sięgnął po broń najcięższego kalibru. - Jestem adwokatem!

- No to masz pan fart! - usłyszał, gdy stanęli pod drzwiami sali konferencyjnej.

- Dobrze wiecie, że nie możecie mnie aresztować dopóki nie postawicie mi zarzutów!

Bez pośpiechu otworzyli drzwi.

- My tylko wykonujemy rozkazy.

- Czyje?

- Moje! - odparł dobrze mu znany, tubalny głos.

David odwrócił się i ujrzał twarz, której nie widział od czasu, gdy przed ośmioma laty rzucił pracę w prokuraturze. Porucznik Pokie Ah Ching z wydziału zabójstw reprezentował typowy dla Haiti miks kilku ras: w oczach miał coś z Chińczyka, obwisłe policzki i podbródek sugerowały portugalskich przodków, smagła cera zaś była bez wątpienia dziedzictwem polinezyjskim. David stwierdził, że Pokie prawie wcale się nie zmienił. Wprawdzie przybyło mu centymetrów w pasie, ale wciąż nosił ten sam poliestrowy garnitur, który na pewno już się nie dopinał na potężnym brzuchu.

- Proszę, proszę, kolega Ransom! - mruknął Pokie. - Człowiek rzuca sieci i patrzcie, kto w nie wpada.

- Właśnie. - David wyszarpnął się policjantom.

- Nie ta ryba co trzeba.

- Puśćcie go! - nakazał im Pokie. - Jest czysty. Podwładni natychmiast wykonali polecenie.

- Co jest? - warknął David, gdy zostali sami. W odpowiedzi Pokie podszedł bliżej.

- Widzę, że prywatna praktyka przynosi niezłe dochody - stwierdził z przekąsem. - Sprawileś sobie elegancki garnitur. I drogie buty. Pewnie włoskie. Dobrze ci się powodzi, Davy?

- Nie narzekam.

Pokie przysiadł na brzegu stołu i skrzyżował ręce.

- Jak ci się pracuje w nowym biurze? Brakuje ci czasem starych śmieci?

- Jasne.

- Miesiąc po twoim odejściu awansowali mnie na porucznika.

- Gratuluję.

- Ale wciąż chodzę w starym garniturze. Jeżdżę tym samym zdezelowanym gratem. A moje buty?

- Wyciągnął do przodu stopę. - Tajwańskie.

David czuł, że za chwilę straci cierpliwość.

- Powiesz mi, co jest grane? Czy mam się sam domyślić?

Pokie wyciągnął z kieszeni paczkę tanich papierosów, tych samych od lat.

- Jesteś znajomym Kate Chesne? - zapytał. Zaskoczył go niespodziewaną zmianą tematu.

- Znam ją - odparł lakonicznie.

- Jak dobrze?

- Rozmawiałem z nią parę razy. Znalazłem jej pióro i przyszedłem oddać.

- Więc nie wiesz, że wczoraj w nocy przywieźli ją do szpitala? Z wypadku.

- Co takiego?

- Nic strasznego się nie stało - uspokoił go Pokie. - Ma lekkie wstrząśnienie mózgu i parę siniaków. Pewnie jeszcze dziś puszczą ją do domu.

Emocje z taką siłą ścisnęły go za gardło, że nie był w stanie wydusić słowa. Bezradnie patrzył na Pokiego, który zaciągnął się papierosem, po czym zauważył:

- Patrz, jak to się śmiesznie układa. Prowadziliśmy niedawno śledztwo, które utknęło w martwym punkcie. Akta zostały odesłane do archiwum. Nie było żadnych śladów, które pozwoliłyby nam posunąć się o krok naprzód, aż tu nagle bach! Dopisało nam szczęście.

- Co się stało Kate? - wychrypiał.

- Miała babka pecha i znalazła się w złym czasie w niewłaściwym miejscu. - Pokie wypuścił wielki kłęb dymu. -

Wczoraj wieczorem wdepnęła w sam środek koszmarnej sceny.

- Chcesz powiedzieć, że była świadkiem? Ale czego?
- Morderstwa.

Do sali, w której leżała, dobiegały typowe odgłosy szpitala pracującego pełną parą: tu nigdy nie milkły telefony ani trzaski radiowęzła, przez który wzywano lekarzy. Przez całą noc nasłuchiwała tych znajomych dźwięków. Przypominały jej, że nie jest sama. Znużenie i senność ogarnęły ją dopiero w środku dnia. I choć pokój tonął w słonecznym blasku, zasnęła. Nie słyszała ani pukania, ani tego, że ktoś ją woła. Obudził ją dopiero podmuch powietrza towarzyszący otwieraniu drzwi. W półśnie wyczula, że ktoś zbliża się do jej łóżka. Upłynęła chwila, zanim zmusiła się do otwarcia oczu. Jak przez mgłę zobaczyła twarz Davida.

Mimo fizycznej niemocy, niemal natychmiast zaczęła kielkować w niej złość. Ten pozbawiony skrupułów człowiek nie ma prawa nachodzić jej w chwili, gdy jest zdana na jego łaskę i niezdolna do obrony. Powinna już na wstępie mu wygarnąć, co o nim myśli, jednak wyczerpanie sprawiło, że zabrakło jej siły i słów.

Jemu też ich brakowało. Patrzyli na siebie w milczeniu, jakby nagle oboje zaniemówili.

- To chwyć poniżej pasa, panie Ransom - szepnęła oskarżycielsko. - Nie kopie się leżącego. - Odwróciła głowę. - Zapomniał pan o dyktafonie. Bez niego nie wolno odbierać zeznań. Chyba że chowa go pan w kieszeni.

- Daj spokój, Kate. Proszę cię... Znieruchomiała. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Miała wrażenie, że nagle runął niewidzialny mur, który ich dzielił, nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego tak się stało.

- Nie przyszedłem tu kopać leżącego - ciągnął. - W ogóle nie powinno mnie tu być. Kiedy jednak usłyszałem, co się stało, nie mogłem przestać myśleć...

Napotkała jego spojrzenie. Po raz pierwszy nie wydał jej się niedostępny. Musiała wręcz przypomnieć sobie, że ma do czynienia z wrogiem, ta wizyta zaś, bez względu na cel, niczego między nimi nie zmienia. Zdziwiło ją, że nie czuje zagrożenia. Wręcz przeciwnie. Nie wiedzieć czemu poczuła się przy nim bezpieczna. Nie chodziło o ochronę fizyczną, choć jego postura musiała budzić respekt, lecz o bijącą od niego wewnętrzną siłę. Robił wrażenie człowieka ze wszechmiar kompetentnego. W pewnej chwili złapała się na tym, że żałuje, iż nie jest jej obrońcą. Mając w nim sojusznika, nie przegrałaby żadnej bitwy.

- Dowiem się, o czym tak myślałeś? - zapytała. Przesząpił z nogi na nogę, jakby zamierzał wyjść.

Nie potrafił ukryć skrepowania.

- Przepraszam. Niepotrzebnie cię obudziłem.

- Po co przyszedłeś? Zatrzymał się w pół kroku.

- Widzisz, byłbym zapomniiał. - Roześmiał się z przymusem. - Przyszedłem, żeby coś ci oddać. Zgubiłaś to na przystani - powiedział, podając jej pióro.

Gdy je od niego brała, mimochodem spojrzała na jego dłonie. Duże i silne.

- Dziękuję ci - szepnęła.

- Ma dla ciebie wartość sentymentalną?

- Poniekąd. Dostałam je w prezencie. Od mężczyzny, z którym... - Odchrząknęła. - Jeszcze raz dziękuję.

Wiedział, że w tym momencie powinien pożegnać się i wyjść. Spełnił dobry uczynek, więc przeciąganie wizyty nie ma sensu. Tymczasem jakaś siła kazała mu sięgnąć po krzesło i usiąść przy jej łóżku.

Spojrzał na jej splątane włosy i wielki, paskudnie granatowy siniec na twarzy. Niespodziewanie ogarnął go dziki gniew na tego, który próbował ją skrzywdzić.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jestem zmęczona. Obolała - odparła, wzruszając ramionami. - Ale cieszę się, że żyję.

Zauważyła, że przygląda się śladom na jej policzku, więc instynktownie próbowała je zasłonić. Jednak po chwili opuściła rękę. Jego ten gest zasmucił i przygnębił. Kate najwyraźniej wstydzi się, że padła ofiarą przemocy, i traktuje swoje obrażenia jak rodzaj piętna.

- Nie jestem dziś w szczytowej formie - mruknęła.

- Nie wyglądasz źle. Naprawdę. - Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to idiotycznie, ale naprawdę tak uważał. Dla niego wyglądała pięknie. - Sińce przecież znikną. Najważniejsze, że jesteś bezpieczna.

- Tak myślisz? - Zerknęła na drzwi. - Przez całą noc pilnował mnie policjant. Słyszałam, jak żartował z pielęgniarkami. Ciekawe, po co go tu postavili?

- Środki ostrożności. Żeby nikt cię nie niepokoił.

- Jak w takim razie udało ci się tu wejść?

- Znam porucznika, który prowadzi sprawę. Współpracowałem z nim jako prokurator.

- Byłeś prokuratorem?

- Tak. Spełniłem swój obywatelski obowiązek. Otarłem się o największe brudy świata. Za głodową pensję.

- Rozmawiałeś z nim o tym, co się stało?

- Powiedział mi, że jesteś jedynym świadkiem. Twoje zeznania są kluczowe dla sprawy.

- Mówił ci, że Ann Richter próbowała się do mnie dodzwonić? Na krótko przed śmiercią zostawiła wiadomość na mojej sekretarce.

- Czego dotycząca?

- Ellen O'Brien.
 - Nic mi o tym nie wiadomo - przyznał.
 - Panie Ransom, Ann wiedziała o czymś, co miało bezpośredni związek ze śmiercią Ellen. Niestety, nie zdążyła mi o tym powiedzieć.
 - Jaka była treść wiadomości?
 - „Wiem, dlaczego umarła”. Tak powiedziała.
 - To może nic nie znaczyć - odparł, czując, że czar jej zielonych oczu działa na niego coraz silniej. - Niewykluczone, że w końcu odkryła, dlaczego operacja zakończyła się fatalnie...
 - Ale ona użyła słowa „dlaczego”. „Wiem, dlaczego umarła”. Sugerowała, że był jakiś powód. Ktoś miał cel w tym, żeby Ellen umarła.
 - Morderstwo na stole operacyjnym? - Sceptycznie pokręcił głową. - Bez przesady.
 - Mogłam się domyślić, że tak zareagujesz. Gdyby się okazało, że pacjentka została zamordowana, nie mógłbyś wytoczyć mi procesu.
 - Co mówi policja?
 - A skąd ja mam wiedzieć? - rzuciła rozdrażniona. - Ten twój znajomy, Ah Ching, raczej się nie rozgaduje. Ciagle tylko coś tam bazgrze w notatniku. Może uważa, że wiadomość od Ann nie ma związku ze sprawą. A może nie chce poznać faktów, które podważą jego hipotezę. - Spojrzała na drzwi. - Tylko po co dał mi ochronę? Może dzieje się coś, o czym nie wiem.
- Rozległo się pukanie i do pokoju weszła pielęgniarka z dokumentami potrzebnymi do wypisu ze szpitala. David obserwował, jak Kate podpisuje drżącą ręką formularze i nie mógł uwierzyć, że jest to ta sama kobieta, która siłą wdarła się do jego biura. Wtedy był pod wrażeniem jej determinacji.
- Dziś robiła na nim wrażenie swoją słabością.

- Masz się u kogo zatrzymać? - zapytał, gdy po wyjściu pielęgniarki opadła na poduszkę.

- Przyjaciele mają letni dom, z którego prawie nie korzystają. Podobno stoi przy samej plaży. - Westchnęła i wyjrzała tęsknie przez okno. - Plaża dobrze mi robi.

- Będiesz tam mieszkała sama? To bezpieczne? Milczała. Nadal spoglądała za okno. Nie czuł się

komfortowo ze świadomością, że będzie zupełnie sama, na jakimś odludziu, bez ochrony. Zaraz jednak przypomniał sobie, że troska o jej bezpieczeństwo nie jest jego problemem, a wikłanie się w jakikolwiek z nią związek byłoby z jego strony czystym szaleństwem. Niech o jej bezpieczeństwo martwi się policja. Wstał, by się pożegnać. Przyjęła to obojętnie. Dalej siedziała skulona, obejmując się ramionami. Kiedy wychodził z pokoju, usłyszał jej cichy głos:

- Chyba już nigdy nie będę czuła się bezpieczna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Uprzedzam, że to żadna rewelacja - zastrzegła Susan Santini, gdy jechały drogą wzdłuż wybrzeża. - Parę pokoi, stara kuchnia. Powiedziałabym, wręcz prehistoryczna. Ale dom jest przytulny. I tak cudownie słyszeć w nim szum morza. - Skreśliła w boczną drogę wśród zarośli i ruszyła w stronę morza, zostawiając za sobą obłok czerwonego pyłu. - Odkąd wróciłam do pracy, prawie tu nie przyjeżdżamy. Guy parę razy wspominał, że powinniśmy sprzedać dom, ale ja nie chcę o tym słyszeć. W dzisiejszych czasach jest coraz mniej takich rajskich zakątków.

Opony zachręściły na zwirowym podjeździe i oczom Kate ukazał się mały dom w stylu kolonialnym, ulokowany w cieniu starych drzew. Z dachem zasypanym brunatnym igliwem i spłowiałym zielonym szalunkiem wyglądał jak zaniedbany domek dla lalek.

Kate wysiadła z samochodu i przez chwilę stała w zielonym cieniu, wsłuchując się w szum fal rozlewających się leniwie na piasku. W promieniach południowego słońca morze lśniło ostrym szafirem.

- Tam są! - zawołała Susan i wskazała plażę, po której płaśał radośnie jej synek. Poruszał się z wdziękiem małego elfa, wymachując chudymi kończynami i śmiejąc się, aż mu odskakiwała głowa. Luźne spodenki kąpielowe ledwie trzymały się na jego wąziutkich biodrach. Na tle jasnego nieba wyglądał jak pajacyk z patyków albo bajkowa zjawa, która w każdej chwili może zniknąć.

Na kocu obok siedziała młoda kobieta i od niechcienia kartkowała kolorowe pismo.

- To Adele - szepnęła Susan. - Nawet nie wiesz, ile trwało, zanim ją znaleźliśmy. Obawiam się jednak, że się nie utrzyma. Szkoda, bo William zdążył ją polubić.

Chłopiec, który nagle je zauważył, przestał podskakiwać i zaczął machać do nich ręką.

- Cześć, mammo!

- Cześć, słońce! - odkrzyknęła, po czym wzięła Kate pod rękę i powiedziała: - Wywietrzyliśmy i wysprzątailiśmy dom. Mam nadzieję, że czeka na nas świeżo parzona kawa. Telefon działa, więc masz kontakt ze światem - dodała, gdy weszły do kuchni. - W lodówce znajdziesz jedzenie na kilka dni. Same podstawowe rzeczy, ale Guy obiecał, że jutro przywieziemy tu twój samochód, więc będziesz mogła sama jeździć po zakupy. A teraz chodź, pokażę ci twój pokój.

Zaprowadziła ją tam i podszedłszy do okna, rozsunęła firanki. Promienie wdarły się do środka i dodały blasku jej rudym lokom.

- Popatrz, to ten niesamowity widok, o którym ci mówiłam. - Z miłością spojrzała na morze. - Moim zdaniem ludzie nie potrzebowaliby psychiatrów, gdyby każdego dnia patrzyli na takie cuda. Gdyby tak jeszcze mogli wylegiwać się na słońcu, słuchać szumu fal i śpiewu ptaków - rozmarzyła się. - No ale mów, co o tym myślisz? - zapytała, przybrawszy rzeczowy ton.

- Myślę, że... - Kate popatrzyła na wywoskowaną podłogę, przejrzyste firanki, plamy słońca, w których wirowały drobinki kurzu - nie będzie chciała się stąd wyprowadzić - dokończyła z uśmiechem.

Na werandzie zadudniły kroki, stuknęły drzwi.

- Koniec ciszy i spokoju! - westchnęła Susan. Wróciły do kuchni, gdzie mały William, podśpiewując, układał na szafce znalezione na plaży patyki.

- Popatrz, mammo! - zawołał, dumny ze swoich skarbów.

- Ojej, ale kolekcja! - odparła Susan z entuzjazmem. - Co zrobisz z tych wszystkich kijów?

- Mamo, to nie są kije, tylko miecze - pouczył ją. - Do zabijania potworów.

- Potworów? Skarbie, tyle razy ci mówiłam, że potwory nie istnieją!

- Właśnie, że istnieją!

- Zapomniałaś, że tata zamknął je w więzieniu?

- Ale nie wszystkie! - odparł z przekonaniem, nie przerywając układania. - Pochowały się w krzakach. Dziś w nocy słyszałem, jak wyją.

- Williamie, o jakich potworach mówisz? - Susan cierpliwie drażyła temat.

- O tych, które siedzą w krzakach.

- Aha, teraz rozumiem, dlaczego o drugiej w nocy przyszedł do nas spać. - Susan zerknęła porozumiewawczo na Kate.

- Proszę bardzo, masz tu sok. - Adele postawiła przed nim kubek. - A co ty masz w kieszeni? - zapytała.

- Nic.

- Jak to nic? Przecież widzę, że coś się tam rusza. William zlekceważył ją i siorbiąc, wypił sok. Nagle jego kieszeń wyraźnie się wybrzuszyła.

- William, proszę mi to natychmiast oddać - rzekła stanowczo Adele, wyciągając rękę.

Chłopiec spojrzał błagalnie na najwyższą instancję, czyli własną matkę. Ta jednak pokręciła głową, westchnął więc ciężko i sięgnął do kieszeni, by po chwili położyć coś na dłoni opiekunki.

Jej mrozący krew w żyłach krzyk najbardziej przeraził sprawczynię zamieszania, czyli małą jaszczurkę, która wykorzystwała okazję i zwinnie skoczyła na podłogę, zostawiając wszakże swój wijący się ogon w ręce zszokowanej dziewczyny.

- Ucieka! - jęknął William.

Ponieważ wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać, wszystkie trzy rzuciły się na kolana i zaczęły szukać uciekinierki. Zanim ją złapały i uwięziły w słoiku, zdążyły dostać zadyszki i kolki ze śmiechu.

- Nie do wiary! - wysapała Susan, siadając na podłodze i opierając plecy o lodówkę. - Trzy stare wariatki przeciwko jednej maleńkiej jaszczurce. Jesteśmy chyba beznadziejne, co?

William podszedł do niej i długo patrzył na jej lśniące w słońcu włosy. Potem wziął jeden lok i z zachwytem patrzył, jak włosy przesypują mu się między palcami.

- Moja mamusia... - szepnął.

Susan uśmiechnęła się do niego, a potem ujęła jego buzię w dłoń i czule go pocałowała.

- Moje maleństwo.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego - oznajmił David. - Chcę usłyszeć resztę.

Pokie Ah Ching odgryzł duży kęs Big Maca i długo go przeżuwał. Miał przy tym skupioną twarz człowieka, który zbyt długo odmawiał sobie posiłku.

- Skąd pomysł, że coś przed tobą ukrywam? - zapytał, ścierając z brody resztkę keczupu.

- Zapędziłeś do roboty ludzi od zadań specjalnych, posadziłeś pod drzwiami Kate strażnika, obstawiłeś główny hol. To mi wygląda na grubszą sprawę.

- Taaa... rzeczywiście. Chodzi o morderstwo. - Pokie wygrzebał z kanapki plasterek kiszzonego ogórka i z obrzydzeniem rzucił go na stos pomiętych serwetek. - Ale co ty mnie, chłopie, tak przepytujesz? Myślałem, że już nie jesteś prokuratorem.

- Może i nie, ale zawodowa ciekawość została.

- Ciekawość? Mam wierzyć, że przyszedłeś tu wyłącznie z ciekawości?

- Tak się składa, że Kate jest moją znajomą.

- Nie wciskaj mi tu ciemnoty, Davy! – Pokie skarcił go wzrokiem. - Chyba zapomniałeś, że jestem gliną, a moja robota polega na zadawaniu pytań. Wiem, że nasza miła pani doktor nie jest twoją znajomą. Ma być oskarżona w sprawie, którą prowadzisz. A tak swoją drogą, odkąd to zacząłeś spoufalać się z pozwaną?

- Odkąd zacząłem wierzyć w to, co mówi o przypadku Ellen O'Brien. Dwa dni temu przyszła do kancelarii i sprzedała mi tak idiotyczną historyjkę, że po prostu ją wyśmiałem. I nawet zacząłem podejrzewać, że ma paranoję. A tu nagle ktoś podrzyna gardło tej pielęgnowarce, Ann Richter. Więc zaczynam mieć wątpliwości. Czy Ellen O'Brien naprawdę umarła z powodu błędu lekarza? Czy może ktoś ją zabił?

- Zabił? - Pokie odgryzł następny kęs. - Przypominam, że morderstwa to moja działka, a nie twoja.

- Słuchaj, złożyłem do sądu pozew, w którym oskarżam lekarkę o błąd w sztuce. Jeśli w trakcie procesu miałyby się okazać, że to było morderstwo, to nie tylko straciłbym czas, ale i opinię. Więc zanim wygłupię się przed sędzią i ławą przysięgłych, chciałbym poznać wszystkie fakty. Bądź ze mną szczery, Pokie. Przez wzgląd na stare dobre czasy.

- Ty tu mnie nie bierz pod włos, Davy. To ty rzuciłeś robotę, nie ja. Domyślam się, że ciężko było się nie skusić na taką kasę. Ty robisz szmal, a ja co? Nic. Wciąż tu tkwię. - Z hukiem zatrzaskał szufladę. - Razem z tym badziewiem, które nazywają meblami.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie odszedłem dla pieniędzy.

- Więc dlaczego?

- Z powodów osobistych.

- Taaa... Z tobą to tak zawsze. Cholernie jesteś dyskretny. Zamykasz się w sobie jak ślimak w skorupie.

- Mamy rozmawiać o śledztwie, które prowadzisz. Pokie odchylił się w fotelu i przez chwilę badawczo mu się przyglądał. Drzwi do pokoju zostawił otwarte, więc gdy obaj umilkli, jeszcze natrętniej wdzierał się do środka typowy posterunkowy harmider: niemilkące telefony, donośne głosy, klikanie klawiatury. Widocznie Pokie nabawił się uczulenia na ten hałas, bo zde gustowany wstał i zatrzasnął drzwi.

- Okej - westchnął z rezygnacją, wracając za biurko. - Co cię interesuje?

- Szczegóły.

- A konkretnie?

- Dlaczego zabójstwo Ann Richter ma takie znaczenie dla śledztwa?

Zamiast odpowiedzieć, Pokie zaczął szperać w stosie papierów na biurku. W końcu wyciągnął dużą kopertę i podał ją Davidowi.

- Wstępne wyniki sekcji zwłok. Poczytaj sobie. Raport medyczny składał się z trzech stron druku, na których z chłodną, zatrważającą precyzją zostały podane wnioski z oględzin i autopsji, a także szczegółowy opis sposobu, w jaki popełniono zbrodnię. David w swej pięcioletniej karierze zastępcy prokuratora przeczytał nie jeden taki dokument, lecz tym razem aż się wzdrygnął.

„Głęboka rana cięta lewej tętnicy szyjnej... zadana wyjątkowo ostrym narzędziem podobnym do brzytwy... uraz prawej skroni, prawdopodobnie na skutek uderzenia o róg stołu... liczne ślady krwi na ścianach”.

- Widzę, że M.J. nie straciła talentu do krwawych opisów. Aż się żołądek wywraca, jak się to czyta - skomentował, przewracając kartkę. Nagle zastanowiła go informacja, którą ujrzał na drugiej stronie.

- Powiem ci, że pewne wnioski są bez sensu. M.J ma pewność co do czasu zgonu?

- Przecież ją znasz, to solidna firma. Też ją zastanowiło, dlaczego zwłoki były już takie zimne i miały plamy opadowe.

- Nic z tego nie rozumiem. Morderca podrzyna kobiecie gardło, a potem przez trzy godziny siedzi w jej mieszkaniu. Po co? Żeby rozkoszować się widokiem?

- Żeby posprzątać. Pozacierać ślady.

- Zginęło coś?

- Problem w tym, że nie - westchnął Pokie. - Pieniądze i biżuteria leżały na widoku, ale morderca ich nie tknął.

- Tło seksualne?

- Odpada. Ofiara była ubrana. Poza tym to była niemal natychmiastowa śmierć. Gdyby to był psychol, nie zabiłby jej z taką kliniczną precyzją. Chciałby mieć z tego radochę.

- Jednym słowem mamy brutalne morderstwo i żadnych motywów. Czy są jakieś nowe tropy?

- Przeczytaj opis rany.

- Głęboka rana cięta lewej tętnicy szyjnej zadana wyjątkowo ostrym narzędziem podobnym do brzytwy. I co z tego wynika?

- Dwa tygodnie temu M.J. sporządziła niemal identyczny raport. Tyle że wtedy ofiarą mordercy padł ginekolog położnik. Nazywał się Henry Tanaka.

- Ann Richter była pielęgniarką.

- Właśnie. A teraz najciekawsza informacja. Zanim Richter zaczęła pracować na bloku operacyjnym, dorabiała dyżurami na położnictwie. Jest więc bardzo prawdopodobne, że знаła Tanakę.

David machinalnie pomyślał o innej pielęgniarce, która pracowała na oddziale położniczym. I która, podobnie jak Ann Richter, już nie żyła.

- Co wiesz o tym ginekologu? - zapytał. Pokie sięgnął po papierosa i popielniczkę.

- Nie będzie ci przeszkadzało?

- Nie, jeśli będziesz mówił.
- Od rana marzę o fajkach - westchnął Pokie.
- Przy tym Brophym nawet nie można zajarać, bo zaraz jęczy, że dym podrażnia mu zatoki. - Pstryknął zapalniczką i po chwili wciągnął do płuc dawkę nikotyny. - No dobra. - Z błogą miną wypuścił obłok dymu.

- Tanaka miał prywatną klinikę na Liliha. Dwa tygodnie temu został w pracy dłużej, podobno miał jakąś papierkową robotę. W każdym razie tak powiedział żonie, która twierdzi, że zawsze późno wracał. Dała przy tym do zrozumienia, że to wcale nie praca zatrzymywała go w klinice.

- Kochanka?

- A co innego?

- Żona podała konkretne nazwisko?

- Nie. Ale podejrzewała, że to któraś z pielęgniarek. Fakt jest taki, że o siódmej wieczorem portier znalazł w klinice ciało Tanaki. Początkowo skłanialiśmy się ku hipotezie, że padł ofiarą jakiegoś nagrzanego ćpuna. Było to o tyle prawdopodobne, że z szafki zginęły leki.

- Narkotyki?

- Właśnie nie. Porządny towar był zamknięty na zapleczu. O dziwo zabójca zabrał lekarstwa, za które na ulicy nie dostałby złamanego centa. Uznaliśmy, że albo był kompletnie naćpany, albo głupi jak but. Miał jednak na tyle rozumu, żeby nie zostawić śladów. Nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia, więc szybko znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Jedynym tropem były zeznania portiera, który widział na parkingu jakąś kobietę. Nie przyjrzał jej się, bo padało i było już ciemno, ale zapamiętał, że była blondynką.

- Był pewny, że to była kobieta?

- A niby kto? Facet w peruce? - Pokie był wyraźnie rozbawiony własnym dowcipem. - Wiesz, że o tym nie pomyślałem. A to w końcu całkiem prawdopodobne.

- I dokąd zaprowadził was ten trop z blondynką?

- Właściwie donikąd. Pytaliśmy o nią kogo się dało, ale nikt nic nie wiedział. Nawet zaczęliśmy podejrzewać, że tajemnicza blondynka to jakaś podpucha. Wtedy zginęła Ann Richter. A ona była blondynką. - Pokie znów wypuścił dym przez nos. - Dzięki Kate Chesne mamy nadzieję na przełom w śledztwie. Teraz przynajmniej wiemy, jak wygląda koleś, którego szukamy. W poniedziałek opublikujemy w gazetach portret pamięciowy. Może wreszcie padną jakieś nazwiska.

- Jaki rodzaj ochrony dajecie Kate?

- Ulokowaliśmy ją w bezpiecznym miejscu na północnym wybrzeżu. Kazałem, żeby co kilka godzin koło domu przejechał radiowóz.

- To wszystko?

- Przecież nikt jej tam nie znajdzie.

- Zawodowiec raczej sobie z tym poradzi.

- A co twoim zdaniem mam zrobić? Dać jej całodobową ochronę? Popatrz na te akta, Davy! Jestem dosłownie zawalony tym śmieciem. Uważam się za szczęściarza, jeśli noc minie bez nowego trupa.

- Zawodowcy nie zostawiają świadków - przypomniał mu David.

- Nie wiadomo, czy to zawodowiec. Poza tym sam wiesz, jak u nas ze wszystkim krucho. Tylko popatrz na ten syf! - Ze złością kopnął biurko. - Ma co najmniej dwadzieścia lat i jest zżarte przez korniki. Że już nie wspomnę o przestarzałym komputerze. Jak mi zależy na czasie, wysyłam odciski palców do Kalifornii, żeby je sprawdzili w rejestrze. - Sfrustrowany, klapnął na swój dwudziestoletni fotel. - Posłuchaj, Davy. Jestem przekonany, że pani doktor będzie bezpieczna. Chciałbym dać ci gwarancję, ale sam wiesz, jak to jest.

Jasne, pomyślał David, wiem aż za dobrze. Niektóre aspekty pracy policji się nie zmieniały. Zbyt wiele potrzeb, za

mały budżet. Sam nie wiedział, kiedy zaczął sobie wmawiać, że interesuje się tą sprawą wyłącznie jako prawny przedstawiciel strony pozywającej; w końcu zadawanie pytań należy do jego podstawowych obowiązków. Musiał się upewnić, czy w świetle nowych faktów sprawa, którą prowadzi, nie zmieni charakteru. Jednak im dłużej przekonywał siebie do tej wersji, tym częściej wyobraźnia podsuwała mu obraz osamotnionej i bezradnej Kate w szpitalnym łóżku.

Chciał wierzyć, że Pokie właściwie ocenił sytuację.

Z doświadczenia wiedział, że jest dość kompetentny. Lecz z drugiej strony miał świadomość, że nawet najlepsi policjanci czasami się mylą. Pech chciał, że stróże prawa i lekarze mają jedną wspólną cechę: zarówno jedni, jak i drudzy rzadko przyznają się do błędów.

Słońce tak ją rozleniwiło, że zapadła w niespokojny sen. Leżała na brzuchu z rękami pod głową, pozwalając, by fale leniwie masowały jej stopy, a wiatr bezkarnie przewracał strony książki. Odludny fragment plaży, gdzie ciszę zakłócały jedynie krzyki ptaków i szum drzew, okazał się idealną kryjówką przed światem. I miejscem, gdzie można spokojnie leczyć rany.

Westchnęła przez sen i poczuła kokosowy zapach olejku do opalania. Zaczęła się budzić, łaskotana przez wiatr rozwiewający włosy. Jednak ostatecznie obudził ją głód. Od śniadania nic nie jadła, a popołudnie zaczynało już przechodzić w wieczór.

Ociągała się z otwarciem oczu, lecz nagle instynktownie wyczuła, że nie jest sama. To wystarczyło, by natychmiast strząsnęła z siebie resztki snu. Wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Dlatego nie poczuła się zaskoczona, gdy przewróciwszy się na bok, zobaczyła Davida.

Stał nieopodal, ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulę, w której dla wygody podwinął rękawy. Wiatr rozwiewał mu włosy, w których lśniło popołudniowe słońce. Nic nie mówił, stał z rękami w kieszeniach i po prostu jej się przyglądał. Kostium, który miała na sobie, zdecydowanie nie był skąpy, ale poczuła się zawstydzona, gdyż miała wrażenie, że rozbiera ją wzrokiem. Przez jej ciało przepłynęła nagle fala gorąca.

- Ciężko cię namierzyć - stwierdził.

- Na tym polega idea kryjówki. Chodzi o to, żeby nikt cię nie znalazł.

Rozejrzał się po pustej plaży.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby tak się wystawiać - zauważył.

- Ma pan rację. - Sięgnęła po książkę i ręcznik, po czym wstała. - Nigdy nie wiadomo, kto się włóczy po okolicy. Może jakiś złodziej. Albo morderca. - Zarzuciła ręcznik na ramię i ruszyła w stronę domu.

- Albo co gorsza prawnik.

- Kate, muszę z tobą porozmawiać.

- Mam już prawnika. Proponuję, żeby się pan z nim skontaktował.

- Chodzi o sprawę Ellen O'Brien.

- Wystarczy, jeśli powie mi o tym w sali sądowej - rzuciła przez ramię i przyspieszyła kroku.

- Raczej się tam nie spotkamy! - zawołał.

- Co za szkoda!

Dogonił ją przed domem, ale zdążyła wbiec na werandę i zatrzaskać mu przed nosem drzwi.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Sens jego słów dotarł do niej, gdy była na środku kuchni. Tam też się zatrzymała. Odwróciła się powoli i spojrzała na niego przez ekran z drobniutkiej metalowej siatki wypełniającej drzwi.

- Chyba nie będzie mnie w sądzie - powtórzył.
- Jak mam to rozumieć?
- Rozważam rezygnację z prowadzenia tej sprawy.
- Dlaczego?
- Wytlumaczę, jak mnie wpuścisz.

Nie spuszczać go z oczu, pchnęła siatkowe drzwi.

- Niech pan wejdzie, panie Ransom. Faktycznie pora, żebyśmy porozmawiali.

Bez słowa wszedł do środka i stanął przy stole. Obserwował ją. Była boso, co dodatkowo powiększyło i tak dużą różnicę wzrostu między nimi. Zapomniała, że jest tak wysoki i patykowaty. Może dlatego, że dotąd widywała go w garniturze, który dodawał mu trochę masy. Zdecydowanie wolała go w dżinsach. Nagle uświadomiła sobie, jak skąpo jest ubrana. Niepokoił ją sposób, w jaki David podążał za nią wzrokiem. Niepokoił, a jednocześnie podniecał. Tak jak może podniecać zabawa zapalnikami w pobliżu beczki prochu. Ciekawe, czy pan Ransom jest równie wybuchowy?

- Muszę... się ubrać. Przepraszam na chwilę. Uciekła do swojego pokoju i złapała pierwszą z brzegu czystą sukienkę. Biała przewiewna tunika z hinduskiego sklepu niebezpiecznie trzeszczała w szwach, gdy pospiesznie wciągała ją przez głowę. Przed wyjściem policzyła do dziesięciu, ale i tak lekko drżały jej ręce.

W kuchni zastała Davida nad książką, którą czytała.

- Powieść wojenna - rzuciła. - Taka sobie, ale pozwala zabić czas, którego mam ostatnio pod dostatkiem. Proszę usiąść. Zaparzę kawę.

Banalnie prosta czynność napełniania czajnika wodą i postawienia go na kuchni wymagała od niej maksymalnej koncentracji. Później było coraz gorzej. Najpierw niechęć wrzuciła do zlewu papierowy ręcznik, potem rozsypała kawę.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Delikatnie odsunął ją na bok.

Bez protestu pozwoliła mu sprzątnąć bałagan. Nic nie mówiła, gdyż nagle poczuła się przytłoczona jego bliskością. I falą pożądania, które pojawiło się nie wiadomo skąd. Na miękkich nogach wróciła do stołu i usiadła.

- A tak przy okazji - rzucił przez ramię - czy możemy darować sobie pana Ransoma? Mam na imię David.

- Aaa, tak. Wiem. - Skrzywiła się, zirytowana własnym głosem, który brzmiał tak, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

David usiadł, ich spojrzenia się spotkały.

- Jeszcze wczoraj chciałeś mnie powiesić - przypomniała mu. - Można wiedzieć, co cię skłoniło do zmiany zdania?

W odpowiedzi wyjął z kieszeni kopię artykułu.

- Ukazał się dwa tygodnie temu - powiedział, kładąc kartkę na stole.

Spojrzała na tytuł: „Lekarz zaszlachtowany we własnym gabinecie”.

- Jaki to ma związek ze mną?

- Znałaś go? Nazywał się Henry Tanaka.

- Wiem, że pracował u nas na położnictwie, ale nie miałam z nim do czynienia.

- Przeczytaj opis rany.

- Piszą, że zmarł w wyniku ran na szyi i karku.

- Zadanych bardzo ostrym narzędziem. Szyja została rozplątana jednym cięciem, z lewej strony, w miejscu, gdzie znajduje się tętnica. Czyli wyjątkowo skutecznie.

- Ann też... - Niespodziewanie zawiódł ją głos. Skinął głową.

- Identyczna metoda. I taki sam tragiczny skutek.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Porucznik Ah Ching od razu zwrócił uwagę na te podobieństwa. Dlatego posadził pod twoimi drzwiami policjanta. Jeśli między tymi dwoma morderstwami istnieje

jakiś związek, możemy założyć, że zabójca działa w sposób systematyczny, w pewnym sensie racjonalny.

- Racjonalny? Co może być racjonalnego w zamordowaniu lekarza? Albo pielęgniarki? Tak może działać tylko psychopata!

- Morderstwo to naprawdę dziwne zjawisko. Czasem wydaje się, że zostało popełnione bez powodu, czasem ten straszliwy akt ma logiczne uzasadnienie.

- Zabicie człowieka nigdy nie ma logicznego uzasadnienia! - rzekła z oburzeniem.

- A jednak jest zjawiskiem powszednim. I zawsze istnieje jakiś przyziemny powód. Pieniądze. Walka o władzę. - Zawiesił głos. - I wreszcie są zbrodnie popełniane z namiętności. Ponoć Tanaka miał romans z pielęgniarką.

- Nie on pierwszy, nie ostatni. A o której pielęgniarce mówimy?

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

- Przykro mi, ale nie śledzę szpitalnych plotek.

- Nawet jeśli dotyczą twojej pacjentki?

- Mówisz o Ellen? Ja... naprawdę nie wnikam w prywatne sprawy tych, których leczę. No, chyba że mają wpływ na stan ich zdrowia.

- W przypadku Ellen mogło tak właśnie być.

Cóż, była bardzo atrakcyjna, więc na pewno w jej życiu pojawiali się mężczyźni. - Jeszcze raz spojrzała na artykuł. - Ale co to ma wspólnego z Ann Richter?

- Być może nic. Albo bardzo wiele. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zmarło troje pracowników Mid Pac. Dwoje zostało zamordowanych. Jedna osoba zmarła na stole operacyjnym w wyniku nagłego zatrzymania akcji serca. Przypadek?

- Mid Pac to spory szpital. Pracuje w nim mnóstwo ludzi.

- Tych troje na pewno się znało. Przez pewien czas razem pracowali.

- Jak to? Przecież Ann była instrumentariuszką.

- Która kiedyś pracowała na oddziale położniczym.

- Naprawdę?

- Osiem lat temu rozwiodła się i została z furą niezapłaconych rachunków. Potrzebowała pieniędzy, więc zaczęła brać dodatkowe dyżury na ginekologii. Nocne dyżury. Podobnie jak Ellen O'Brien. Tanaka, Richter i O'Brien się znali. Wszyscy troje nie żyją.

Donośny gwizd czajnika przerwał ciszę, ale ona nawet nie drgnęła. David wyręczył ją więc i zajął się parzeniem kawy. Ocknęła się dopiero, gdy po kuchni rozszedł się aromatyczny zapach.

- Dziwne - rzekła zamyślona. - Widywałam Ann codziennie. Rozmawiałyśmy o książkach, o filmach, ale nigdy o sobie. Zresztą ona bardzo strzegła swojej prywatności. Była raczej niedostępna i bardzo powściągliwa.

- Jak zareagowała na śmierć Ellen?

Przez chwilę w milczeniu wspominała straszne chwile poprzedzające śmierć koleżanki. Gdy życie Ellen wisiało na włosku, Ann okropnie zbladła i dosłownie zeszywniała.

- Była wtedy jak... sparaliżowana - rzekła cicho. - Wszyscy byliśmy okropnie zdenerwowani. Jeszcze tego samego dnia poszła na zwolnienie i już nie wróciła do pracy. Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Żywą...

- Tak jak mówiłaś, Ann musiała o czymś wiedzieć - uznał, podsuwając jej kubek. - O czymś potencjalnie groźnym. Może wiedzieli o tym wszyscy troje.

- Słuchaj, przecież to byli zwykli ludzie, pracownicy szpitala. Jakie oni mogli mieć tajemnice?

- W szpitalach dzieją się różne rzeczy. Zdarzają się kradzieże narkotyków, wyłudzenia odszkodowań, niemoralne miłosne związki. Niewykluczone, że również morderstwa.

- Skoro Ann wiedziała o czymś takim, dlaczego nie poszła z tym na policję?

- Być może obawiała się, że zostanie oskarżona o współudział w przestępstwie. Mogła też kogoś kryć.

Mroczny sekret? - powtarzała w myślach. Czy możliwe, żeby jej koledzy z pracy rzeczywiście go mieli?

- O ile dobrze rozumiem, jesteś skłonny uwierzyć, że Ellen została zamordowana - badała.

- Owszem. I dlatego tu jestem. Przyszedłem do ciebie po konkretną odpowiedź.

- Na jakiej podstawie mam ci jej udzielić? - Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Masz wiedzę medyczną. Byłaś świadkiem zdarzenia. Jeśli to faktycznie było morderstwo, zastanów się, jak mogło do niego dojść.

- Myślałam o tym tysiąc razy.

- Więc spróbuj tysiąc pierwszy. No dalej, Kate, rusz głową! Przekonaj mnie, że to była zbrodnia. Jeśli ci się uda, zrezygnuję z prowadzenia sprawy.

Nie pozostawiał jej wyboru. Jego ponaglący wzrok zmuszał ją, by trochę się wysiliła i przypomniała sobie każdy szczegół i każde zdarzenie tamtej feralnej niedzieli. Cofnęła się więc pamięcią do chwil, gdy jeszcze nic nie zapowiadało tragedii. Początkowo wszystko szło gładko i sprawnie. Narkoza, intubacja, dokładne sprawdzenie kroplówek i butli z tlenem. Miała stuprocentową pewność, że wszystko jest dobrze podłączone.

- I co? - naciskał.

- I nic. Naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy.

- Skup się!

- To był rutynowy zabieg!
- Dobrze, a sama operacja? Od strony chirurgicznej?
- Bez zarzutu. Guy jest naszym najlepszym chirurgiem.
Ale dobrze... Przystąpił do operacji. Przeciął mięśnie brzucha, zaczął narzekać, że... - Urwała.

- Że co?
- Że mięśnie są za bardzo napięte. Nie mógł ich rozsunąć.
- Więc?
- Więc podałam scolinę.
- To normalne postępowanie, tak?
- Oczywiście. Scolina jako lek zwiotczający mięśnie jest podawana przy każdej operacji. Ale na Ellen jakoś nie zadziałała. Musiałam wstrzyknąć jej drugą dawkę. Pamiętam, że prosiłam Ann, żeby przyniosła mi jeszcze jedną fiolkę.

- Miałaś tylko jedną?
- Tak. Zazwyczaj mam ich kilka, ale tego dnia była tylko jedna.

- Co się stało po podaniu drugiej dawki?
- Minęło dziesięć, może piętnaście sekund. I wtedy... - Powoli podniosła wzrok. - Jej serce przestało bić.

- Gdybyś była w stanie to udowodnić... - Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Nie jestem! Pusta fiołka trafiła to utylizacji razem z resztą śmieci. Ciało zostało skremowane. - Bezradnie uciekła spojrzeniem w bok. - Ten, kto to zrobił, jest bardzo przebiegły. Dokładnie wszystko przemyślał.

- Niewykluczone, że dla własnego dobra. - Jak mam to rozumieć?

- Nasz hipotetyczny morderca niewątpliwie ma doświadczenie i wiedzę medyczną. Orientował się, które leki będziesz podawała w czasie operacji. I zdołał zamienić fiołki albo wstrzyknąć do nich coś, co zabiło Ellen. Kto ma dostęp do szafek, w których anestezjodolodzy przechowują leki?

- Praktycznie wszyscy, bo trzymamy je w salach operacyjnych. Na pewno lekarze. Pielęgniarki. Ale ciężko byłoby dyskretnie coś podrzucić, bo na bloku operacyjnym zawsze ktoś się kręci.

- A w nocy? Albo w czasie weekendu?

- Jeśli akurat nie ma żadnej planowej operacji, prawdopodobnie zamykają cały blok. Na dyżurze zawsze zostaje pielęgniarka, na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nagłego.

- Czy przez cały czas przebywa na bloku? Bezradnie pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

- Skoro blok operacyjny nie jest pilnowany, praktycznie każda osoba pracująca w szpitalu może się tam wśliznąć.

- Przecież morderca nie jest pracownikiem szpitala! Widziałam go. To zupełnie obcy człowiek.

- A nie przyszło ci do głowy, że może mieć współnika? Na przykład kogoś, kto u was pracuje? I kogo dobrze znasz?

- Chcesz powiedzieć, że to spisek?

- Czy nie zastanowiło cię, że zabójca działa w sposób planowy? Zupełnie jakby miał listę ofiar. To taka czarna loteria, w której stawką jest śmierć. Więc pytam: kto będzie następny?

Drgnęła, przestraszona stuknięciem własnego kubka o spodek. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo drżą jej ręce. Widziałam go, pomyślała spłoszona. Jeśli naprawdę ma listę, na pewno na niej jestem.

Na dworze zapadał zmrok. Roztrzęsiona, wstała od stołu i podeszła do drzwi. Tam zatrzymała się i długo patrzyła na morze. Wiatr, który wiał przez cały dzień, teraz zupełnie ucichł. W powietrzu zapanował bezruch, jakby wieczór wstrzymywał oddech.

- On tam jest - szepnęła. - Szuka mnie. A ja nawet nie znam jego imienia. - Wzdrygnęła się, gdy David położył dłoń na jej ramieniu. Stał tak blisko niej, że czuła na włosach jego oddech. - Ciągle mi się przypomina, jak na mnie patrzył w lustrze. Nigdy nie zapomnę jego oczu, czarnych i zapadniętych. Jak u głodujących dzieci z plakatów organizacji charytatywnych.

- Nic ci nie zrobi, Tutaj cię nie znajdzie. - Ciepły oddech musnął jej kark. Przeszył ją dreszcz - tym razem nie strachu, lecz podniecenia. Nie musiała patrzeć na Davida, by obudziło się w niej pragnienie.

Nagle dotknął ustami jej karku. Potem zanurzył twarz w jej gęstych włosach i przytulił się mocno do jej szyi. Chwycił ją za ramiona, jakby się bał, że się od niego odsunie. Nie mogła jednak tego zrobić. Zbyt mocno go pragnęła.

Jego usta zaznaczyły ciepły wilgotny ślad na jej ramieniu. Po chwili odwrócił ją i zaczął całować. Natychmiast uległa sile tego pocałunku, czując, jakby leciała w bezdenną studnię. Oprzytomniała dopiero, gdy poczuła za plecami ścianę. Przywarli do siebie mocno, połączeni pocałunkiem. Wiedziała, że na tym się nie skończy, że David będzie chciał mieć ją całą.

Zapałka została zapalona; beczka prochu za chwilę wybuchnie, a ona razem z nią. Chciała spłonąć na własne życzenie. Nie padło żadne słowo. Ciszę wypełniły przyspieszone oddechy i westchnienia, mieszające się z jękami pożądania. Była tak w nie wsłuchana, iż nie od razu dotarł do jej uszu dzwonek telefonu. Dopiero po którymś z kolei natarczywym dźwięku zmusiła się do reakcji.

- Telefon... - szepnęła rwącym głosem, próbując wysunąć się z jego objęć.

- Niech dzwoni - mruknął, całując jej szyję.

- Davidzie, proszę... - Nie potrafiła udawać, że nie słyszy ostrych, ponagających dzwonek.

Syknał zniecierpliwiony, ale wypuścił ją z objęć.

Spojrzeni sobie w oczy, oboje jednakowo zdumieni tym, do czego między nimi doszło. Telefon znowu się rozdzwonił. Jego głośny nieprzyjemny dźwięk w końcu ją otrzeźwił. Podeszła do ściany, na której wisiał, odchrząknęła i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - Musiała być wciąż bardzo rozkojarzona, bo nie od razu dotarło do niej, że po drugiej stronie kabla panuje cisza. - Halo?

- Doktor Chesne?

- Tak?

- Jest pani sama?

- Nie, jestem z... Ale kto mówi? - zapytała zduszonym głosem, czując, jak ze strachu robi jej się zimno.

Cisza. Tak długa i absolutna, że usłyszała szalone bicie własnego serca.

- Halo! Kto mówi? - krzyknęła histerycznie.

- Bądź ostrożna, Kate Chesne. Śmierć depcze nam po piętach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słuchawka wysunęła się z jej ręki i głośno stuknęła o podłogę.

- To on! - szepnęła, chwytając się kurczowo blatu szafki. - To on! - zawołała, nie panując nad nerwami.

David w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

- Kto mówi? Halo! Halo! - wołał, chwyciwszy słuchawkę. - A niech cię jasny szlag! - Z trzaskiem odwiesił ją na widełki. - Co ci powiedział? Kate! - Potrząsnął nią energicznie. - Co powiedział?!

- Żebym była ostrożna, bo... śmierć depcze nam po piętach.

- Gdzie masz walizkę?

- Co?

- Twoja walizka. Gdzie ona jest?

- W garderobie, w moim pokoju.

- Prowadź!

Posłusznie pokazała mu drogę.

- Pozbieraj swoje rzeczy - nakazał, widząc, że biernie mu się przygląda. - Nie możesz tu zostać.

Nie pytała, dokąd ją zabiera. Zdała się na instynkt, który mówił, że musi uciekać, bo każda minuta spędzona w domu przy plaży zwiększa niebezpieczeństwo. Ogarnięta panicznym lękiem o życie, chwyciła walizkę, którą David ściągnął z górnej półki, i zaczęła się gorączkowo pakować. Gdy wszystko było gotowe, nie oglądając się za siebie, pobiegła za nim do samochodu.

W środku przeraziła się, że nie uruchomią silnika. Była niemal pewna, że skończą życie w aucie jak ofiary marnego horroru. Na szczęście tym razem czarny scenariusz się nie sprawdził, bmw okazało się niezawodne. Opony zabuksowały, sypiąc gradem kamieni, lecz zaraz odzyskały przyczepność i samochód skoczył do przodu jak zwierzę wypuszczone z

niewoli, by po chwili na pełnych obrotach wjechać na wyboistą drogę.

- Jak on mnie tu znalazł? - zapytała przez łzy, gdy oddalili się od domu na bezpieczną odległość.

- Wiele bym dał, żeby wiedzieć - odparł, przyspieszając, gdyż właśnie wydostali się na główną drogę.

- Przecież nikt nie wie, gdzie jestem. Tylko policja.

- Musiał być jakiś przeciek. Albo - zerknął we wsteczne lusterko - ktoś cię śledził.

- Śledził? - Z przerażeniem spojrzała za siebie, lecz nie zobaczyła niczego prócz opustoszałej szosy.

- Kto cię tam zawiózł?

- Moja koleżanka, Susan.

- Wstępowałyście po drodze do ciebie?

- Nie.

- A ubrania? Kto ci je przywiózł?

- Kobieta, od której wynajmuję mieszkanie. Spakowała mi walizkę i zostawiła ją w szpitalu.

- Ten łajdak mógł się zacząć w holu, a potem za wami pójść.

- Nie zauważyłam, żeby ktoś za nami szedł.

- Nic dziwnego. Ludzie patrzą na to, co jest z przodu, a nie z tyłu. Pojechał za wami do letniego domu, a potem odnalazł numer w książce telefonicznej. Na skrzynce pocztowej jest nazwisko Santinich.

- Przecież to wszystko nie ma sensu - jęknęła zgnębiona. - Skoro chce mnie zabić, dlaczego tego jeszcze nie zrobił? Po co dzwoni i mnie straszy?

- Kto wie, o co mu chodzi? Może podnieca go lęk ofiar. A może próbuje cię zastraszyć, żebyś nie współpracowała z policją.

- Przecież cały dzień byłam sama. Mógł mnie dopaść na plaży... - Nie mogła pozbyć się natrętnej wizji własnej krwi wsiąkającej w piasek.

Mijali po drodze coraz więcej domów. Gdy patrzyła w ich jasne okna, każdy wydawał się oazą bezpieczeństwa. Pytała więc samą siebie, gdzie pośród tej czarnej nocy znajdzie spokojną przystań. Przymknęła oczy i starała się o niczym nie myśleć. Miarowy szum silnika uspokajał ją.

- ...jest naprawdę mnóstwo miejsca. Możesz zostać, jak długo chcesz.

- Słucham? - Spojrzała na niego półprzytomnie. Dojechali już do miasta i mijali jasno oświetlone ulice.

- Mówię, że możesz zostać, jak długo chcesz. Nie są to żadne luksusy, ale jest bezpieczniej niż w hotelu.

- Przepraszam, ale nic nie rozumiem. Dokąd my jedziemy?

Odwrócił się w jej stronę i odparł neutralnym tonem:

- Do mnie.

- Jesteśmy w domu - oznajmił, otwierając drzwi. Wnętrze tonęło w mroku. Przez olbrzymie okna w salonie sączyło się światło księżyca, kładąc się poświatą na wypolerowanej drewnianej podłodze i meblach.

David wprowadził ją do pokoju i posadził na sofie. Dopiero potem, wyczuwając jej tęsknotę za ciepłem i światłem, zapalił wszystkie lampy. Kate nie widziała go, więc nie miała pojęcia, co robi. Usłyszała tylko pobrzękiwanie butelek i charakterystyczne bulgotanie.

- Proszę, wypij to. - Podał jej szklaneczkę.

- Co to jest?

- Whisky. Śmiało. Sam też chętnie się napiję. Bez dyskusji pociągnęła spory łyk. Alkohol zapiekł

ją w gardle, aż w oczach stanęły jej łzy.

- Niezła! - wykrztusiła.

- Prawda?

Zorientowała się, że zamierza zostawić ją samą i natychmiast dopadł ją irracjonalny lęk.

- David! - zawołała wystraszona. Zatrzymał się w pół kroku.

- Spokojnie, Kate - rzekł łagodnie. - Będę w kuchni. Dopij drinka - poprosił, dotykając pieszczotliwie jej policzka, po czym wyszedł.

Z przerażeniem patrzyła, jak znika w drzwiach. A potem usłyszała jego głos: rozmawiał z kimś przez telefon. Domyśliła się, że z policją. Tak jakby ta mogła teraz w czymkolwiek pomóc.

Sięgnęła po szklanekę i wypila kolejny łyk. Łzy sprawiły, że pokój zafalował jej przed oczami. Kilka razy mrugnęła powiekami, a gdy kontury odzyskały ostrość, rozejrzała się po salonie. Miał zdecydowanie męski wystrój. Wypełniały go proste funkcjonalne meble, na podłodze nie leżał nawet najmniejszy dywan. Za wielkimi oknami, ujętymi w ramy długich białych zasłon, huczały fale rozbijające się o falochron. Brutalna siła natury dawała o sobie znać.

Lecz nie była w stanie dorównać grozie, jaką budzi przemoc stosowana przez człowieka.

David skończył rozmowę, ale chwilę zwlekał z powrotem do salonu. Czekał, aż opadną w nim emocje. Nie chciał, by Kate zauważyła jego zdenerwowanie. Ponieważ jednak nie chciał zostawiać jej długo samej, wziął głęboki oddech i wyszedł z kuchni.

Siedziała skulona na brzegu sofy i kurczowo ścisnęła szklanekę, z której ubyła połowa whisky. Zauważył, że alkohol przyniósł dobroczynny efekt; rozgrzał ją na tyle, że jej policzki lekko się zaróżowiły. Przypominały mu płatki róży, na których osiadł szron. Wziął od niej szklanekę i nalał do pełna. Podając ją, musnął palcami jej dłoń. Była lodowata.

Kate wyglądała na kompletnie zagubioną. Najchętniej wziąłby ją w ramiona i ogrzał ciepłem własnego ciała. Może zdołałby sprawić, by do jej zziębniętych członków wróciło życie. Nie dotknął jej nawet palcem, choć pokusa była naprawdę silna. Nie uległ jej jednak, bo dobrze wiedział, że nie skończyłoby się na przytulaniu. Kate oczekuje teraz od niego ochrony. Wsparcia. Przede wszystkim musi odbudować jej poczucie bezpieczeństwa. I to mimo brutalnej prawdy, iż jej świat rozsypał się jak domek z kart.

Nalał sobie whisky i pociągnął spory łyk. Zaraz jednak odstawił szklanekę. Jako gospodarz powinien zachować trzeźwość.

- Zadzwoń na policję - rzucił przez ramię.

- I co powiedzieli? - zapytała cicho.

- Żebyś się stąd nie ruszała. I pod żadnym pozorem nie wychodziła sama. - Zerknął na szklanekę i pomyślał „A do diabła z tym”, wychylił ją do dna. Po czym wziął butelkę i usiadł obok Kate. Nie dzieliło ich więcej niż kilkanaście centymetrów, lecz nagle wyrosła między nimi niewidzialna bariera. Kate poruszyła się nerwowo i zerknęła w stronę kuchni.

- Moi... znajomi nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Chyba powinnam do nich zadzwonić.

- Nie martw się o to. Pokie zawiadomi ich, że jesteś bezpieczna. Powinnaś coś zjeść - powiedział.

- Nie chce mi się jeść.

- Moja gosposia robi świetny sos do spaghetti. Uniosła jedno ramię, jakby nie miała dość energii, by podnieść również drugie.

- Tak - ciągnął w przypiływie entuzjazmu. - Raz w tygodniu pani Feldman lituje się nad niedożywionym starym kawalerem i przyrządza garnek sosu. Dodaje do niego mnóstwo czosnku, świeżej bazylii i dobrego wina.

Nie zareagowała.

- Każda kobieta, którą nim częstowałem, przysięgała, że to potężny afrodyzjak.

Przynajmniej się uśmiechnęła, choć słabiutko.

- Miło z jej strony - skwitowała.

- Uważa, że źle się odżywiam, choć prawdę mówiąc, nie wiem, na jakiej podstawie tak sądzi. Może natchnęły ją puste opakowania po mrożonych daniach, które znajduje w koszu na śmieci.

Znowu się uśmiechnęła. Zaczął się martwić, że jak tak dalej pójdzie, rozśmieszy ją najwcześniej za tydzień. Żałował, że taki marny z niego komik. Z drugiej strony nie powinien się dziwić, że w tak ponurych okolicznościach Kate nie ma ochoty się śmiać.

Głośne tykanie zegara przypominało o przedłużającej się ciszy. Kate nagle drgnęła, wystraszona pobrzękiwaniem szyb, o które uderzył silny podmuch wiatru.

- Tu często tak wieje - uspokoił ją. - Przyzwyczaisz się. Jak jest sztorm, dom dosłownie trzeszczy. Czasem boję się, że za chwilę odfrunie mi dach.

- Spojrzał z sympatią na potężne belki stropowe. - Ma już trzydzieści lat i dawno powinien być zburzony. Kiedy go kupowaliśmy, myśleliśmy wyłącznie o jego potencjale.

- My? - zapytała głucho.

- Tak, byłem wtedy żonaty.

- Aha. Rozumiem, że się rozwiodłeś?

- Tak wyszło. Ale udało nam się przeżyć razem siedem lat. Uważam, że to całkiem niezły wynik.

- W jego śmiechu nie było ani odrobiny radości.

- Wbrew stereotypowi nie rozstaliśmy z powodu zdrady. Oddalaliśmy się od siebie, aż wreszcie łączące nas uczucie zupełnie wygasło. Mimo to do dziś się przyjaźnimy. Linda wyszła za mąż. Muszę przyznać, że lubię jej partnera. Jest

bardzo zaangażowany w związek, czuły, oddany. Czyli odwrotnie niż ja...

- Uciekł wzrokiem w bok. Nie lubił o sobie opowiadać; miał wtedy niemiłe wrażenie, że się odsłania. Jednak tym razem z premedytacją poświęcał swoją prywatność, licząc na to, że intymna rozmowa wyrwie Kate z odrętwienia. - Linda mieszka teraz w Portland - dodał szybko. - Podobno spodziewa się dziecka.

- Nie mieliście dzieci? - Pytanie było jak najbardziej na miejscu. Jednak wolałyby, żeby nigdy nie padło.

- Mieliśmy. Syna.

- Ile ma lat?

- Nie żyje. - Zdawał sobie sprawę, że powiedział to tak beznamyślnie, jakby śmierć Noaha była takim samym tematem do uprzejmej konwersacji jak pogoda. Już widział, jak na usta Kate cisną się pytania. Za chwilę zacznie go pocieszać i zapewniać, że bardzo mu współczuje. Nie chciał tego słuchać.

- Tak więc jestem kawalerem z odzysku - rzucił, zmieniając temat. - Nie przeszkadza mi to. Widocznie należę do facetów, którym małżeństwo nie służy. A jak na tym zyskuje moja praca! Wreszcie nic mnie od niej nie odciąga.

Cholera. W jej oczach wciąż widział pytania, których tak się bał. Postanowił więc uciec przed nimi, przerzucając na nią niewdzięczną rolę przesłuchiwanego.

- A ty? Jesteś lub byłaś mężatką?

- Nie. - Spojrzała na szklanekę, jakby rozważała, czy wzmocnić się kolejną porcją alkoholu. - Przez jakiś czas z kimś mieszkałam. Prawdę mówiąc, to dla niego przeniosłam się do Honolulu. - Roześmiała się gorzko. - Mam nadzieję, że będzie to dla mnie nauczka.

- Że niby co?

- Że nie warto rzucać wszystkiego dla jakiegoś durnia.

- To mi wygląda na rozstanie w kiepskim stylu.

- Wręcz przeciwnie, rozstaliśmy się bardzo kulturalnie - odparła ze wzruszeniem ramion. - Nie jest łatwo być dobrym we wszystkim. Nie mogłam dać mu tego, czego potrzebował: obiadu na stole, uwagi.

- Tego od ciebie oczekiwał?

- A który facet tego nie oczekuje? Ja w każdym razie nie widziałam się w roli kapłanki domowego ogniska. Specyfika mojej pracy wymaga, żebym była do dyspozycji przez całą dobę. Nie potrafił tego zrozumieć.

- Warto było?

- Co, jeśli wolno spytać?

- Poświęcić miłość dla kariery.

Opuściła głowę, jakby potrzebowała czasu na zebranie myśli.

- Kiedyś byłam pewna, że tak - rzekła cicho. - Natomiast jak sobie teraz pomyślę o tych wszystkich nadgodzinach, zrujnowanych planach na weekend... Myślałam, że jestem niezastąpiona. I nagle życie zmusiło mnie, żebym przejrzała na oczy. Już wiem, że mnie też mogą wyrzucić z pracy. Wystarczy jeden pozew. Niezły kubeł zimnej wody na głowę,

- Uniosła do góry szklankę. - Dzięki, panie mecenasie.

- O co masz do mnie pretensje? Czy to moja wina, że ktoś mnie wynajął?

- Obiecując sowitą zapłatę, jak się domyślam.

- Uprzedziłem ich, że mogę wycofać się z prowadzenia sprawy. Więc pewnie nie zobaczę złamanego grosza.

- Zrezygnowałeś z pieniędzy? Dlatego, że mi wierzysz? - Ze zdumieniem pokręciła głowę. - Nie sądziłam, że prawda tak wiele dla ciebie znaczy.

- Ty to potrafisz zrobić ze mnie skończonego łajdaka! Ale jeśli chcesz wiedzieć, to tak, prawda jest dla mnie ważna. Nawet bardzo.

- Coś takiego! Prawnik z zasadami! Myślałam, że tacy nie istnieją.

- I tu się mylisz. Stanowimy osobny podgatunek. - Nawet nie wiedział, kiedy jego wzrok zaczął błądzić w okolicach jej dekoltu. Wspomnienie jedwabistej skóry na jej szyi tak podziało mu na wyobraźnię, że musiał ratować się następną porcją whisky. Nie przyniósł sobie szklanki, więc w desperacji napił się prosto z butelki. Pięknie, pomyślał rozdrażniony. Brakuje tylko, żebyś się narąbał. Ciekawe, ile do rana zdążysz napleść głupot.

Prawdę powiedziawszy, oboje byli już lekko wstawieni. Tłumaczył sobie, że Kate dobrze to zrobi. Jeszcze dwadzieścia minut temu była w głębokim szoku. Teraz przynajmniej zaczęła mówić. Ba, nawet zdołała go obrazić. Uznał to za dobry znak.

- Boże, jak ja nienawidzę whisky! - wyznała w porywie płomiennej szczerości, po czym jednym haustem opróżniła szklankę.

- Właśnie widzę. Śmiało, nie żałuj sobie.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Coś mi się zdaje, że próbujesz mnie upić.

- Skąd ten pomysł? - Śmiejąc się, podsunął jej butelkę.

Chwilę jej się przyglądała, a potem z nieskrywaną odrazą napelniła szklankę niemal po brzeg.

- Stary dobry Jack Daniels - westchnęła, zakręciwszy butelką niezbyt pewną ręką. - Co za ironia losu! Po prostu śmiech na sali!

- Można wiedzieć, co cię tak śmieszy?

- To był ulubiony trunek mojego taty. Zarzekał się, że pije wyłącznie ze względów zdrowotnych. Nie lubił, jak zaczynałam mu dokuczać, że jeśli coś nią leczy, to wyłącznie kaca. Ależ by się uśmieł, gdyby mnie teraz zobaczył. - Pociągnęła łyk i natychmiast się skrzywiła. - Chryste, ojciec

chyba jednak miał rację. Coś, co ma tak paskudny smak, musi być lekarstwem.

- Rozumiem, że był lekarzem.

- Marzył o tym. Chciał zostać wiejskim lekarzem, wiesz, takim, który odbiera porody w zamian za tuzin jajek. Nic mu jednak z tych planów nie wyszło. Ożenił się, ja przyszedłam na świat. Rodzice potrzebowali pieniędzy, więc... - Westchnęła melancholijnie. - Prowadził mały warsztat naprawczy w Sacramento. Naprawdę miał złote ręce. Zdobył siedemnaście patentów, żaden niewart złamanego centa. Może o którymś słyszałaś? Na przykład o krajalnicy do jabłek?

- Niestety, nie.

- Szkoda. Na pewno byłbyś pod wrażeniem.

- I tak jestem. Dlatego, że stworzył ciebie. Pewnie się cieszył, że poszłaś na medycynę.

- O tak! Po ceremonii rozdania dyplomów wyznał mi, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu. - Jej uśmiech nagle zbladł. - Nie sądzisz, że to strasznie przygnębiające? Przeżył życie, ale najszczęśliwszy poczuł się tego akurat dnia... - Odchrząknęła. - Po jego śmierci mama sprzedała sklep i wyszła za mąż za energicznego bankiera z San Francisco. Nie masz pojęcia, co to za szuja! Nienawidzimy się. - Znów umilkła. - Często wspominam warsztat taty. Tęsknię za tą starą piwnicą pełną różnych gratów i za...

Chryste, tylko nie to! Ona się zaraz rozpłacze! - pomyślał spanikowany, widząc drzenie jej ust. Potrafił radzić sobie z płaczącymi klientami. Wyciągał paczkę chusteczek, klepał ich po plecach, i sprawa była załatwiona. Nie tym razem. Po pierwsze, nie siedział w kancelarii, tylko w domu. Po drugie, wzruszona do łez kobieta nie jest jego klientką, tylko kimś, kogo bardzo lubi. Gdy już był pewien, że za chwilę zacznie chlipać, wzięła się w garść. Łzy błysnęły w jej oczach, ale

zdołała je powstrzymać. Dzięki Bogu. Gdyby się rozkleiła, nie potrafiłby jej pomóc.

- Myślę, że starczy na dziś - oznajmił, zabierając jej szklankę. - Pora spać, pani doktor. Chodź. - Chciał wziąć ją za rękę, ale się odsunęła. - Coś nie tak?

- Nie. Ale...

- Tylko mi nie mów, że nie wypada, żebyś u mnie nocowała. Chyba się tym nie przejmujesz?

- Trochę, ale nie przesadnie. Śmieszne, jak bardzo lęk zmienia spojrzenie na to, co wypada, a co nie.

- I co jest etyczne z punktu widzenia prawa - dodał, a widząc jej zdziwienie, wyjaśnił: - Nigdy tego nie robiłem.

- Chcesz powiedzieć, że nie zapraszałeś kobiet?

- Cóż, tego też od dawna nie robiłem. Ale miałem na myśli prywatne kontakty z klientkami.

- Więc jestem wyjątkiem?

- Żebyś wiedziała. Uwierz lub nie, ale nie obłapiam kobiet, które przychodzą do kancelarii.

- A które obłapiasz? - Uśmiechnęła się lekko.

- Wyłącznie zielonookie. - Przysunął się do niej, wiedziony pożądaniem. - I takie, które mają sińce tu i ówdzie - mruknął, dotykając jej policzka.

- To mi wygląda na zboczenie - szepnęła.

- Wcale nie. - Ton jego głosu sprawił, że znieruchomiała. Zdawała sobie sprawę, że zrobiło się niebezpiecznie. Obok niej siedzi człowiek, który jeszcze niedawno zarzekał się, że ją zniszczy. Paktowanie z wrogiem, pomyślała. Powinna natychmiast się odsunąć, ale nie mogła się do tego zmusić. Miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że śni jakiś duszny alkoholowy sen, w którym siedzi na kanapie z mężczyzną do niedawna przez nią pogardzanym i nie może się doczekać, kiedy on wreszcie zacznie ją całować.

Tym razem jego usta były niezwykle delikatne. To nawet nie był pocałunek, tylko muśnięcie warg. Ostrożne delektowanie się wyobrażeniem o tym, co może się za chwilę między nimi zdarzyć. Ale już to wystarczyło, by ogarnęła ją słodka gorączka.

- A co na to powie twoja korporacja? - wyszeptała.

- Powie, że to skandal.

- Kompletny brak etyki zawodowej.

- I czyste szaleństwo. Bo to prawda. - Odsunął się i spojrzał jej w oczy. Widać było, że ze sobą walczy.

Ku jej rozczarowaniu rozsądek wziął górę nad pożądaniem. Jeszcze chwilę ją obejmował, a potem wstał.

- Jak będziesz składała na mnie skargę w korporacji, nie zapomnij nadmienić, jak bardzo ubolewałem nad swym niestosownym zachowaniem.

- A twoja skrucha będzie miała jakieś znaczenie?

- Dla nich nie. Ale mam nadzieję, że dla ciebie tak. Stali naprzeciw siebie tuż przy oknie.

- Pora iść do łóżka - stwierdził.

- Co takiego?

- Osobno.

- Jasne.

- No chyba że...

- Że...

- Nie chcesz.

- Czego?

- Pójść do łóżka.

- Chyba jednak się położę...

- Właśnie. Dobra myśl. - Odwrócił się i nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Davidzie?

- Tak? - Spojrzał na nią przez ramię.

- Czy to naprawdę wbrew zasadom waszej etyki zawodowej? No wiesz, to, że u ciebie zostaję?

- Biorąc pod uwagę okoliczności? - Wzruszył ramionami.
- Myślę, że nie grożą mi żadne konsekwencje. No, prawie żadne. Pod warunkiem, że do niczego między nami nie dojdzie. - Zabrał butelkę ze stolika i na wszelki wypadek schował ją do barku.

- Oczywiście, że nie! Nie potrzebuję dodatkowych komplikacji. Zwłaszcza teraz.

- Ja też nie. Jednak chwilowo jesteśmy sobie potrzebni. Ja zapewniam ci schronienie, a ty pomagasz mi odkryć, co naprawdę się wydarzyło w sali operacyjnej. Myślę, że to uczciwy układ. Mam tylko jedną prośbę.

- Mianowicie?

- Nie afiszujmy się z tym, dobrze? Nie tylko dopóki u mnie jesteś, ale również, kiedy wrócisz do siebie. Po co mamy psuć sobie opinię.

- Rozumiem.

- W takim razie... dobrej nocy. - Odwróciła się i na miękkich nogach poszła w stronę holu.

- Kate?

Serce skoczyło jej do gardła.

- Tak?

- Drugie drzwi na lewo.

- Dzięki. - Poczowała, jak jej rozedrgane serce robi się ciężkie jak kamień. Z żalem zostawiła Davida w salonie i poszła do sypialni. Mogła tylko się pocieszać, że David wyglądał na nie mniej zawiedzionego niż ona.

Zbiegała na oślep po niekończących się schodach, coraz niżej i niżej, aż pograżyła się w totalnej ciemności. Nie miała pojęcia, co czeka na nią u kresu morderczego biegu. Wiedziała, że przed czymś ucieka, lecz nie rozumiała przed czym. Bała się tak bardzo, że nawet nie próbowała się

odwrócić. Po omacku wyciągała ręce, szukając wyjścia, lecz nie mogła natrafić na żadne okno czy drzwi. Jej paniczna ucieczka odbywała się w absolutnej ciszy, jak na filmie z wyłączoną fonią. Ta cisza była najbardziej przerażająca.

Obudził ją własny płacz. Otworzyła szeroko oczy i ujrzała obcy sufit. Gdzieś dzwonił telefon. Przez okna zaglądał już dzień i wpadał znajomy odgłos fal uderzających o beton. Telefon przestał dzwonić. Zza ściany dobiegł przytłumiony i niewyraźny głos Davida.

Jestem bezpieczna, pomyślała z ulgą.

Poderwała się gwałtownie, słysząc pukanie.

- Kate? - wołał David przez drzwi.

- Tak.

- Przepraszam, że cię budzę, ale musisz wstawać.

Dzwonił Pokie. Mamy przyjechać na komisariat.

- Teraz?

- Tak. Teraz.

Zaniepokoił ją jego ponagląjący ton. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi.

- Ale co się stało?

Prześliznął się spojrzeniem po jej sylwetce.

- Podobno mają nazwisko mordercy - odparł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pokie położył przed Kate kartotekę ze zdjęciami.

- Niech się pani przyjrzy. Poznaje pani kogoś? Zaczęła przerzucać strony. Dość szybko natknęła

się na twarz, która od razu przykuła jej uwagę. Zrobiony podczas zatrzymania portret porażał swym bezlitosnym realizmem; ostre światło lamp wyostrzyło każdą zmarszczkę. Uwieczniony na zdjęciu mężczyzna patrzył w obiektyw szeroko otwartymi oczami, z których wyzierała zagubiona dusza.

- To on - powiedziała cicho.

- Jest pani pewna?

- Pamiętam jego oczy.

David i policjant przyglądali się jej w napięciu. Pewnie bali się, że zaraz zemdleje albo wpadnie w histerię. Tymczasem ona czuła się wyprana z wszelkich emocji. Miała wrażenie, że jej dusza oderwała się od ciała i uleciawszy pod sufit, obserwuje z wysoka scenę typową dla każdego komisariatu: oto świadek pokazuje palcem zdjęcie, na którym rozpoznał mordercę.

- No to cię mamy, bracie - mruknął Pokie.

- Kto to jest? - zapytała.

- Taki jeden czubek. Nazywa się Charlie Decker. Sfotografowaliśmy go pięć lat temu, jak został aresztowany.

- Za co?

- Za czynną napaść. Siłą wdarł się do gabinetu i próbował udusić lekarza.

- Lekarza? - zainteresował się David. - Którego? Pokie rozparł się w swym wysłużonym fotelu, który na znak protestu donośnie zaskrzypiał.

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Henry'ego Tanakę.

- Bingo! - Pokie wyszczerzył żółte od nikotyny zęby. - Trochę trwało, ale w końcu dogrzebaliśmy się do nazwiska Deckera.

- W rejestrze zatrzymanych?

- Tak. Pewnie wpadlibyśmy na ten trop wcześniej, ale zmyliły nas zeznania żony tego lekarza. Rutynowo zapytaliśmy ją, czy mąż miał jakichś wrogów. Wymieniła parę nazwisk, ale wszyscy okazali się czyści. Dopiero potem wspomniała, że pięć lat wcześniej Tanakę zaatakował jakiś szaleniec. Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska, ale była przekonana, że do tej pory siedzi w psychiatryku. Zajrzeliśmy do archiwum i odnaleźliśmy protokół z aresztowania. Na dodatek dzisiaj rano wreszcie dostałem wyniki badań daktyloskopijnych. Wiecie, do kogo należą odciski palców zdjęte z klamki w mieszkaniu Ann Richter?

- Do Deckera?

- Właśnie! A teraz nasz jedyny naoczny świadek - Pokie spojrzął na Kate - rozpoznaje go na zdjęciu. No i mamy ptaszka.

- A motyw? - zapytał David.

- Już ci mówiłem. To psychol.

- Jak tysiące innych. Pozostaje pytanie, dlaczego akurat on zaczął mordować?

- Hej, przecież nie jestem jego psychiatrą! - obruszył się Pokie.

- Ale na pewno masz już odpowiedź. Zgadłem?

- Na razie to tylko hipoteza. - Pokie wyraźnie uchylał się od odpowiedzi.

- Poruczniku, ten człowiek chciał mnie zaatakować. O mały włos przez niego nie zginęłam. Chyba mam prawo wiedzieć o nim coś więcej.

- Kate ma rację - poparł ją David.

- Dobra, niech wam będzie. - Pokie z westchnieniem sięgnął po notatnik. - Tylko uprzedzam, że informacje nie są potwierdzone - zastrzegł, po czym zaczął czytać: - Decker, Charlie Louis, lat trzydzieści dziewięć, urodzony w Cleveland. Rodzice rozwiedli się, piętnastoletni brat padł ofiarą porachunków między gangami. Siostra mieszka na Florydzie.

- Rozmawiałaś z nią?

- Tak, sporo nam powiedziała. Co my tu jeszcze mamy? W wieku dwudziestu dwóch lat wstąpił do marynarki wojennej. Stacjonował w wielu bazach.

Sześć lat temu skierowany do Pearl Harbour. Służył na okręcie USS „Cimarron” jako sanitariusz.

- Sanitariusz? - podchwyciła Kate.

- Tak. Był pomocnikiem okrętowego chirurga. W opinii dowódców typ samotnika. Skryty, małomówny. Żadnej wzmianki dotyczącej problemów psychicznych czy emocjonalnych. To tyle, jeśli chodzi o oficjalne informacje. - Przewrócił kartkę. - Przebieg służby bez zarzutu, parę razy dostał pochwałę. Zdobywał kolejne stopnie. I nagle, pięć lat temu, coś mu odbiło.

- Załamanie nerwowe? - zapytał David.

- Gorzej. Facet kompletnie sfiksował. Ponoć z powodu kobiety.

- Miał dziewczynę?

- Tak. Poznał ją tu, na Hawajach. Chciał się żenić i nawet dostał zgodę przełożonych. Ślub się nie odbył, bo jego okręt wypłynął na półroczne manewry. Koledzy pamiętają, że Decker każdą wolną chwilę spędzał na pisaniu wierszy do ukochanej. Musiał chłopina mieć hopla na jej punkcie. - Pokie westchnął. - W każdym razie kiedy po sześciu miesiącach „Cimarron” zawinął do portu w Pearl, narzeczona nie czekała na nabrzeżu. I tu zaczynają się schody. Decker bez zgody dowódcy zszedł z okrętu. I szybko dowiedział się, co się stało.

- Znalazła sobie innego? - domyślił się David.

- Nie. Okazało się, że dziewczyna nie żyje. W pokoju zapadła cisza.

- Co jej się stało? - zapytała Kate.

- Zmarła w czasie porodu. Dostała jakiegoś wylewu. Jej córeczki też nie udało się uratować. Decker nawet nie wiedział, że była w ciąży.

Kate popatrzyła na fotografię Charliego. Próbowała sobie wyobrazić, co czuł tamtego dnia, gdy statek zawinął do portu. Na nabrzeżu jak zwykle tłum. Wszędzie widać radosne twarze bliskich oczekujących na marynarzy. Jak długo szukał pośród nich jej twarzy? Ile czasu minęło, zanim dotarło do niego, że jej tam nie ma?

- Wtedy mu odbiło - ciągnął Pokie. - W jakiś sposób dowiedział się, że jej ciążę prowadził Tanaka. No i napadł na niego w gabinecie. Trafił do aresztu, ale następnego dnia wyszedł za kaucją. I nielegalnie kupił sobie tani pistolet. Ale nie po to, żeby skończyć z lekarzem, tylko z sobą. Wsadził lufę do ust i pociągnął za cyngiel.

Krok ostateczny, przebiegło jej przez myśl. Wziął pistolet i rozwalil sobie łeb. Musiał bardzo kochać swoją kobietę. Czy jest lepszy sposób, by tego dowieść, niż oddając za nią życie?

Tylko że Charlie przeżył. I zaczął mordować.

Pokie podchwycił jej pytające spojrzenie.

- Pistołek był mały i tandetny. Pocisk spalił na panewce - wyjaśnił. - Ale okaleczył mu jamę ustną. Ledwie przeżył. Po kilkumiesięcznej rehabilitacji trafił do szpitala psychiatrycznego. Z jego karty wynika, że wrócił do równowagi, ale mowy nie odzyskał.

- Jest niemową? - zapytał David.

- Niezupełnie. W czasie reanimacji pozrywali mu struny głosowe. Dlatego mówi niemal bezgłośnie. Podobno brzmi to tak, jakby syczał.

Syk. Kate wzdrygnęła się na wspomnienie niehumanoidalnego dźwięku, który słyszała na klatce schodowej. Jak syk żmii szykującej się do ataku.

- Miej więcej przed miesiącem Decker wyszedł ze szpitala. Miał być pod stałą kontrolą psychiatryczną i zgłosić się do niejakiego doktora Nemechka - mówił Pokie. - Problem w tym, że się nie pokazał.

- Rozmawiał pan z tym lekarzem? - zapytała Kate.

- Tylko telefonicznie, bo jest na jakiejś konferencji. Zarzekał się, że jego pacjent jest niegroźny. Podejrzewam, że próbuje chronić tyłek. Kiepska sprawa, kiedy czubek, którego właśnie wypuściło się ze szpitala, zaczyna podryzać ludziom gardła.

- A więc mamy motyw. Zemsta za śmierć ukochanej - podsumował David.

- Na razie to tylko hipoteza - przypomniał Pokie.

- Ale dlaczego zabił Ann Richter?

- Pamiętacie tajemniczą blondynkę, którą w dniu śmierci Tanaki widział portier?

- Myśli pan, że to była Ann?

- Wygląda na to, że ona i Tanaka byli... jak by to sformułować... bardzo bliskimi znajomymi.

- Czy dobrze rozumiem, co chce pan powiedzieć?

- Ujmijmy to w ten sposób: sąsiedzi Ann Richter rozpoznali Tanakę na zdjęciach. Ponoć był u niej częstym gościem. Możemy założyć, że feralnego wieczoru udała się do niego z rewizytą. I zobaczyła coś, co ją śmiertelnie przeraziło. Niewykluczone, że widziała Deckera. A on ją.

- Więc dlaczego nie pobiegła prosto na policję?

- Bo nie chciała, żeby wydało się, że ma romans z żonatym mężczyzną. Albo bała się, że zostanie posądzona o zabicie kochanka. Kto wie?

- A więc była naocznym świadkiem - szepnęła Kate. - Jak ja...

- Z tą różnicą, że pani nic nie grozi - uspokoił ją Pokie. - Nikt poza nami trojgiem nie wie, gdzie się pani ukrywa. - Spojrzał znacząco na Davida. - Czy pani doktor może nadal u ciebie mieszkać?

- Tak - odparł z nieodgadnioną miną.

- To dobrze. O ile to możliwe, proszę nie jeździć swoim samochodem.

- Ale dlaczego? - spytała zaskoczona.

- Decker ma pani torebkę. Mówiła pani, że były w niej kluczyki do audi. Skoro więc Decker wie, jakim samochodem pani jeździ, może się gdzieś zacząć i wypatrywać takiego auta.

Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz.

- Jak długo to potrwa? - zapytała.

- Co, jeśli wolno spytać?

- Zanim to wszystko się skończy i będę mogła wrócić do normalnego życia?

- Niestety, nie mogę pani obiecać, że złapiemy Deckera dziś albo jutro. Proszę być dobrej myśli. Prędzej czy później musi wpaść. Przecież nie będzie się wiecznie ukrywał.

A jeśli? - zapytała go w myślach. Na Oahu nie brakuje miejsc, w których można się zaszyć. Na długo. Są przecież mroczne zaułki Chinatown, gdzie nikt nie zadaje zbędnych pytań. Są blaszane komórki rybaków na Sand Island czy betonowe blokowiska Waikiki. Gdzieś tam przyczał się Charlie Decker, by w samotności oplakiwać śmierć ukochanej.

Zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Poruczniku, a co z Ellen O'Brien? - zapytała.

- Skąd to pytanie? - Pokie uniósł na nią wzrok.

- Czy jej śmierć ma jakiś związek z tą sprawą?

- Moim zdaniem nie - odparł i spojrzawszy jeszcze raz na zdjęcie Deckera, zamknął kartotekę.

- A ja jestem pewna, że to się w jakiś sposób łączy

- upierała się, gdy wyszli na zalaną słońcem ulicę.

- Twój przyjaciel musiał przeoczyć jakiś szczegół.

- Albo go przed nami zataił - zauważył David.

- Ale dlaczego? Myślałam, że jesteście dobrymi znajomymi.

- Nie zapominaj, że uciekłem z okopów.

- Mówisz tak, jakby praca w policji polegała na prowadzeniu gier wojennych.

- Niektórzy policjanci tak właśnie do niej podchodzą. Uważają, że prowadzą świętą wojnę. Gdybyś wiedziała, ile godzin Pokie spędza w robocie, nigdy byś nie uwierzyła, że ma żonę i dzieci.

- Twoim zdaniem jest dobrym policjantem? Wzruszył ramionami.

- To typowy wół roboczy. Solidny, ale niezbyt lotny. Parę razy zdarzyło mu się nawalić. Niewykluczone, że idzie fałszywym tropem. Muszę jednak przyznać, że się z nim zgadzam. Ja również nie widzę żadnego związku między tymi morderstwami a śmiercią Ellen.

- Ale przecież słyszałeś, co mówił porucznik! Decker był asystentem chirurga...

- Profil psychologiczny Deckera nie pasuje do profilu mordercy Ellen. Psychopata, który zarzyna ludzi jak Kuba Rozpruwacz, nie będzie się bawił w podmienianie leków i wyników EKG. Do tego potrzeba innej konstrukcji psychicznej.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze?

- zawołała sfrustrowana. - To, że nie jestem w stanie udowodnić, że Ellen została zamordowana. Sama nie mam pewności, czy to w ogóle możliwe. David przystanął.

- Okej. Nie jesteśmy w stanie niczego udowodnić. Wobec tego zastanówmy się nad logistyką.

- Morderstwa?

- Tak. Weźmy więc takiego Deckera. Outsajder. Z podstawową wiedzą medyczną, zwłaszcza z zakresu chirurgii. Spróbuj mi powiedzieć, jak ktoś taki mógłby przeprowadzić swój szatański plan. Wiesz, tak krok po kroku. Jak mógłby dostać się do szpitala i zabić kobietę leżącą na stole operacyjnym.

- Chyba powinniśmy... - Szukając inspiracji, rozejrzała się po ulicy i nagle jej wzrok padł na gazeciarza sprzedającego prasę kierowcom zatrzymującym się na światłach. - Dzisiaj jest niedziela - oznajmiła znienacka.

- I co w związku z tym?

- Ellen przyszła do szpitala w niedzielę. Pamiętam, jak wpadłam do niej, żeby chwilę pogadać. Była ósma wieczorem.

- Spojrzała na zegarek. - Mamy dziesięć godzin. Możemy po kolei odtworzyć...

- Czekał, bo się zgubiłem. Co niby mamy zrobić w ciągu tych dziesięciu godzin?

- Popęłnić morderstwo.

Gdy punktualnie o dziesiątej wieczorem podjechali pod szpital, parking był niemal pusty. David zaparkował blisko wejścia, zgasił silnik i spojrzał na Kate.

- Zdajesz sobie sprawę, że niczego w ten sposób nie udowodnimy?

- Po prostu chcę sprawdzić, czy to w ogóle możliwe.

Spojrzała na wejście, nad którym palił się neon „Izba przyjęć”. W niedzielny wieczór w szpitalu jak zawsze panował spokój. Godziny odwiedzin dawno się skończyły. W pokojach pacjenci szykowali się do snu.

- No dobrze. - David otworzył drzwi. - Skoro mamy to zrobić, chodźmy.

Ponieważ o tej porze główne drzwi były zamknięte, weszli przez te prowadzące na oddział nagłych wypadków. Nie niepokojeni przez nikogo minęli stanowisko siostry oddziałowej, która akurat rozmawiała przez telefon, i podeszli do wind.

- Każdy może sobie tutaj tak po prostu wejść? - zapytał David.

- Siostra oddziałowa mnie zna.

- Ledwo na ciebie spojrzała.

- Bo cały czas gapiła się na ciebie.

- Chryste, ale ty masz wybujałą wyobraźnię. - Zatrzymał się i spojrzął na pusty hol. - A gdzie jest ochrona? Nie macie tu żadnego strażnika?

- Mamy. Pewnie robi obchód.

- A jest tylko jeden?

- Szpitale to dość nudne miejsca - odparła, wciskając guzik windy. - Poza tym jest niedziela.

Wjechali na czwarte piętro i wyszli na jasno oświetlony biały korytarz, na którym w karnym rzędzie stały nosze do przewożenia chorych. Kate wskazała dwuskrzydłowe drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

- Wejście na blok operacyjny.

- Możemy się tam dostać?

- Zaraz się przekonamy. - Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, które rozsunęły się przed nią z cichym świstem. - Jak widzisz, bez problemu.

Na kontuarze przy stanowisku pielęgniarki paliła się lampka i stał kubek niedopitej kawy.

- Tu mamy wykaz operacji zaplanowanych na następny dzień - wyjaśniła, wskazując dużą białą tablicę wiszącą na ścianie. - Jak widzisz, można się z niej dowiedzieć wszystkiego: kto będzie operowany, w której sali, przez kogo, kto będzie znieczulał.

- W której sali operowaliście Ellen?
- W piątce, tam za rogiem. Chcesz zobaczyć?
- Tak.
- Więc chodźmy.

Gdy zapaliła światło, musieli zmrużyć oczy.

- Tam stoi mój wózek.

David podszedł do niego i wyciągnął jedną ze stalowych szufladek. Cicho zagrzechotały fiolki leków.

- Nie mają żadnej handlowej wartości, więc nie ma sensu ich kraść. A narkotyki trzymamy tam - powiedziała, wskazując wiszącą szafkę.

- Więc tak wygląda twoje miejsce pracy. - Rozejrzał się dookoła. - Przyznam, że robi wrażenie. Kojarzy mi się ze scenografią do filmu fantastycznego.

- Zabawne. Ja się tu czuję jak w domu. - Przeszła się po pokoju, czule klepiąc dobrze sobie znane urządzenia. - Chyba dlatego, że jestem córką majsterkowicza. Nie boję się tych wszystkich gadżetów. Wręcz przeciwnie, lubię te różne przyciski i guziki. Ale rozumiem, że niektórzy mogą się poczuć onieśmieleni.

- A ciebie nic nie onieśmiela?

Odwróciła się i spostrzegła, że David ją obserwuje z tak szczególnym wyrazem oczu, że wstrzymała oddech.

- W sali operacyjnej nic - odparła łagodnie. Przyglądali się sobie w ciszy tak absolutnej, że Kate słyszała przyspieszone bicie swego serca. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków, ale miała wrażenie, jakby odgradzała ich od siebie bezdenne przepaść. David pierwszy wrócił do rzeczywistości.

- Jak myślisz, ile czasu potrzeba, żeby podmienić fiolki albo zmienić ich zawartość? - zapytał.

- Myślę, że jakieś dziesięć minut.
- Tylko tyle?
- Tylko tyle.

- Więc dokonanie morderstwa w sali operacyjnej wcale nie jest takie trudne - zauważył.

- Okazuje się, że nie.

- A co z zamianą wyników EKG? Jak by sobie z tym poradził nasz zabójca?

- Najpierw musiałyby zdobyć kartę pacjenta. Trzymamy je na oddziałach.

- To już chyba nie jest takie proste. Tam się przecież kręci mnóstwo pielęgniarek.

- Owszem. Tylko że niektóre peszą się na widok białego fartucha. Założę się, że gdybyśmy cię przebrali za lekarza, bez trudu przeszedłbyś przez cały oddział i żadna nie odważyłaby się ciebie o cokolwiek zapytać.

- Zrobimy eksperyment?

- Teraz?

- A kiedy? Zorganizujesz mi jakiś fartuch? Zawsze chciałem pobawić się w doktora.

W ciągu paru minut znalazła dla niego strój pozostawiony przez kogoś w szatni chirurgów. Plamy z kawy oraz rozmiar zdradzały właściciela, którym nie mógł być nikt inny, jak tylko Guy Santini.

- Nie wiedziałem, że pracuje u was King Kong - rzucił David, wsuwając ręce w długie rękawy.

- I jak wyglądam? - zapytał, stając przed nią na baczność.

- Padną ze śmiechu?

Cofnęła się o krok i przyjrzała mu się krytycznie. Fartuch był na niego za szeroki w ramionach, zawinęła mu się połowa kołnierzyka, ale i tak wyglądał zniewalająco. Poprawiła mu kołnierzyk i przy okazji przelotnie musnęła palcami jego szyję. To wystarczyło, by zaczęła jej żywiej krążyć krew.

- Ujdzie w tłoku - orzekła.

- Aż tak źle wyglądam? - Zerknął na brązowe plamy. - Czuję się jak ostatni flejtuch.

- Czyli jak ten, który nosi ten fartuch na co dzień - roześmiała się. - Więc się nie przejmuj. I powtarzaj sobie ciągle: lekarz, lekarz. Musisz wyrobić sobie odpowiedni sposób myślenia o sobie jako o lekarzu. Mów więc: jestem genialny, jestem zaangażowany, wczuwam się w sytuację pacjentów - tłumaczyła, gdy szli do windy.

- Nie zapomnij dodać: jestem skromny. Klepnęła go w plecy.

- Do boju, doktorze Kildare.

Wsiadł do windy, ale przytrzymał drzwi i poprosił:

- Tylko nigdzie mi nie zniknij. Jeśli wpadnę w tarapaty, będziesz musiała mnie jakoś wybronić.

- Będę czekała na bloku operacyjnym. Aha, panie doktorze, jeszcze jedna rada.

- Jaka?

- Nie popełnij błędu, bo będziesz musiał wytoczyć sobie proces.

Jęknął z irytacją, lecz nie zdążył nic powiedzieć, bo drzwi zasunęły się i winda zaczęła zjeżdżać. Na korytarzu zapadła martwa cisza.

Kate wiedziała, że nie powinna się denerwować, bo eksperyment był łatwy i nawet gdyby David miał pecha i został zatrzymany przez ochronę, nie grożą mu żadne konsekwencje. A jednak kiedy wracała do sali operacyjnej, czuła się coraz bardziej spięta. Ponieważ mogła tylko czekać, usiadła na swym miejscu u szczytu stołu operacyjnego i zaczęła rozmyślać o wszystkich godzinach, które tu spędziła. To był jej świat. Bardzo mały. I bardzo bezpieczny.

Nagle drgnęła. Gdzieś stuknęły drzwi. Zaniepokoiło ją, dlaczego David tak szybko wraca. Czyżby pojawiły się nieprzewidziane kłopoty? Energicznie zeskoczyła ze stołka i wyszła na korytarz. Tam znieruchomiała.

W sali operacyjnej numer siedem paliło się światło. Zaintrygowana zaczęła nasłuchiwać i po chwili dobiegło do niej ciche pobrzękiwanie szyb w szafkach z lekami i szuranie szuflad. Ktoś grzebie w lekach. Tylko kto? Pielęgniarka? Czy może ktoś do tego nieuprawniony?

Zdenerwowana spojrzała na koniec korytarza, jedyną drogę ucieczki. Gdyby zdołała niezauważenie przemknąć obok siódemki, mogłaby wydostać się z bloku operacyjnego i wezwać ochronę. Może też schować się w którejś z sal, ryzykując, że ten ktoś ją tam znajdzie. Uznała, że jeśli zostanie tu, gdzie jest, wpadnie w pułapkę.

Po cichu zaczęła się skradać w stronę siódemki. Była już blisko, gdy usłyszała stuk zamykanej szafki. Zrozumiała, że nie zdoła uciec. Z przerażeniem patrzyła, jak drzwi otwierają się i na korytarz wychodzi doktor Avery. Najwyraźniej on również nie spodziewał się tu nikogo zastać, bo gdy ją zobaczył, tak się przestraszył, że coś upuścił. W pustym korytarzu rozległ się chrzęst tłuczonego szkła. Spojrzała na niego i natychmiast zapomniała o lęku. Był tak blady, że przeraziła się, iż za moment dostanie zawału serca.

- Pani doktor, przepraszam, nie spodziewałem się... - jęknął, patrząc w dół. Dopiero teraz zauważyła stłuczoną fiolkę. - Ale narobiłem bałaganu... - mruknął strapiony.

- Nic się nie stało. Zaraz to posprzątam. Zapaliła światło i przyniosła papierowe ręczniki.

Podawała mu kilka, ale nawet nie drgnął. Uklękła więc i sama zaczęła zbierać okruchy szkła. Przemknęło jej przez myśl, że szef jeszcze nigdy nie wydał jej się tak stary i zmęczony życiem jak dziś. Przy okazji zauważyła, że włożył skarpetki nie do pary, w różnych kolorach. Biedak, westchnęła, sięgając po Kawalek fiolki, do którego przyczepiona była etykieta Z nazwą leku.

- To dla mojego psa - wykrztusił cichym głosem.

- Słucham?
- Chlorek potasu. Dla naszej suczki. Jest bardzo chora.
- Przepraszam, ale nie rozumiem. - Spojrzała na niego pytająco.

Zrezygnowany opuścił głowę.

- Musimy ją uśpić. Skomlała biedna cały dzień. Nie mogłem tego słuchać, ale nie mam serca zawieźć jej do weterynarza. Przecież to dla niej zupełnie obcy człowiek. Będzie się bała - tłumaczył, ściskając w rękę ręczniki.

- Proszę się nie martwić. Jestem pewna, że weterynarz obejdzie się z nią delikatnie. Nie musi pan tego robić sam - przekonywała.

- Wiem, ale uważam, że tak będzie lepiej. Przeżyła w naszym domu tyle lat! Chcę się z nią spokojnie pożegnać.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem, a potem weszła do sali i wyjęła z szafki kolejną fiolkę chlorku.

- Proszę. - Wcisnęła mu ją do ręki. - Tyle powinno wystarczyć, prawda?

- Tak, ona nie jest duża. - Odetchnął, po czym odwrócił się, żeby odejść. Nagle przystanął. - Od początku panią lubiłem - wyznał nieoczekiwanie. - Tylko pani nie naśmiewa się ze mnie za moimi plecami. Ani nie opowiada, że powinienem pójść na emeryturę, bo już się do niczego nie nadaję. - Znowu westchnął i pokręcił głową. - Może zresztą mają rację. Dobranoc, pani doktor. - Zanim odszedł, dodał jeszcze: - Spotkamy się na zebraniu komisji dyscyplinarnej. Będę po pani stronie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Gdy jego kroki ucichły, spojrzała na okruchy szkła w koszu na śmieci. Chlorek potasu, powtórzyła. Podany dożylnie jest śmiertelnie niebezpieczny. Powoduje nagłe zatrzymanie akcji serca. Nagle uświadomiła sobie, że skoro można w ten sposób zabić psa, można i człowieka.

Rejestratorka z oddziału 3B była tak pochłonięta lekturą romansu, że gdy David przechodził obok, nawet nie podniosła oczu znad książki. Dopiero kiedy zawrócił i stanął przed nią, ocknęła się i na niego zerknęła. Wyraźnie speszona, natychmiast zamknęła książkę.

- Dobry wieczór. Mogę w czymś pomóc, doktorze...

- Smith - powiedział i posłał jej uśmiech, który poraził ją niczym grom. Nieźle, pomyślał, patrząc w jej maślane oczy. Magia białego fartucha naprawdę działa. - Potrzebuję kartę pacjenta.

- Którego? - zapytała gorliwie.

- Z sali numer... osiem.

- A czy B?

- B.

- Pani Loomis?

- Właśnie. Dziękuję, nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska.

- Już podaję.

Wstała i kołysząc biodrami, podeszła do segregatora, a potem wyjątkowo długo szukała tej właściwej, mimo iż miała ją pod samym nosem. David spojrzął na okładkę powieści o wiele mówiącym tytule: „Namiętna panna młoda”, i uśmiechnął się do siebie.

- Proszę bardzo. - Podała mu kartę w taki sposób, jakby ofiarowywała mu najcenniejszy skarb.

- Dziękuję, pani...

- Janet Mann. Panna...

- Oczywiście, panno Janet.

Usiadł jak najdalej od niej i zaczął przeglądać papiery. Szczęście mu dopisało, bo zadzwonił telefon i po chwili romantyczna panna Mann musiała lecieć gdzieś z próbkami krwi do analizy.

I już. Dziecinnie proste, stwierdził, czytając kolejne wpisy w karcie nieszczęsnej pani Loomis, która musiała być kobietą wyjątkowo słabego zdrowia. Nie dość, że miała do czynienia z chirurgiem i anesteziologiem, to jeszcze jej dolegliwości były konsultowane przez internistę, psychiatrę, dermatologa i ginekologa. Gdzie kucharek sześć... przebiegło mu przez myśl, gdy przeglądał wpisy. Biedna kobieta, jest chyba bez szans.

Pielęgniarki miały go jedna po drugiej i żadna nawet nie zapytała, co tu robi. Spokojnie przejrzał całą kartę i doszedł do wniosku, że gdyby ktoś chciał podmienić wyniki EKG, nie miałby z tym problemu. I na pewno nikt by tego nie zauważył.

Okazja czyni złodzieja, pomyślał, Albo mordercę. Wystarczy, żeby włożył biały fartuch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Moim zdaniem udało nam się udowodnić, że można zamordować człowieka na bloku operacyjnym - orzekł.

Siedzieli przy stole, popijając gorące mleko.

- A właśnie że nie. Jedyne, co po dzisiejszej wyprawie wiemy na sto procent, to że stary poczciwina Avery ma chorego psa. Ależ on się mnie przestraszył!

- Chyba nawzajem napędziliście sobie stracha. Słuchaj, a ty wiesz na pewno, że on ma psa? - zapytał podejrzliwie.

- Przecież by mnie nie okłamał! Poza tym widziałam zdjęcie na jego biurku.

- Trzyma tam zdjęcie psa?

- Nie, żony, a ona ma tego psa na rękach. Szkoda mi tego Avery'ego, bo prześladowuje go straszny pech. Nie dość, że jego żona jest sparaliżowana po wylewie, to jeszcze teraz musi sam uśpić psa. Obawiam się, że nie będzie mógł tego zrobić. Niektórzy ludzie nie są w stanie skrzywdzić nawet muchy.

- Za to inni bez mrugnięcia oka poderzną człowiekowi gardło - skwitował.

- Nadal uważasz, że ktoś zabił Ellen? - zapytała niepewnie. Ponieważ długo nie odpowiadał, przeraziła się, że straciła jedynego sprzymierzeńca.

- Sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Póki co kieruję się instynktem. A sąd potrzebuje niepodważalnych faktów. I tylko o nich będzie chciał rozmawiać.

- Podobnie jak sąd koleżeński.

- Posiedzenie jest we wtorek?

- Tak. A ja nie mam pojęcia, co im powiedzieć.

- A nie możesz ich poprosić, żeby poczekali jeszcze parę dni? Odwołałbym jutro spotkania i może wspólnymi siłami zdobylibyśmy jakieś dowody.

- Już prosiłam o przesunięcie terminu. Nie zgodzili się. Poza tym obawiam się, że nie ma żadnych dowodów. Są za to

dwa morderstwa, które w żaden sposób nie łączą się ze śmiercią Ellen.

- A jeśli policja idzie fałszywym tropem? Charlie Decker wcale nie musi być mordercą.

- Przecież mają jego odciski palców. Poza tym widziałam go w mieszkaniu Ann.

- Ale nie widziałaś, jak ją morduje.

- To prawda. Jeśli więc nie on, to kto?

- Dobre pytanie. Zastanówmy się. - Sięgnął po solniczkę i postawił ją na środku stołu. - Wiemy, że Henry Tanaka był bardzo zajęty. I nie mówię tu bynajmniej o pracy. Miał romans - mówiąc to postawił obok solniczki pieprzniczkę - z Ann Richter. - Dobrze, ale co miała z tym wspólnego Ellen?

- Oto pytanie za milion dolarów. - Wziął cukiernicę i dołączył do pozostałych przedmiotów. - Co miała z tym wspólnego Ellen?

- Trójkąt miłosny? - odgadła.

- Dlaczego nie? Kto powiedział, że facet ograniczył się do jednej kochanki? Mógł ich mieć dziesiątki. Z kolei każda z nich mogła mieć zazdrosnego męża lub partnera - spekulował.

- Trójkąt w trójkącie? Strasznie karkołomny układ. To, co opowiadasz, brzmi coraz bardziej nieprawdopodobnie. Zupełnie jakby lekarze i pielęgniarki nic innego nie robili, tylko się puszczali na prawo i lewo!

- Przecież to się zdarza. I to nie tylko w szpitalach.

- W kancelariach też?

- Nie powiedziałem przecież, że to robiłem. Ale wszyscy jesteśmy ludźmi.

Uśmiechnęła się.

- Muszę powiedzieć, że kiedy się poznaliśmy, nie wydałeś mi się szczególnie ludzki.

- Nie?

- Nie. Uznałam cię za zagrożenie. Za wroga. Jeszcze jednego cholernego prawnika.

- Czytaj: skończonego łajdaka.

- Bardzo się starałeś, żebym tak pomyślała.

- Wielkie dzięki.

- Ale już tak o tobie nie myślę - dodała szybko. - Zmieniłam zdanie po tym, jak... - Umilkła, gdy spotkały się ich spojrzenia.

- Jak się pocałowaliśmy - dokończył.

Ciepło oblało jej policzki. Gwałtownie wstała i zaniosiła szklankę do zlewu.

- Wszystko się strasznie skomplikowało - westchnęła, czując na plecach jego spojrzenie.

- Dlaczego? Bo okazało się, że jednak jestem człowiekiem?

- Że oboje jesteśmy ludźmi - wyrzuciła z siebie. Nawet nie patrząc mu w oczy, wyczuwała wibracje, które między nimi przepływały. Były jak iskrzenie, które nie daje się zignorować, a przez to odbiera spokój.

Umyła dokładnie szklankę. Dwa razy. Potem spokojnie wróciła do stołu. Udawała, że nie dostrzega rozbawienia w oczach Davida.

- Też uważam, że bycie człowiekiem jest cholernie uciążliwe - ironizował. - Pomyśl tylko o tych wstrętnych popędach, którym ulegamy.

Cóż za eufemizm, pomyślała zgryźliwie, odnosząc się do swoich rozszalałych hormonów. Aby oderwać myśli od niebezpiecznych wątków, spojrzała na trójkąt ustawiony na stole. Czy możliwe, by podłożem brutalnych morderstw była namiętność i zazdrość?

- Masz rację - stwierdziła, dotykając solniczki.

- Nasza natura jest tak ułomna, że popycha nas do robienia przedziwnych rzeczy. Łącznie z zabijaniem.

Wyczuła jego nagłe ożywienie.

- Nie wierzę, że wcześniej na to nie wpadłem! - zawołał, klepiąc się otwartą dłonią w czoło.

- Na co?

- Że to nie trójkąt, ale czworokąt - wyjaśnił, energicznie dosuwając do cukiernicy swoją szklanę.

- Cóż za imponująca znajomość geometrii - zauważyła uprzejmie.

- A jeśli Tanaka naprawdę romansował z Ellen?

- To mamy trójkąt. Już to ustaliliśmy.

- Ale zapomnieliśmy o kimś bardzo ważnym!

- Pstryknął w pustą szklanę.

Przez chwilę Kate w milczeniu przyglądała się grupie przedmiotów.

- Mój Boże! - szepnęła. - Pani Tanaka...

- Właśnie!

- Ani razu nie pomyślałam o zdradzonej żonie.

- Pora naprawić ten błąd.

Japonka, która otworzyła drzwi kliniki, zaskakiwała dramatycznym makijażem: puder był o wiele za jasny dla jej karnacji, natomiast szminka porażała jaskrawą czerwienią. Wyglądała jak emerytowana gejsza.

- Jesteście z policji? - zapytała na wstępie.

- Nie. Ale chcielibyśmy zadać pani kilka pytań - odparł David.

- Nie rozmawiam z dziennikarzami. - Niedoszła rozmówczyni zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę poczekać! Nie jesteśmy dziennikarzami. Ja jestem prawnikiem. David Ranson. A to jest doktor Kate Chesne.

- Więc czego ode mnie chcecie?

- Zbieramy informacje dotyczące morderstwa, które ma ścisły związek ze śmiercią pani męża.

W oczach kobiety pojawiło się zainteresowanie.

- Mówicie o pielęgniarce? Richter, czy jak jej tam?

- Tak.

- Co o niej wiecie?

- Mamy sporo informacji, którymi chętnie się z panią podzielimy, o ile zechce pani wpuścić nas do środka.

Kobieta zawahała się, rozdarta między ciekawością a obawą. Zwyciężyła ta pierwsza.

- Proszę. - Otworzyła szerzej drzwi.

Jak na Japonkę była bardzo wysoka, wyższa nawet od Kate. Ubrana w prostą niebieską sukienkę, szpilki i srebrne kolczyki prezentowała się bardzo elegancko. Jej kruczoczarne włosy wyglądałyby nienaturalnie, gdyby nie delikatne pasmo siwizny na skroni. Mari Tanaka mimo dojrzałego wieku wciąż była wybitnie urodziwa.

- Przepraszam za bałagan - mówiła, prowadząc ich do sterylnej czystej poczekalni. - Powoli ogarniamy chaos, ale nie jest łatwo. A tu pacjentki czekają, piętrzą się rachunki. Wszystko to było dotąd na głowie Henry'ego. Więc teraz, kiedy go zabrakło... - Ze znużeniem opadła na sofę. - Domyślam się, że wiecie, co go łączyło z tą kobietą?

- My tak. A pani? - zapytał David.

- Ja też o niej wiedziałam. To znaczy nie znałam jej nazwiska, ale domyślałam się, że Henry kogoś ma. One też o wszystkim wiedziały. - Skinęła głową w stronę recepcjonistki widocznej za przeszkloną ścianą. - I wszyscy w szpitalu. Tylko ja żyłam w błogiej nieświadomości. Jak ta przysłowiowa głupia żona, która o wszystkim dowiaduje się ostatnia. Ale do rzeczy. - Uniosła głowę. - Co wiecie o Richter?

- Pracowałam z nią - rzekła cicho Kate.

- Tak? I jaka była? Pewnie ładna?

- Cóż... Ann rzeczywiście była bardzo atrakcyjna - przyznała Kate, starannie dobierając słowa.

- A chociaż inteligentna?

- Tak. Była świetną pielęgniarką.

- Jak ja. - Pani Tanaka zagryzła wargi i odwróciła wzrok.

- Słyszałam, że miała jasne włosy. Henry lubił blondynki. Co za ironia losu, prawda? Podobało mu się akurat to, co dla mnie jest nieosiągalne. - Naraz spojrzała wrogo na Davida. - A panu pewnie podobają się Azjatki? - rzuciła oskarżycielsko.

- Podobają mi się wszystkie piękne kobiety, bez względu na rasę. Nikogo nie dyskryminuję - wybrnęła.

- A Henry dyskryminował - szepnęła, łykając łzy, które niespodziewanie błysnęły w jej oczach.

- Czy w jego życiu były inne kobiety? Poza panią i Ann? - zapytała Kate łagodnie.

- Myślę, że tak. - Wzruszyła ramionami. - W końcu był prawdziwym mężczyzną - dodała z sarkazmem.

- Czy słyszała pani o Ellen O'Brien?

- Ją też... łączyło coś z moim mężem?

- Tego niestety nie wiemy. Mieliśmy nadzieję, że dowiemy się czegoś od pani.

- Przykro mi. - Potrząsnęła głową. - Henry nie wymieniał żadnych nazwisk. A ja o nic nie pytałam.

- Ale dlaczego? - Kate ściągnęła brwi.

- Żeby nie zmuszać go do kłamstwa.

- Czy prowadzący śledztwo poinformowali panią, że wytypowali podejrzanego? - zapytał David.

- Chodzi wam o Charlesa Deckera? Wczoraj pokazali mi jego zdjęcie.

- Rozpoznała go pani?

- Ja go w życiu nie widziałam, panie Ransom. Nawet nie miałam pojęcia, jak się nazywa. Wiedziałam tylko, że pięć lat

temu jakiś szaleniec zaatakował mojego męża, a ci durnie z policji zamknęli go i następnego dnia wypuścili.

- Stało się tak dlatego, że pani mąż nie chciał złożyć zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa - wyjaśnił David.

- Co takiego?

- Nie chciał rozdmuchiwać tej sprawy.

- Nigdy mi o tym nie mówił.

- A co pani powiedział?

- Jak zwykle parę zdawkowych zdań. O wielu sprawach w ogóle nie rozmawialiśmy. Dzięki temu nasze małżeństwo przetrwało tyle lat. Henry nie wnikał, na co wydaję pieniądze, ja nie pytałam go o kochanki.

- Więc nie może pani nic nam powiedzieć na temat Deckera?

- Niestety. Ale zawołam Peggy, naszą recepcjonistkę. Była tu, kiedy rzucił się na Henry'ego.

Peggy była jeszcze jedną atrakcyjną blondynką przed czterdziestką. Poproszona o zajęcie miejsca, oznajmiła, że woli stać. Najwyraźniej nie chciała siadać zbyt blisko swej chlebodawczynie.

- Czy pamiętam Charlesa Deckera? - powtórzyła.

- Do końca życia go nie zapomnę. Sprzątałam gabinet, kiedy usłyszałam w poczekalni krzyki. Pobiełam tam i zobaczyłam, że ten szaleniec dusi Henry'ego, to znaczy pana doktora. Okropnie przy tym na niego wrzeszczał.

- Ubliżał mu?

- Nie. Ciągłe powtarzał: „Mów, co żeście jej zrobili”.

- Jest pani pewna?

- W stu procentach.

- Czy wie pani, o kogo mu chodziło? O którąś z pacjentek?

- Tak. Doktor bardzo się przejął tym nieszczęściem. To była naprawdę miła dziewczyna, ale zmarła przy porodzie. Najpierw ona, a zaraz potem dziecko.

- Pamięta pani, jak się nazywała?

- Jenny... Jenny... Zaraz sobie przypomnę. No, jak jej tam było? Brook! Tak, na pewno! Jennifer Brook.

- Jak pani zareagowała, widząc, że Decker zaatakował doktora?

- Jak to co? Odciągnęłam go. Opierał się, ale sobie poradziłam. Kobiety wcale nie są takie słabe, wie pan?

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - przyznał David.

- On zaraz potem jakby zasłabł.

- Kto? Doktor Tanaka?

- Nie, ten napastnik. Skulił się w kącie obok stolika i zaczął płakać. Jak przyjechała policja, w ogóle nie stawiał oporu. Słyszałam, że parę dni później próbował się zabić. - Umilkła i przez chwilę wpatrywała się w dywan, jakby szukała śladów tamtych zdarzeń. - Dziwne, ale pamiętam, że było mi go żal. Płakał jak dziecko. Henry chyba też mu współczuł...

- Mam jeszcze jedno pytanie - odezwała się Kate. - Jak długo przechowujecie dokumentację medyczną zmarłych pacjentów?

- Pięć lat. A jeśli był to zgon w czasie porodu, nawet dłużej. Na wypadek, gdyby rodzina chciała złożyć pozew w sądzie.

- Więc nadal macie kartę Jennifer Brook?

- Na pewno. Zaraz poszukam. - Peggy wróciła do recepcji i otworzyła szafkę. Dwukrotnie przeszukała szufladę z kartami pacjentów, których nazwiska zaczynają się na B. Potem sprawdziła jeszcze te na J. W końcu zdenerwowana zasunęła szufladę. - Nic z tego nie rozumiem. Powinna tu być.

- A nie ma? - Kate i David wymienili spojrzenia. - Nie! Ja naprawdę pilnuję porządku w dokumentacji. Nie jestem bałaganiarą - zarzekała się.

- Jak mamy to rozumieć? - wtrącił David. - Czy sugeruje pani, że ktoś tę kartę stąd zabrał?

- Tylko on mógł to zrobić. Ale zupełnie nie rozumiem, po co? - Peggy nie posiadała się ze zdumienia. - Przecież jeszcze nie minęło pięć lat.

- On, to znaczy kto? - dociekał David. Spojrzała na niego jak na opóźnionego w rozwoju.

- Jak to kto? Doktor Tanaka!

- Jennifer Brook - powtórzyła beznamiętnie rejestratorka w szpitalu i szybko wpisała nazwisko do komputera. - Pisane przez „e” na końcu czy bez?

- Nie wiem - odparła Kate.

- Data urodzenia?

- Nie znamy. - Oboje z Davidem spojrzeli po sobie bezradnie.

Rejestratorka łypnęła na nich zza okularów w rogowej oprawie.

- Numeru karty też pewnie państwo nie znają? Pokręcili głowami.

- Tego się obawiałam. - Kobieta pochyliła się nad klawiaturą i wystukała komendę. Po chwili na ekranie pojawiły się dwa nazwiska. - Czy to któraś z tych osób?

- Niestety nie. - Kate zerknęła na daty urodzenia i rozczarowana stwierdziła, że pierwsza Jennifer ma lat pięćdziesiąt siedem, a druga piętnaście.

- Szkoda. - Rejestratorka westchnęła i usunęła nazwiska z ekranu. - Wolno spytać, pani doktor, do czego są pani potrzebne te informacje? - zapytała z irytującym spokojem.

- Do pracy badawczej - odparła Kate bez wahania. - Doktor Jones i ja...

- Doktor Jones? - Kobieta spojrzała uważnie na Davida. - Nie przypominam sobie, żeby pracował u nas lekarz o takim nazwisku.

- Pan doktor pracuje na uniwersytecie...

- Stanowym Arizony - dokończył szybko David.

- Sekretariat doktora Avery'ego wyraził zgodę na udostępnienie danych - brnęła. - Prowadzimy badania nad śmiertelnością wśród rodzących...

- Śmiertelnością? To ta osoba nie żyje? - rzuciła surowo rejestratorka.

- Tak.

- Nic dziwnego, że nie mogę jej znaleźć! - Prychnęła urażona. - Zgony trzymamy gdzie indziej. - Sądząc z jej tonu, miejsce przechowywania „zgonów” znajdowało się na Marsie albo i dalej. - Proszę chwilę poczekać. Uprzedzam, że to potrwa. - Nie kryjąc niechęci, wstała od komputera i zółwim krokiem poczłapała na zaplecze.

- Dlaczego mam wrażenie, że więcej jej nie zobaczymy? - szepnął David.

Kate osunęła się na kontuar.

- Ciesz się, że cię nie wylegitymowała! Wiesz, jakie miałabym wtedy kłopoty? Przecież dokumentacja medyczna to dane poufne! Nie wolno ich pokazywać nieprzyjacielowi!

- Mówisz o mnie?

- A o kim? To ty jesteś prawnikiem, prawda?

- Co ty opowiadasz? Jestem poczciwy doktor Jones z Arizony! - Rozejrzał się dookoła, a widząc przy jednym ze stolików ziewającego lekarza, obok którego leniwie sunęła pielęgniarka z wózkiem, zauważył z przekąsem: - Ależ tu ruch! O której zaczynają się tańce?

Kate nie zdążyła odpowiedzieć, bo usłyszeli za sobą odgłos kroków. Wbrew obawom Davida rejestratorka wróciła, ale z pustymi rękami.

- Niestety, karty nie ma - oznajmiła.
- Jak to? - Kate nie wierzyła własnym uszom.
- Powinna być w archiwum. Ale jej nie ma.
- Szpital ją komuś wydał? - dociekał David.
- My nie wydajemy oryginałów, panie doktorze - zganiła go.
- Przecież ludzie zaraz by je zgubili.
- Oczywiście, rozumiem - zreflektował się. Rejestratorka usiadła przy komputerze i nacisnęła kilka klawiszy.
- Proszę bardzo, mam ją w bazie danych, więc powinna być na swoim miejscu. A ponieważ jej nie ma, pewnie została zgubiona albo gdzieś przełożona. I jak znam życie, już się nie odnajdzie - oznajmiła.
- Chwileczkę, co to za adnotacja? - zainteresował się David, zerkając jej przez ramię.
- Prośba o wydanie kopii. - Ustawiła kursor i wcisnęła enter. Na ekranie pojawiły się dane osoby, która wystąpiła z taką prośbą. - Joseph Kahanu, adwokat, Alakea Street. Data wystawienia kopii: marzec bieżącego roku.
- Zaledwie dwa miesiące temu.
- Zgadza się, panie doktorze.
- Adwokat. Dlaczego nagle zainteresował się zgonem, który miał miejsce pięć lat temu?
- Też bym chciała wiedzieć - odparła sucho rejestratorka.

Farba złażyła płatami ze ścian, na schodach leżał zdeptany dywan. Na drzwiach wisiała tabliczka:

„Joseph Kahanu, adwokat. Specjalizacja: Rozwody, prawa rodzicielskie, testamenty, wypadki, ubezpieczenia, jazda pod wpływem alkoholu, obrażenia cielesne”.

- Świetny adres - mruknął David. - Pewnie ma tu więcej szcurków niż klientów - orzekł i zapukał.

Drzwi otworzył potężny Hawajczyk w przyciasnym garniturze.

- Pan jest David Ransom? - rzucił opryskliwie.

- Tak. A to doktor Kate Chesne. Mężczyzna chwilę jej się przyglądał.

- Wejdźcie. - Odsunął się i wpuściwszy ich do środka, wskazał im dwa chybotliwe krzesła.

Kate rozejrzała się dyskretnie po nędznie urządzonej dusznym biurze. Było tak małe, że ledwie mieściło się w nim biurko. Widać było, że adwokat z trudem wiąże koniec z końcem.

- Jeszcze nie zawiadomiłem policji - oznajmił, siadając na starym obrotowym krześle.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Nie wiem, jak pan, ale ja nie mam zwyczaju donosić na swoich klientów - odparł z godnością.

- Ale ma pan świadomość, że Decker jest poszukiwany pod zarzutem popełnienia podwójnego morderstwa?

Energicznie pokręcił głową.

- To jakieś nieporozumienie.

- Tak to panu przedstawił Decker?

- Nie, bo z nim nie rozmawiałem. Od paru dni nie mogę się z nim skontaktować.

- Może pora, żeby go przyprowadziła policja.

- Słuchaj, kolego! Obaj wiemy, że nie gramy w tej samej lidze - warknął. - Słyszałem o twojej wypasionej kancelarii przy Bishop Street i mogę się domyślić, że masz tam na usługach armię współpracowników. Ty spędzasz weekendy na polu golfowym w towarzystwie sędziów i innych ważniaków, a ja? - Zatoczył ręką krąg i roześmiał się ponuro. - Mogę policzyć moich klientów na palcach jednej ręki. W dodatku większość z nich zapomina mi zapłacić. Ale są moimi klientami, więc nie będę przeciwko nim występował.

- Dwie osoby zostały zamordowane - przypomniał mu David.

- Nie ma dowodów, że zrobił to mój klient.

- Policja jest przeciwnego zdania. Uważają, że Charlie Decker jest bardzo niebezpieczny. I w dodatku chory. To człowiek, który potrzebuje pomocy.

- Tak teraz nazywacie więzienie? Miejsce, gdzie wyciągną do ciebie pomocną dłoń? - Zdegustowany otarł chustką spocone czoło. - Ha, zdaje się, że nie mam wyboru. Za chwilę i tak przyjdzie tu policja. - Sięgnął do szuflady, wyjął z niej papierową teczkę i rzucił na zniszczone biurko. - Macie tu to, czego szukacie. Zresztą nie wy jedni - burknął.

- Jak to? Ktoś już się zwracał do pana w tej sprawie? - zaniepokoił się David.

- Owszem, o ile można tak nazwać włamanie.

- Włamali się panu do biura! Kiedy?!

- W zeszłym tygodniu. Nic nie zginęło, ale wybebeszyli mi wszystkie szafki. Jak dzisiaj do mnie zadzwoniliście, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie chodziło im o te dokumenty.

- Jak to się stało, że ich nie znaleźli?

- Akurat wtedy zabrałem je do domu.

- Czy to jedyna kopia?

- Nie. Na wszelki wypadek zrobiłem jeszcze kilka.

- Mogę zobaczyć? - poprosiła Kate.

David się zawahał, ale w końcu podał jej kopertę.

- Proszę, to ty jesteś lekarzem.

Spojrzała na napis: Jennifer Brook. Zaczęła uważnie czytać.

Pierwsze strony wypełniały rutynowe zapiski z izby przyjęć. Wynikało z nich, że dwudziestośmioletnia zdrowa kobieta w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży zgłosiła się do szpitala we wczesnej fazie porodu i została zbadana przez

doktora Tanakę. Wyniki badań krwi matki oraz praca serca płodu były w normie.

Kate przeszła do opisu samego porodu, który początkowo przebiegał normalnie, lecz nagle wszystko zaczęło się komplikować. Z tragicznym skutkiem. Staranne pismo pielęgniarki przy każdym kolejnym wpisie stawało się coraz bardziej chaotyczne, aż przeszło w trudne do odczytania bązgroły. Śmierć młodej matki została opisana w suchym, klinicznym żargonie: „nagle pogorszenie się stanu pacjentki, ogólna zapaść, brak reakcji na valium, prośba o pomoc przy reanimacji, nieregularny oddech, zatrzymanie oddechu... masaż serca, puls płodu słyszalny, ale słabnie, brak pulsu u rodzącej, doktor Vaughn z nagłych wypadków wezwany do cesarskiego cięcia. Noworodek płci żeńskiej, żywy”.

W tym miejscu zapiski stały się zupełnie nieczytelne. I wreszcie ostatni lapidarny wpis:

„Reanimacja wstrzymana. Zgon o 1:30 w nocy”.

- Zmarła z powodu wylewu krwi do mózgu - rzucił Kahanu. - Taka młoda kobieta...

- A dziecko?

- To była dziewczynka. Przeżyła matkę o godzinę.

- Kate - powiedział David półgłosem. - Spójrz, kto przyjmował poród.

U dołu strony widniały trzy nazwiska:

Henry Tanaka, doktor nauk medycznych Ann Richter, dyplomowana pielęgniarka Ellen O'Brien, dyplomowana pielęgniarka.

Kate czytała je i czuła, jak kostnieją jej ręce.

- Brakuje tu czwartego nazwiska - zauważyła. - Wcześniej była wzmianka o tym, że cesarskie cięcie wykonał doktor Vaughn. Powinniśmy z nim porozmawiać. Może powie nam coś istotnego...

- Na pewno nie powie, nawet gdyby chciał - wtrącił Kahanu. - Krótco po tamtym zdarzeniu miał wypadek. Czołowe zderzenie.

- Zginął?

- Tak jak pozostała trójka - podsumował. - Teraz już wszyscy nie żyją.

Kate wypuściła z rąk teczkę. W tych papierach czaiło się szatańskie zło. Nie chciała ich dotykać.

- Cztery tygodnie temu przyszedł do mnie Charlie Decker - mówił tymczasem Kahanu. - Nie mam pojęcia, dlaczego wybrał właśnie mnie. Może ze względów finansowych, a może zupełnie przez przypadek. Prosił o poradę prawną, bo zastanawiał się, czy nie oskarżyć szpitala o błędy lekarskie.

- W tym konkretnym przypadku? - zdziwił się David. - Przecież ta kobieta zmarła pięć lat temu, a on nawet nie był z nią spokrewniony. Wie pan tak jak ja, że każdy sąd odrzuciłby jego pozew.

- On mi zapłacił, panie Ransom. Gotówką - odparł adwokat, akcentując ostatnie słowo. - Spełniłem więc jego prośbę. Załatwiłem mu kopię dokumentacji i skontaktowałem się z lekarzem i dwiema pielęgniarkami, którzy zajmowali się Jenny Brook. Wysłałem do nich listy, na które nie odpowiedzieli.

- Nie zdążyli - stwierdził sucho David. - Decker za szybko ich dopadł.

- Mój klient nikogo nie zabił - upierał się Kahanu. - Pan go przecież na oczy nie widział. A ja tak. I zaręczam panu, że nie jest agresywny.

- Gdyby pan wiedział, jak niepozornie wyglądają czasem zabójcy! Wiem, co mówię, bo spotykam się z nimi w sądzie.

- A ja ich bronię! Podejmuję się obrony kanalii, z którymi nikt nie chce mieć do czynienia. Bez problemu rozpoznaję zabójców. Po oczach. A konkretnie po tym, że w ich wyrazie

czegoś brak. Może duszy, nie wiem. Jeszcze raz panu powtarzam, że Decker taki nie jest.

- Niech pan nam o nim opowie - poprosiła Kate.

- Co ja mogę o nim powiedzieć? Jest taki... przeciętny. Ani niski, ani wysoki. Do tego strasznie chudy, sama skóra i kości, jakby nie dojadał. Wygląda na faceta, który przegrał życie. Aż żal na niego patrzeć. Siedział tu, gdzie teraz pani. Mówił, że nie ma za dużo pieniędzy. Ale wyciągnął portfel i zapłacił. Odliczał te dwudziestodolarówki z takim namaszczeniem, że widać było, że to wszystko, co ma. - Smutno pokręcił głową. - Pojęcia nie mam, na co mu to potrzebne. Kobieta nie żyje. Dziecko też. Przecież grzebiąc się w przeszłości, nie przywróci im życia.

- Wie pan, gdzie go znaleźć? - zapytał David.

- Zostawiam mu wiadomości w skrytce pocztowej. Ale od trzech dni nie odbiera listów.

- Ma pan jego adres albo numer telefonu?

- Nie. Słuchajcie, ja naprawdę nie mam pojęcia, gdzie on jest. Niech go sobie szuka policja. W końcu za to im płacą. - Odepchnął się od biurka i wstał. - Powiedziałem wam wszystko, co wiem. O resztę spytajcie Deckera.

- Który nagle przepadł jak kamień w wodę - zauważył cierpko David.

- Albo już nie żyje - burknął Kahanu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ciągu czterdziestu ośmiu lat pracy na cmentarzu dozorca Ben Hoomalu widział niejedno. Jego znajomi twierdzili, że to całkiem normalne, bo jak ktoś całe dni włóczy się między nieboszczykami, to potem miewa omamy. On zaś był zdania, że to nie umarli robią głupoty, tylko żywi. Napatrzył się więc na napalonych nastoletnich kochanków obściskujących się po ciemku między grobami; na wdowy wyklinające mężów spoczywających w marmurowych grobach, widział też starszego pana, który próbował pogrzebać ukochanego pudła obok ukochanej małżonki. Naprawdę zdumiewające rzeczy może człowiek zobaczyć na cmentarzu. A teraz znowu ten samochód.

Widywał go przez cały zeszły tydzień. Szary ford z przyciemnionymi szybami przyjeżdżał o różnych porach dnia. Kierowca zatrzymywał się obok „Łuku wiecznego odpoczynania”, ale nigdy nie wysiadał z auta. Dziwne. Ben nie pojmował, dlaczego ktoś, kto zadał sobie trud i przyjechał na cmentarz, nawet nie spojrzy na grób swych bliskich. Ludzie miewają naprawdę dziwne pomysły.

Kręcąc głową nad zawilóścią ludzkiej psychiki, wziął się za strzyżenie krzewu hibiskusa. Na moment oderwał się od swego ulubionego zajęcia, bo usłyszał warkot silnika. Na parking wjechał poobijany Chevrolet. Młody chudy mężczyzna od razu wysiadł i pomachawszy Benowi bukietem margerytek, poszedł odwiedzić grób. Ben zabrał się na powrót do roboty, ale dyskretnie podpatrywał, jak mężczyzna spokojnie odprawia swój rytuał. Zaczął jak zwykle od wyrzucenia zwiędłych kwiatów, a potem pozbierał suche liście i gałązki. Dopiero wtedy położył na tablicy świeże kwiaty i przysiadł na trawie. Ben wiedział, że będzie tak siedział długie godziny. Widocznie było mu to potrzebne.

Zdażył przystrzyc hibiskus i wziął się za bugenwillę, gdy mężczyzna wstał i wrócił do samochodu. Ban patrzył na oddalające się auto i czuł dziwny smutek. Nie znał tego człowieka, nie miał pojęcia, jak się nazywa. Ale wiedział, że osoba, którą odwiedza, wciąż jest kochana. Położył na trawie nożyce i podszedł do grobu, na którym leżały margerytki przewiązane różową wstążką.

Nagle jego uwagę zwrócił warkot uruchamianego silnika. Odwrócił się i zobaczył, że szary ford powoli też odjeżdża. Dziwne. Naprawdę dziwne.

Zostawił auto w spokoju i spojrział na brązową tablicę: Jennifer Brook, żyła lat dwadzieścia osiem. Suchy liść sfrunął z drzewa i lekko drżał na wietrze. Ben pokręcił głową. Taka młoda kobieta. Szkoda.

- Szeffie, tu ma pan kanapkę z szynką, tu majonez, a rozmowę na czwartej linii - oznajmił sierżant Brophy, kładąc na biurku papierową torbę.

Pokie bez wahania ustalił priorytety. Najpierw jedzenie, potem praca.

- Kto dzwoni?

- Ransom.

- Znowu!

- Domaga się, żebyśmy wszczęli dochodzenie w sprawie śmierci Ellen O'Brien.

- Co go napadło, że tak się nam naprzykrza?

- Coś mi się zdaje, że uderza do tej... - Brophy urwał w pół słowa i głośno kichnął - tej lekarki. Wie pan, serce, kwiatki i te inne sprawy.

- Davy? - Pokie parsknął takim śmiechem, że aż mu wypadł z ust kęs kanapki. - Davy nie wie, co to serce, bo go nie ma! Tacy jak on się nie zakochują.

- Na to nie ma mocnych, poruczniku - zauważył Brophy refleksyjnie. - Co mam mu powiedzieć? - zapytał, wskazując głową migającą diodkę.

- Powiedz, że oddzwonię.

- Kiedy?

- Jak będę chciał i ochotę miał. Za rok.

David zaklął pod nosem i wsiadł do samochodu.

- Olali nas, gnoje! - warknął.

- Przecież widzieli kartę Jenny Brook, rozmawiali z Kahanu... - Kate nie potrafiła ukryć zawodu.

- I co z tego? Dalej twierdzą, że nie mają wystarczających dowodów, by wszcząć śledztwo. Z ich punktu widzenia śmierć Ellen była skutkiem błędu lekarzy. Koniec kropka.

- Więc musimy dalej działać na własną rękę.

- Wycofujemy się. Zrobiło się już zbyt niebezpiecznie.

- Przecież od początku było wiadomo, że to ryzykowna zabawa. Dlaczego akurat teraz się boisz?

- Dobra, będę z tobą szczery. Do tej pory sam nie wiedziałem, czy ci wierzę.

- Myślałeś, że kłamię?

- Po prostu miałem wątpliwości. Ale teraz wiem, że dzieje się coś dziwnego. Ze szpitala ginie karta, ktoś włamuje się do biura adwokata. To nie jest dzieło szaleńca, który szuka zemsty. Morderca działa w sposób uporządkowany. Według mnie kluczem do zagadki jest karta Jenny Brook. W tych zapiskach musi być jakiś mroczny sekret, który ktoś chce za wszelką cenę ukryć.

- Przecież przeglądaliśmy ją tysiące razy. I nic.

- Liczę na to, że Charlie Decker pomoże nam rozwiązać tę zagadkę. Dlatego uważam, że musimy się przycisnąć i czekać, aż go złapią. Jutro spróbuję przycisnąć Pokiego - oznajmił, zmieniając pasy na zakorkowanej jezdni. - Postaram się go namówić, żeby wszczęli śledztwo.

- A jeśli powie, że brakuje mu dowodów?
- To mu powiem, żeby ruszył tyłek i je znalazł. My na pewno nie będziemy ich szukali za niego.
- Posłuchaj, ja nie mogę się wycofać. Tu stawką jest moja praca. Moje zawodowe być albo nie być.
- A co z twoim życiem?
- Bez pracy nie ma dla mnie życia.
- Chyba przesadzasz!
- Ty tego nie zrozumiesz. - Odwróciła się od niego. - W końcu nie walczysz o siebie.

A jednak rozumiał. I bardzo się martwił, bo znając jej upór, wiedział, że łatwo się nie podda. Jak samuraj, prędzej rzuci się na nagi miecz, niż pogodzi z porażką.

- Nie mów, że cię nie rozumiem, bo to nieprawda.
- Okej. Ale nie masz nic do stracenia.
- Czyżby? Nie zapominaj, że wycofałem się z prowadzenia sprawy, na której mogłem nieźle zarobić.
- Cóż, przykro mi, że poniosłeś przeze mnie straty.
- Myślisz, że chodzi o pieniądze? Jeśli tak, to mnie nie znasz. Naraziłem na szwank swoją opinię, czyli największy kapitał prawnika. Wszystko przez to, że uwierzyłem w twoją historię. Zabójstwo na stole operacyjnym! Jeśli nie zdołam tego dowieść, wyjdę na skończonego durnia! Więc nie mów mi, że nie mam nic do stracenia! - wykrzyczał. Emocje wymknęły mu się spod kontroli. Kate może zarzucać mu różne rzeczy, jakoś by to zniósł. Ale nie ma prawa twierdzić, że niczym się nie przejmuje. - Wiesz, co jest w tym najgorsze?
- rzucił głucho, gdy trochę ochłonął. - To, że nie umiem kłamać. O'Brienowie pewnie się zorientowali, że kręcę.
- Nie powiedziałeś im prawdy?
- Że moim zdaniem ich córka została zamordowana? Do cholery, nie! Chciałem ułatwić sobie życie, więc poczęstowałem ich gładką formułką o konflikcie interesów. I

dodałem, że przekazuję sprawę bardzo dobrej kancelarii, więc nie powinni czuć się pokrzywdzeni.

- Co takiego?

- Kate, do niedawna byłem ich adwokatem. Przecież nie mogłem zostawić ich na lodzie.

- Naturalnie.

- Uwierz mi, to nie była łatwa decyzja.

- Domyślam się.

- Nie lubię sprawiać klientom zawodu. Uważam, że po tragedii, którą przeżyli, należy im się sprawiedliwość. Dlatego czuję się bardzo nie w porządku, gdy nie mogę wywiązać się z obietnicy. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście, że rozumiem.

Kłamie. Zdradził ją urażony ton. Zdenerwowała go tym, bo uważał, że powinna wykazać się zrozumieniem.

Dojechali do domu, ale żadne nie kwapiło się, by wysiąść z samochodu. Siedzieli w mrocznym garażu i nie odzywali się do siebie. Kate pierwsza przerwała nieprzyjazną ciszę:

- Naraziłam na szwank twoje dobre imię, tak? Kiwnął głową.

- Przykro mi.

- Posłuchaj, zapomnijmy o tym, dobrze? - Wysiadł i otworzył drzwi po jej stronie. Nawet nie drgnęła. - Nie wejdiesz do środka?

- Wejdę. Żeby się spakować.

Lęk chwycił go za serce, lecz to ukrył.

- Chcesz się wyprowadzić?

- Doceniam, co dla mnie zrobiłeś, i jestem ci za to wdzięczna. Naraziłeś się na przykre konsekwencje, choć wcale nie musiałeś mi pomagać. Początkowo rzeczywiście byliśmy sobie potrzebni, ale układ przestał być dla ciebie korzystny. I dla mnie też.

- Rozumiem. - Uważał, że Kate zachowuje się jak dziecko. - Dokąd zamierzasz się przenieść?

- Do znajomych.

- Świetnie. Uważasz, że to w porządku narazić Bogu ducha winnych ludzi na niebezpieczeństwo?

- Masz rację. Zatrzymam się w hotelu.

- Zapomniałaś już, że zgubiłaś torebkę? Nie masz dokumentów, pieniędzy, kart kredytowych. - Zrobił dramatyczną pauzę. - Nie masz nic.

- W tej chwili nie, ale...

- Zamierzasz poprosić mnie o pożyczkę?

- Nie żartuj! Nie potrzebuję twojej pomocy! - zirytowała się. - I nigdy nie potrzebowałam. Ani od ciebie, ani od żadnego innego faceta!

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie uciec się do starej sprawdzonej metody siłowej. Doszedł jednak do wniosku, że tylko pogorszyłby sprawę.

- Zrobisz, jak zechcesz - rzucił i wszedł do domu.

Kiedy pakowała walizkę, nerwowo krążył po kuchni, zastanawiając się, co robić. Gotów był zmusić ją do posłuszeństwa. Już nawet szedł do jej pokoju, by oznajmić, że ma zostać, ale w porę się opamiętał. Przystanął w drzwiach i patrzył, jak starannie składa ubrania. Jego wzrok padł na wciąż widoczny siniec na jej twarzy, i wzruszenie ścisnęło mu gardło. Uświadomił sobie, jak bardzo jest krucha i bezbronna. Kate pozuje na twardą i niezależną, lecz w rzeczywistości jest samotną kobietą na ostrym życiowym zakręcie.

- Prawie skończyłam - oznajmiła, rzucając na wierzch nocną koszulę. Mimo woli spojrzął na obłok brzoskwiнового jedwabiu i poczuł, jak ciężar, który uciskał mu krtań, przesuwa się w dolne partie brzucha. - Zamówiłeś mi taksówkę?

- Nie.

- Za minutę będę gotowa. Możesz zamówić?
- Nie mam zamiaru.
- Słucham? - Spojrzała na niego zaskoczona.
- Nie będę zamawiała żadnej taksówki.
- No to zamówię sama. - Chciała wyjść, ale złapał ją za rękę.

- Kate, daj już spokój! Powinnaś tu zostać.
- Niby dlaczego?
- Bo na zewnątrz grozi ci niebezpieczeństwo.
- Świat generalnie jest niebezpieczny. Ale, jak widzisz, jakoś sobie radzę.

- Jasne! Jesteś twarda! Zaimponowałaś mi! Można wiedzieć, co zrobisz, jak cię dopadnie Decker?

- Nie masz innych zmartwień? - Wyrwała mu się.
- Na przykład?
- Twoja etyka zawodowa. Już się nie boisz, że zrujnuję ci opinię?

- Ty się o moją opinię nie martw. Sam potrafię o nią zadbać.

- Chyba pora, żebym zaczęła lepiej dbać o swoją. Stali tak blisko siebie, że poczuli, jak narasta

między nimi napięcie. Przypominało falę gorąca, która napłynęła nie wiadomo skąd. I nagle stało się coś, co było jak niekontrolowany samozapłon. Jedno spojrzenie w oczy.

- Do diabła z opinią. - Pożądanie zmieniło jego głos. - I tak już ją zszargaliśmy.

I do diabła z konsekwencjami. Postanowił o nich zapomnieć i ulec pokusie, która nie dawała mu spokoju przez cały dzień. Przytulił Kate i zaczął ją całować. Wyczuł jej opór, lecz nie trwało to długo. Wystarczyła sekunda, by rozluźniła się i zaczęła odwzajemniać pocałunki. On tylko na to czekał. Tak bardzo się spieszył, by rozpiąć jej sukienkę, że nie mógł sobie z tym poradzić. Zupełnie jak młody chłopak, który

dopiero odkrywa tajemnice kobiecego ciała. W końcu jakoś uporał się z guzikami i sukienka z cichym szelestem zsunęła się z jej ramion. Oboje zrozumieli, że tym razem nie ma już odwrotu. Spełnienie jest naprawdę blisko.

Wspólnymi siłami zdjęli jego koszulę, a reszty garderoby pozbyli się w sypialni. Łóżko skrzypnęło ostrzegawczo, gdy padli na nie ciasno objęci, ani na chwilę nie przerywając pocałunków. Darowali sobie wyrafinowaną grę wstępną, gdyż oboje zbyt długo czekali na tę chwilę, by odkładać ją na potem. David wsunął dłonie we włosy Kate i całując ją z obłąkaną namiętnością, wszedł w nią tak głęboko, że krzyknęła.

- Przepraszam, zabołało cię? - Oprzytomniał.

- Nie, nie. Nie przestawaj! - Wbiła paznokcie w jego łopatki i próbowała poruszyć biodrami, ale ją przytrzymał. Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Walczył ze sobą. Robił wszystko, by wytrzymać jeszcze chwilę dłużej. Tylko że ona nie miała zamiaru czekać. Odkąd pierwszy raz go zobaczyła, wiedziała, że prędzej czy później będzie jej mężczyzną. A ona jego kobietą. Głos rozsądku podpowiadał, że to szaleństwo, ale ona i tak wiedziała swoje. I nie pomyliła się.

Z całej siły napała na niego biodrami i zaczęła nimi kołysać. Tym razem nie próbował jej okiełznać. Pozwolił, by doprowadziła go do miejsca, z którego nie ma powrotu. Gdy poczuł, że oboje są już na krawędzi, rzucił się na oślep i zaczął spadać, pociągając ją za sobą. Żadne z nich nie przeżyło nigdy większego zawrotu głowy. Musiała minąć wieczność, nim wrócili do względnej równowagi. Ich oddechy zaczęły się w końcu wyrównywać, krople potu obeschły. Za oknami fale wściekle biły o falochron.

- Nareszcie wiem, co to znaczy zostać zżartym przez namiętność - szepnęła drżącym głosem.

- A ja myślę, że jeszcze mógłbym co nieco skubnąć - roześmiał się, delikatnie gryząc ją w ucho.

- Naprawdę nie myślałam, że może być tak cudownie. - Przymknęła oczy, z rozkoszą poddając się pieszczocie.

- A było?

- Było.

- I co? Czujesz się zaskoczona?

- Owszem.

- A można zapytać, czego się spodziewałaś?

- Że będę się kochała z kostką lodu. A tu taka niespodzianka!

- Zdaję sobie sprawę, że sprawiam wrażenie oziębłego - przyznał. - To spadek po ojcu, który nie był zbyt wylewny. Wyobrażam sobie, co czuli ci, którzy stawali z nim twarzą w twarz w sądzie.

- Też był prawnikiem?

- Sędzią w sądzie okręgowym. Zmarł cztery lata temu, podczas rozprawy. Czyli tak jak chciał.

- Aha. Nic tylko prawo i sprawiedliwość, tak? Znam ten typ. I nie przepadam.

- Właśnie. Żeby było zabawniej, moja matka jest zupełnie inna. To urodzona rebeliantka i anarchistka.

- Musieli tworzyć mieszkanke wybuchową.

- Zgadłaś. Zupełnie jak my dzisiaj. - Dotknął palcem jej ust. - Nie rozumiałem, jak ze sobą wytrzymują, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest między nimi chemia.

- Byli szczęśliwi?

- Tak. Bywali sobą zmęczeni, czasem sfrustrowani, ale na pewno szczęśliwi.

Przez okno sączyło się łagodne światło gasnącego dnia, ogrzewając ich ciała ostatnimi promieniami.

- Jesteś taka piękna - westchnął, gładząc ją z zachwytem.

- Naprawdę nigdy bym się nie spodziewał, że pójde do łóżka z

lekarką, która nienawidzi prawników. To tak a propos niestandardowych kochanków.

- A ja czuję się jak mysz, która zabawia się z kotem.

- Boisz się mnie?

- Trochę. Bardzo!

- Ale dlaczego?

- Chyba dlatego, że wciąż mi się zdaje, że stoimy po przeciwnych stronach barykady.

- Skoro należymy do wrogich obozów, to rozumiem, że jedna ze stron właśnie skapitulowała.

- Nie potrafisz myśleć o niczym innym?

- Odkąd cię poznałem, nie.

- A przedtem?

- Moje życie było nudne i bezbarwne.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- Nie mówię, że żyłem jak mnich. Po prostu jestem z natury ostrożny. Trudno mi... zbliżyć się do kogoś.

- Dzisiaj całkiem nieźle ci poszło.

- Nie mówię o bliskości fizycznej, tylko emocjonalnej. Taki już jestem. Uczucia to niezwykle delikatna materia. I skomplikowana, więc po prostu sobie z nimi nie radzę. Za łatwo można wszystko zepsuć.

- A co się zepsuło w twoim małżeństwie? - zapytała.

- W moim małżeństwie? - Z westchnieniem przewrócił się na plecy. - Właściwie nic. W każdym razie ja nie czuję się niczemu winny, co raczej nie przemawia na moją korzyść, ale trudno. Linda miała mi za złe, że nie potrafię wyrażać uczuć. Zarzucała mi, że jestem zimny. Uważałem, że przesadza. Dziś myślę, że miała rację.

- Ja mam na ten temat własną teorię. - Ona również przewróciła się na bok, by spojrzeć mu w oczy. - Moim zdaniem to jest z twojej strony gra. Ty się chowasz za maską

oziębłego i nieprzystępnego. Zresztą ludzie okazują uczucia na wiele różnych sposobów.

- Od kiedy zajmujesz się psychologią?

- Odkąd wplątałam się w znajomość z facetem o wyjątkowo złożonej psychice.

- Facet, o którym mówisz, jest piekielnie głodny - jęknął i przyciągnął ją do siebie. - Co ty na to, żebyśmy zrobili sobie spaghetti z sosem pani Feldman, napili się wina, a potem...

- A potem? - szepnęła.

- A potem... - zbliżył usta do jej ust - pokażę ci, jak prawnicy radzą sobie z lekarkami.

- No no!

- No co? Pożartować nie można? - wołał, zasłaniając się przed ciosem, który chciała mu wymierzyć. - Chodź! I przestań tak na mnie patrzeć, bo nigdy stąd nie wyjdziemy. Chcesz, żebyśmy tu umarli z głodu?

- Ech, cóż by to była za piękna śmierć...

Obudziło ją znajome mlaskanie fal. Balansując między jawą a snem, wyciągnęła rękę w stronę Davida, lecz trafiła na poduszkę nagrzaną przez poranne słońce. Otworzyła oczy, a gdy spostrzegła, że go nie ma, poczuła się straszliwie samotna.

- David?

Odpowiedziała jej cisza. Wstała z łóżka i zaczęła krążyć po sypialni, z wypiekami na twarzy wspominając minioną noc. Butelka wina. Słowa szeptane w chwili uniesienia. Łóżko jak po przejściu huraganu.

- David! - Ciekawe, gdzie może być?

Zajrzała do łazienki; tam go nie było. Ani w zalanym słońcem salonie, gdzie na stoliku wciąż stała pusta butelka. W kuchni również go nie znalazła. Dom bez niego straszyl przygnębiającą pustką. Sprawiał wrażenie porzuconej skorupy lub opuszczonej jaskini, a nie radosnego miejsca, w którym żyją ludzie.

Stęskniona zaczęła szukać śladów jego obecności. Zajrzała do garderoby, w której rzędem wisiały eleganckie garnitury i unosił się znajomy zapach wody kolońskiej. Potem weszła do pełnego książek gabinetu, który ze swymi solidnymi dębowymi meblami i lampami z mosiądzu wydał jej się miejscem pozbawionym duszy.

W swej wędrówce dotarła wreszcie do ostatniego pokoju, na końcu korytarza. Chwilę stała przed drzwiami, zastanawiając się, czy dobrze robi, myszkując bez pozwolenia po domu.

Nie robiła tego z niezdrowej ciekawości; uznała za naturalne, że chce dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, z którym dopiero co spędziła miłosną noc. Stwierdziwszy, że ma do tego prawo, delikatnie nacisnęła klamkę.

Uderzył ją charakterystyczny zapach dawno niewietrzonego wnętrza. Zaciekawiona rozejrzała się dokoła. Stała w progu dziecięcego pokoju.

Na suficie i na ścianach pokrytych tapetą w niebieskie koniki tańczyły maleńkie tęcze z zawieszonych przy oknie pryzmatów. Skakały też po półkach pełnych zabawek i łóżku przykrytym kolorową narzutą. Najpierw długo wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana. A potem, wbrew swej woli, ostrożnie weszła dalej. Zupełnie jakby wciągnęła ją tam niewidzialna mała dłoń. Nagle dłoń gdzieś się rozplynęła, a ona została sama, boleśnie sama pośrodku opuszczonego pokoju. Ogarnął ją palący wstyd. Poczwała się jak profan, który zbezcześcił sanktuarium.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, nim ocknęła się z bezruchu. Kiedy minął pierwszy szok, wolno podeszła do komody, na której leżały książki czekające na powrót właściciela. Sięgnęła po pierwszą z brzegu i otworzyła ją. Na karcie tytułowej widniał podpis. Noah Ransom.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam! - szepnęła i wybiegła na korytarz.

W kuchni znalazła w końcu wiadomość, którą zostawił dla niej David. Siedząc nad kubkiem kawy, wielokrotnie odczytała lakoniczną treść:

„Zabrałem się z Glickmanem. Możesz wziąć mój samochód. Zobaczymy się wieczorem”.

Miłosny list to raczej nie jest, pomyślała rozgoryczona. Ani jednego czułego słowa. I nawet się nie podpisał. Jedynie sucha informacja. A więc taki jest David. Chodząca bryła lodu, samotny pan bezdusznych wnętrz. Spędziła z nim cudowną noc, kompletnie straciła głowę, a on jej zostawia karteczkę na kuchennym stole.

Zdumiewało ją, jak rygorystycznie poszufladkował swoje życie. Wszystkie uczucia i emocje zepchnął w jeden kąt, od którego odgrodził się grubym murem. Tak jak odgrodził się drzwiami od pokoju syna. Ona tak nie potrafiła. Tęskniła za nim, może nawet go kochała, mimo że było to szalone i pozbawione sensu.

Zła na siebie, poderwała się z krzesła. Nie pojmowała, jak może tracić czas na analizowanie jego zawilej psychiki, mając na głowie mnóstwo własnych problemów. Przecież już po południu ma stanąć przed sądem koleżeńskim. Jej kariera wisi na włosku. A ona się zamartwia, że kochanek okazał się nieczuły!

Na jednej z szafek leżała karta szpitalna Jennifer Brook. Sięgnęła po nią i zaczęła ją przeglądać. Nadal nie pojmowała, jaką tajemnicę kryją standardowe medyczne notatki. Coś straszego musiało się wydarzyć tamtej nocy, gdy nieszczęsna Jenny rodziła swą córeczkę. Jakaś potężna niszczycielska siła dosięgła osoby wymienione w raporcie. Jedną po drugiej, wszystkie zabrała śmierć. Matka i dziecko. Lekarze i pielęgniarki. Jedynie Charlie Decker mógł wytłumaczyć, co

oznacza ta czarna loteria. Charlie, sam w sobie stanowiący rozsypankę, której elementy nijak do siebie nie pasują.

Psychopata, jak mówili o nim prowadzący śledztwo. Potwór, który podrzyna ludziom gardła.

Zupełnie niegroźny, jak twierdził Kahanu. Zagubiona dusza, przegrany człowiek, który stracił wszystko, co kochał. Człowiek o dwóch obliczach.

Zamknęła kartę szpitalną i długo wpatrywała się w jej tylną okładkę. Awers i rewers.

Człowiek o dwóch obliczach.

Wyprostowała się. Przecież to oczywiste!

Doktor Jekyll i mister Hyde.

- Rozszczepienie osobowości to rzadkie zjawisko, ale jest dobrze opisane w literaturze psychiatrycznej.

Susan Santini obróciła się w fotelu i sięgnęła po książkę. Zdjęła ją z półki wiszącej w sąsiedztwie okazałej kolekcji dyplomów dokumentujących gruntowne wykształcenie medyczne oraz będących namacalnym dowodem na to, że Susan odnosi sukcesy nie tylko jako matka i żona, lecz także jako lekarka.

- Proszę, tu masz wszystko - powiedziała, otwierając odpowiedni rozdział. - Od Ewy po Sybillę, wszystkie znane i opisane przypadki.

- A ty spotkałaś się z czymś takim?

- Niestety nie. A bardzo bym chciała.

- Jednym słowem człowiek może mieć dwie osobowości?

- Może. Nasza psychika składa się z elementów pozostających ze sobą w ostrym konflikcie. Powiedzmy: ego kontra id, albo z jednej strony impuls, a z drugiej kontrola. Spójrz choćby na zjawisko przemocy. Większość z nas potrafi zapanować nad brutalną stroną swej natury. Ale nie wszyscy. A dlaczego? Któż to wie. Może ktoś się nad nimi znęcał w

dzieciństwie? Może wystąpiły problemy z chemią mózgu? Bez względu na przyczynę, tacy ludzie to chodzące bomby z opóźnionym zapłonem. Nie wiadomo, kiedy i dlaczego przestają nad sobą panować. Najgorsze, że żyją między nami, a my nie jesteśmy w stanie ich rozpoznać.

- Myślisz, że Charlie Decker jest taką bombą?

- Naprawdę trudno powiedzieć. - Susan odchyliła się w fotelu. - Szczerze mówiąc, wątpię. O ile wiem, użył broni tylko raz, przeciwko sobie. Z drugiej strony, gdyby przeżył jakiś silny stres...

- Przeżył.

- Masz na myśli to? - Susan wskazała kartę Jenny.

- Tak. Policja uważa, że Decker mści się za śmierć narzeczonej i dziecka.

- Cóż, nie można wykluczyć tej hipotezy. Zwłaszcza że, jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie, do popełnienia zbrodni najczęściej pcha ludzi ślepa miłość. Pomysł o wszystkich zazdrosnych małżonkach czy porzuconych kochankach, którzy w akcie desperacji sięgają po broń.

- Miłość i przemoc - szepnęła Kate w zamyśleniu. - Dwie strony tej samej monety.

- Właśnie. - Susan oddała jej kartę. - Pamiętaj, że to co powiedziałam, nie jest wiążące. Żeby postawić jednoznaczną diagnozę, musiałabym porozmawiać z Deckerem. Czy policji udało się go namierzyć?

- Nie mam pojęcia. Nie chcą ze mną rozmawiać, więc muszę prowadzić prywatne śledztwo.

- Żartujesz? Można wiedzieć, za co im płacą?

- Cały problem w tym, że oni podchodzą do tego właśnie jak do pracy. Czyli rutynowo. Ot, jeszcze jedna sprawa, którą trzeba jak najszybciej zamknąć.

- Zerknęła na zegarek. - Ojej, już trzecia. Ja cię tu zatrzymuję, a twoi pacjenci czekają - zreflektowała się.

- Przecież wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę.
- Susan wstała zza biurka i podeszła z nią do drzwi.
- Czy tam, gdzie teraz przebywasz, na pewno jesteś bezpieczna? - zapytała, kładąc rękę na jej ramieniu.
- Myślę, że tak. Dlaczego pytasz? - Kate dostrzegła w jej oczach niepokój.

Susan zawahała się.

- Nie chcę cię straszyć, ale jeśli Decker rzeczywiście ma rozszczepienie osobowości, jest wyjątkowo niestabilny emocjonalnie. I kompletnie nieprzewidywalny. W ułamku sekundy z normalnego człowieka może zmienić się w potwora. Dlatego proszę cię, bądź bardzo, bardzo ostrożna.

Kate poczuła, że zasycha jej w gardle.

- Uważasz, że jest aż tak groźny?
- Śmiertelnie! - odparła Susan z powagą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wyglądali jak pluton egzekucyjny, a jej przypadła niewdzięczna rola skazańca z zawiązanymi oczami.

Siedziała przy wielkim stole konferencyjnym naprzeciw sześciu mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy byli lekarzami. Doktor Clarence Avery wbrew obietnicy nie stawił się na posiedzenie. Jediną przyjazną duszą w tym ponurym gronie był Guy Santini, ale on występował w charakterze świadka. Siedział daleko, na szarym końcu stołu, i sprawiał wrażenie zestresowanego.

Pytania członków komisji były bardzo wnikliwe. Chyba dlatego mimo klimatyzacji piekły ją policzki.

- Osobiście sprawdziła pani wyniki EKG?

- Tak, doktorze Newhouse.

- A potem dołączyła je pani do karty pacjentki?

- Zgadza się.

- Czy konsultowała pani te wyniki z innym lekarzem?

- Nie.

- Nawet z doktorem Santinim?

- Interpretacja wyników EKG należy do moich obowiązków. Poza tym doktor ufał mojej opinii.

Ile razy będę musiała opowiadać tę historię? Ile razy mam odpowiadać na te same idiotyczne pytania?

- Doktorze Santini? Jakież uwagi?

- Potwierdzam słowa pani doktor. Ufałem jej.

- Guy zrobił pauzę. - I nadal ufam.

Dzięki, pomyślała z ulgą, a gdy na siebie spojrzeli, lekko się do niego uśmiechnęła.

- Spróbujmy szczegółowo odtworzyć kolejne etapy operacji - ciągnął Newhouse. - Twierdzi pani, że zaczęła od rutynowego podania pentothalu, dożylnie...

Koszmar powrócił. Ellen O'Brien umarła raz jeszcze, a wszystkie detale jej zgonu zostały poddane autopsji jak zwłoki

w prosektorium. Gdy przesłuchanie dobiegło końca, udzielono jej głosu.

- Szanowni koledzy - zaczęła cicho i spokojnie.

- Zdaję sobie sprawę, że moja wersja zdarzeń wydaje się nieprawdopodobna. Ponadto nie mam żadnych dowodów na jej poparcie. Wiem jedno: podczas operacji zajmowałam się Ellen O'Brien według swojej najlepszej wiedzy. Niczego nie zaniedbałam. Z dokumentacji wynika, że popełniłam tragiczny w skutkach błąd. Pacjentka zmarła. Pozostaje pytanie, czy to ja ją zabiłam. Nie sądzę. Naprawdę nie sądzę. - Nie pozostało nic więcej do dodania. - Dziękuję.

Dwadzieścia minut później wezwano ją na ogłoszenie decyzji. Do szacownego grona sędziów dołączyły dwie osoby: George Bettencourt i zatrudniony przez szpital prawnik. Dyrektor sprawiał wrażenie zadowolonego. Może dlatego od razu wiedziała, co za chwilę usłyszy.

Decyzję odczytał doktor Newhouse.

- Przedstawiona przez panią wersja zdarzeń diametralnie różni się do tego, co pokazują wyniki badań. Ponieważ jednak właśnie one są dla nas miarodajnym źródłem wiedzy o stanie zdrowia pacjenta, z przykrością musimy stwierdzić, że pani opieka nad Ellen O'Brien była niewłaściwa, by nie powiedzieć, całkowicie nieprofesjonalna. - Skrzywiła się lekko, gdyż ostatnie słowa zabrzmiały w jej uszach jak obelga. Tymczasem doktor Newhouse zdjął okulary znużonym gestem człowieka, który dźwiga na barkach ciężar całego świata, i oznajmił sucho: - Pracuje pani z nami krótko, tym bardziej więc martwi nas, że z pani winy doszło do nieszczęśliwego wypadku. Po naradzie postanowiliśmy skierować pani sprawę do komisji dyscyplinarnej, która ostatecznie zadecyduje, jakie konsekwencje powinny zostać wobec pani wyciągnięte. - Tu spojrzął znacząco na Bettencourta. - Zgadza się z decyzją

dyrekcji, że do tego czasu powinna pani zostać odsunięta od wykonywania obowiązków zawodowych.

Już po wszystkim, pomyślała z goryczą. Głupia byłam, licząc na inny werdykt.

Przewodniczący ponownie udzielił jej głosu, ale mu podziękowała. Całą energię skupiła na tym, by nie rozplakać się przy ludziach, którzy właśnie zrujnowali jej życie. Po ich wyjściu nadal siedziała jak zaklęta.

- Przykro mi, Kate! - Guy ze współczuciem dotknął jej ramienia. Chwilę zwlekał z odejściem, jakby chciał coś dodać, ale rozmyślił się i również wyszedł.

Została sam na sam z Bettencourtem i prawnikiem. Zwróciła na nich uwagę dopiero wtedy, gdy dyrektor po raz drugi wymówił jej nazwisko.

- Czas porozmawiać poważnie - oznajmił prawnik.

Popatrzyła na nich zdumiona.

- Porozmawiać? O czym?

- O ugodzie.

- Nie uważają panowie, że na to za wcześnie?

- Jeśli już, to za późno - skrzywił się Bettencourt. - Kilka godzin temu przyszedł do mnie dziennikarz. Okazało się, że O'Brienowie poszli ze swoją historią do mediów. Obawiam się, że zostanie pani poddana publicznemu osądowi w prasie.

- Przecież pozew został złożony w ubiegłym tygodniu!

- Widocznie tyle czasu wystarczyło, żeby sprawa zaczęła żyć własnym życiem. W naszym interesie jest doprowadzenie do jak najszybszej ugody ze stroną przeciwną. Zaproponuję im pół miliona dolarów, ale liczę się z tym, że zażądamy więcej.

Oburzyła ją łatwość i niefrasobliwość, z jaką prawnik przelicza na pieniądze wartość ludzkiego życia.

- Nie! - powiedziała twardo.

- Słucham? - Prawnik wytrzeszczył na nią oczy.

- Każdego dnia pojawiają się nowe fakty. Jestem pewna, że zanim dojdzie do procesu, udowodnię, że...

- Żadnego procesu nie będzie! Zawrzemy ugode, pani doktor. Z pani zgodą lub bez.

- Wobec tego wynajmę adwokata, który będzie reprezentował wyłącznie moje interesy - uprzedziła.

- Proszę wybaczyć, ale pani chyba nie rozumie, czym jest proces. - Prawnik postanowił przemówić jej do rozsądku. - Uprzedzam, że będzie pani poddana wyjątkowo ciężkiej próbie. Zwłaszcza że stronę przeciwną będzie reprezentował David Ransom, który jest znany z tego, że nie przebiera w środkach.

- Pan Ransom wycofał się z prowadzenia tej sprawy - oznajmiła z satysfakcją.

- Od kogo usłyszała pani tę wyssaną z palca bzdurę?

- Od samego pana Ransoma.

- Chce pani powiedzieć, że z panią rozmawiał? Mało że rozmawiał, to jeszcze ze mną spał, odpowiedziała w myślach, głośno zaś odparła;

- Owszem, w zeszłym tygodniu poszłam do jego kancelarii. Opowiedziałam mu o EKG.

- Chryste! - Prawnik zbladł jak ściana. - No to koniec! - orzekł. - Teraz to dopiero mamy kłopoty...

- Dlaczego?

- Po tym, co od pani usłyszał, będzie chciał wyciągnąć od nas jeszcze więcej pieniędzy.

- Ale on mi uwierzył. Właśnie dlatego zrezygnował z prowadzenia sprawy.

- Nie uwierzył pani. Wiem, co mówię, bo go znam. Ponieważ zdawała sobie sprawę, że i tak ich nie przekona, pokręciła głową i spokojnie powtórzyła:

- Nie pójdę na żadną ugode. Sfrustrowany prawnik zatrzaskał aktówkę.

- George? - zwrócił się do Bettencourta. Ten zaś przyglądał się jej z miną pokerzysty.

- Niepokoję się o pani przyszłość - oznajmił. - Chyba zdaje sobie pani sprawę, że komisja dyscyplinarna każe nam zwolnić panią w trybie natychmiastowym. Zapewne nie muszę dodawać, że mając coś takiego w aktach, nie będzie pani łatwo znaleźć zatrudnienie. - Zawiesił głos, tak by sens jego słów dotarł do niej w pełni. - Dlatego daję pani alternatywę. Myślę, że ugoda jest lepszym rozwiązaniem niż karne usunięcie z pracy.

Spojrzała na dokument, który jej podawał. Było to gotowe podanie o zwolnienie za porozumieniem stron.

- Niech pani to podpisze. Dla własnego dobra. To dla pani jedyna szansa, żeby pozostać w zawodzie. Proszę.

Długo przyglądała się kartce, myśląc o tym, jak sprawnie zostało to przeprowadzone. Wystarczy jeden dokument i jej podpis. Znak kapitulacji.

- Pani doktor, czekamy - naciskał Bettencourt. Wstała i wzięła od niego kartkę, po czym, patrząc mu w oczy, przedarła ją na pół.

- Oto moja prośba o zwolnienie - oznajmiła i spokojnie wyszła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że właśnie spaliła za sobą wszystkie mosty. Powrotu nie ma, więc nie pozostało jej nic innego jak brnąć dalej i na własną rękę szukać rozwiązania tej zagadki.

Szła coraz wolniej, aż w końcu stanęła. Miała ochotę się rozplakać, lecz łzy nie chciały płynąć. Patrzyła niewidzącymi oczami na pielęgniarki biegnące do windy. Było już po piątej, wszyscy szli do domu. Tylko w sekretariacie Avery'ego paliło się światło. Nie było w tym nic dziwnego, szef często zostawał po godzinach. Postanowiła skorzystać z okazji i zapytać go, dlaczego nie przyszedł na posiedzenie, mimo iż zdawał sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje jego wsparcia.

Okazało się, że w gabinecie jest tylko sekretarka.

- Doktor Avery już wyszedł?

- A, pani doktor! Nic pani jeszcze nie wie?

- O czym?

Sekretarka ze smutkiem spojrzała na stojącą na biurku fotografię.

- Dziś w nocy zmarła żona pana doktora. Dlatego nie było go w szpitalu.

Kate bezwładnie oparła się o framugę.

- Jego... żona?

- Tak. Nagle, na atak serca. Pani doktor, dobrze się pani czuje?

- Tak, tak! Nic mi nie jest! - Czym prędzej wycofała się na korytarz i chwiejnym krokiem ruszyła do windy. Jadąc w dół, przypomniała sobie stłuczoną fiolkę leżącą u stóp Avery'ego.

„Trzeba ją uśpić... Będzie lepiej, jeśli zrobię to sam. Chcę się z nią spokojnie pożegnać”.

Drzwi rozsunęły się. Wyszła do jasno oświetlonego holu i nagle poczuła przemożną chęć ucieczki. Musi natychmiast znaleźć schronienie. I Davida! Jeśli się pospieszy, może jeszcze go zastanie w kancelarii. Wiedziona gwałtowną tęsknotą, pobiegła do samochodu.

Kancelaria mieściła się w śródmieściu zabudowanym wysokimi biurowcami, w których odbijało się popołudniowe słońce. Szerokimi ulicami wolno sunął sznur samochodów. Uwięziona między nimi, czuła się jak ryba płynąca pod prąd. Z każdą mijającą minutą rosło w niej pragnienie, by go zobaczyć. I lęk, że dotrze na miejsce za późno. Że już go tam nie będzie i zastanie drzwi zamknięte na głucho. Nic nie było ważniejsze niż to, by znaleźć schronienie w jego ramionach.

Bądź tam! - błagała go w myślach. Proszę...

- Słowo wyjaśnienia, panie Ransom. Tydzień temu mówił pan, że zwycięstwo mamy w kieszeni. A teraz rezygnuje pan z prowadzenia naszej sprawy. Chcę wiedzieć dlaczego.

David spojrział niepewnie na panią O'Brien. Nie miał zamiaru zwierzać się jej, że ma romans z podsądną, ale chwilowo żadne sensowne tłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. Tymczasem stalowoszare oczy starszej kobiety mówiły mu, że powinien jej podać poważny powód. Starał się skupić, lecz rozpraszało go charakterystyczne skrzywienie drewna i skóry: to zdenerwowany Glickman wiercił się w fotelu. Rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale i tak cały czas się bał, że młodszy kolega go wsypie.

- Zrezygnowałem z powodu konfliktu interesów - odparł ogólnikowo, lecz zgodnie z prawdą.

- Ja nie wiem, co to znaczy, proszę pana - zniecierpliwiła się. - Mam rozumieć, że podjął pan współpracę ze szpitalem?

- Niezupełnie.

- Więc o co chodzi?

- Pani wybaczy, ale to są informacje... poufne. Zapewniam, że przekazuję sprawę renomowanej kancelarii. Oczywiście, o ile państwo wyrażą zgodę.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie! - Pochyliła się w jego stronę. Szpony zemsty, pomyślał, patrząc na jej kościste palce zaciśnięte na krawędzi biurka.

- Bardzo mi przykro, pani O'Brien. Niestety, w świetle zaistniałych okoliczności nie jestem w stanie zachować obiektywizmu. Dlatego muszę zrezygnować.

Tym razem pożegnanie przebiegło w zupełnie innej atmosferze. Po wymianie oficjalnych uścisków dłoni obaj z Glickmanem odprowadzili swą niedoszłą klientkę do wyjścia.

- Mam nadzieję, że zmiana kancelarii nie spowoduje żadnych opóźnień? - Spojrzała na niego wyczekująco.

- Nie sędzę. Wszystko jest gotowe, więc sprawa może natychmiast trafić na wokandę. - Zmarszczył brwi, bo wydało mu się, że sekretarka jest czymś zaniepokojona.

- Myśli pan, że szpital pójdzie na ugodę?

- Właściwie nie ma się tu nad czym zastanawiać. - Urwał, gdyż sekretarka wyglądała na spanikowaną.

- Ale przecież pan zapewniał, że dojdzie do ugody!

- Słucham? - Poczul, że ma dość, więc aby pozbyć się jej jak najszybciej, gestem wskazał wyjście. - Proszę się o nic nie martwić. - Z trudem skrywał zniecierpliwienie. - Jestem pewny, że negocjacje ze szpitalem są w toku i...

Stanął jak wryty. Poczul się jak figura odlana z betonu, niezdolny do najmniejszego ruchu.

Naprzeciw niego stała Kate. Jej zdumiony wzrok wolno przeniósł się na Mary O'Brien.

- Jezu! - jęknął Glickman.

Scena żywcem wyjęta z opery mydlanej, przebiegło mu przez myśl. Zwaśnione strony niespodziewanie się spotykają i mierzą się niechętnym wzrokiem.

- Wszystko pani wyjaśnię - zaczął, próbując ratować sytuację.

- Wątpię - odparła pani O'Brien.

Kate odwróciła się i wyszła. Huk zatrzaśniętych drzwi wyrwał go z odrętwienia. Zanim wybiegł na korytarz, usłyszał jadowite słowa byłej klientki:

- Konflikt interesów, tak? Teraz już rozumiem, co to za interesy!

Nie zdążył złapać Kate, zanim wsiadła do windy. Na następną czekał całą wieczność. A potem krążył po kabinie jak dzikie zwierzę po klatce, wyrzucając z siebie przekleństwa, jakich nie używał od lat. Pędem wypadł z budynku i stanąwszy na chodniku, zaczął gorączkowo się

rozglądać. Za skrzyżowaniem był przystanek, do którego właśnie podjeżdżał autobus.

Zaczął biec, odpychając przechodniów. Złapał Kate w ostatniej chwili i siłą ściągnął ją ze schodków.

- Puszczaj!

- A ty gdzie, do jasnej cholery?!

- O, przepraszam! Zapomniałam. - Wyciągnęła z kieszeni kluczyki i niemal rzuciła mu je w twarz. - Nie chcę zostać oskarżona o kradzież twojego cennego bmw.

Autobus odjechał, więc uwolniwszy się, ruszyła przed siebie pieszo. Poszedł za nią.

- Pozwól sobie wszystko wytłumaczyć!

- Co powiedziałaś swojej klientce? Że przyniesiesz jej w zębach ugode, bo durna lekarka je ci z ręki?

- To, co się między nami wydarzyło, nie ma żadnego związku z tą sprawą!

- Właśnie że ma! Od początku liczyłeś na to, że namówisz mnie do podpisania ugody!

- Ja cię tylko prosiłem, żebyś się nad tym zastanowiła.

- Aha! Tego was uczą na studiach? Jak wszystko inne zawiedzie, zaciągnij stronę przeciwną do łóżka?

To była kropla, która przepełniła czarę. Niewiele myśląc, chwycił ją za rękaw i wciągnął do pobliskiego pubu. W środku, nie bacząc na spory tłum klientów, zawlókł ją do wolnego stolika i bezceremonialnie pchnął na drewnianą ławę. Sam zajął miejsce naprzeciw i spojrzał na nią w taki sposób, iż w lot pojęła, że dla własnego dobra powinna go wysłuchać.

- Po pierwsze... - zaczął.

- Dobry wieczór! - powitał ich szczebiotliwy głos.

- Co znowu? - warknął na kelnerkę, który chciała przyjąć zamówienie.

- Czy życzą sobie państwo... czegoś? - zapytała niepewnie, kuląc się w swym zielonym stroju.

- Dwa piwa!

- Dobrze, proszę pana! - Spojrzała na Kate ze współczuciem i uciekła, szeleszcząc spódnicą.

Przez pełną napięcia minutę mierzyli się wrogimi spojrzeniami. David ochłonął pierwszy. Ze świstem wypuścił powietrze i powiedział:

- Okej, spróbujmy jeszcze raz.

- Od czego zaczniemy? Od tego, co się działo, zanim odprowadziłeś swoją klientkę do wyjścia?

- Czy ktoś ci już mówił, że masz kiepskie wyczucie czasu?

- I tu się pan myli, mecenasie. Akurat wyczucie czasu mam pierwszorzędne. Czy mi się zdaje, czy naprawdę słyszałam, jak mówisz, że negocjacje ze szpitalem są w toku?

- Próbowałem się jej pozbyć!

- Jak zareagowała na wieść, że starasz się dogodzić obu stronom sporu?

- Nikomu nie staram się... dogadzać.

- Tak? To dlaczego, pracując dla niej, poszedłeś ze mną do łóżka?

- Jak na wyjątkowo inteligentną kobietę, masz zdumiewający problem ze zrozumieniem prostej informacji: wycofałem się z prowadzenia tej sprawy. Ostatecznie i dobrowolnie. O'Brien przyszła dowiedzieć się, dlaczego tak postąpiłem.

- Powiedziałeś jej... o nas?

- Masz mnie za idiotę? Naprawdę myślisz, że będę gadał na prawo i lewo, że przeleciałem oskarżoną?

Poczuła się, jakby ją spoliczkował. Więc tak to odebrał? Do tej pory uważała, że nie był to tak zwany seks dla higieny. Dla niej było to spotkanie dusz. Dla niego romans z nią oznacza same problemy. Wściekła klientka, przymusowa rezygnacja z prowadzenia sprawy. A na koniec upokarzająca

konieczność przyznania się do zakazanego związku. Nic dziwnego, że za wszelką cenę starał się ukryć, co ich naprawdę łączy. Ludzie zwykle ukrywają fakty, których się wstydzą.

- Weekendowy zawrót głowy, tak? - rzuciła drwiąco. - Tak do tego podchodzisz?

- Nie powiedziałem tego.

- Niech pan się nie martwi, mecenasie! - rzekła, wstając. - Obiecuję, że nie będę pana więcej kompromitowała. Będę kulturalna i zniknę z pana życia, zabierając ze sobą wstydliwą prawdę o naszym przelotnym związku.

- Siadaj! Ale to już! - wycedził przez zęby. - Proszę - dodał nieco łagodniej. - Proszę cię - wyszeptał.

Wolno wróciła na swoje miejsce. Kelnerka postawiła przed nimi piwa, a gdy odeszła, David wyznał cicho:

- Nie jesteś dla mnie przygodą na jedną noc. A O'Brienom nic do tego, jak spędzamy weekendy. Już wcześniej zdarzało mi się rezygnować z prowadzenia spraw, ale zawsze mogłem podać powód rezygnacji, nie czerwieniąc się jak burak. Niestety, tym razem... - Roześmiał się z przymusem. - Po prostu za stary jestem, żeby się czerwienić.

Opuściła wzrok. Nienawidziła piwa. A jeszcze bardziej tego, że się pokłócili.

- Jeśli wyciągnęłam pochopne wnioski, przepraszam. Wszystko przez to, że nie ufam prawnikom.

- A ja lekarzom - zrewanżował się.

- Wobec tego nietypowa z nas para. Co jeszcze z tego wynika?

Mężnie przetrwali kolejną chwilę nieprzyjemnej ciszy.

- Trudno nam się dogadać, bo prawie się nie znamy - stwierdziła Kate.

- Chyba że pójdziemy do łóżka, no ale tam raczej nie ma czasu na prezentację swojego punktu widzenia.

Uniosła głowę i spostrzegła, że David uśmiecha się kącikiem ust. Włosy miał w nieładzie, przekrzywiony krawat. Dla niej był przystojny jak nigdy.

- Będziesz miał przeze mnie kłopoty? - zapytała.

- Co będzie, jeśli O'Brienowie złożą skargę w korporacji? Nonszalancko wzruszył ramionami.

- Nie obchodzi mnie to - stwierdził. - Najwyżej wykreślą mnie z rejestru adwokatów. Albo wsadzą do więzienia. Albo posadzą na krześle elektrycznym.

- David!

- Masz rację, zapomniałem, że na Hawajach nie stosuje się krzesła. - Zauważył, że Kate się nie śmieje.

- Dobrze, to był beznadziejny żart. - Sięgnął po szklanekę i już miał się napić, gdy wreszcie zauważył jej smętną minę. - Zapomniałem o sędzie koleżeńskim. I co?

- Bez niespodzianek.

- Wydali niekorzystny dla ciebie wyrok?

- Delikatnie mówiąc. Stwierdzili, że postąpiłam nieprofesjonalnie i uznali moją pracę za niespełniającą oczekiwań. Czyli w uprzejmy sposób powiedzieli mi, że jako lekarka jestem do niczego.

Delikatnie uścisnął jej dłoń.

- Zabawne, ale nigdy nie nawet pomyślałam o innym zawodzie niż lekarz. I dopiero teraz, kiedy mnie wylali, dotarło do mnie, że do niczego innego się nie nadaję. Nie umiem szybko pisać na komputerze. Nie mam pojęcia o stenografii. Chryste, nawet nie umiem gotować.

- Uuu, to poważna wada. Obawiam się, że będziesz musiała zacząć żebrać.

Żart znów był kiepski, ale przynajmniej się uśmiechnęła.

- Obiecujesz, że wrzucisz mi parę centów do kapelusza?

- Jako człowiek z natury hojny zaproszę cię na kolację.

- Dzięki. Jakoś straciłam apetyt.

- Lepiej nie wybrzydzać. Nie wiadomo, kiedy się trafi następna okazja, a jeść przecież trzeba.

- Wiesz, czego tak naprawdę chcę? - zapytała, patrząc mu w oczy. - Chcę wrócić z tobą do domu.

Przysiadł się do niej i otoczył ją ramieniem. Właśnie tego potrzebowała. Ciepła i bliskości, przyjaciela.

W końcu dała się namówić na kolację. Smaczny posiłek i kilka kieliszków wina zdecydowanie poprawiły jej humor. Kiedy wracali do biurowca po samochód, Kate tuliła się do ramienia Davida. Miała ochotę śpiewać i skakać z radości, że wracają razem do domu.

W samochodzie zupełnie się odprężyła. Po długim i ciężkim dniu wreszcie poczuła się bezpieczna. To przyjemne uczucie towarzyszyło jej niemal przez całą drogę. Rozwiało się, gdy w pewnej chwili David zerknął w lusterko i cicho zaklął. Zdezorientowana rozejrzała się na boki. Nie dostrzegła nic prócz świateł następnego samochodu, które, odbite we wstecznym lusterku, rozjaśniały jego twarz.

- Co się dzieje? Mocniej wcisnął gaz.

- Powiedz, co się dzieje! - powtórzyła niespokojnie.

- Widzisz ten samochód? Myślę, że nas śledzi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jesteś pewny? - Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na widoczne w oddali dwa jasne punkty.

- Zwróciłem na niego uwagę, bo ma przepalone lewe światło postojowe. Na pewno wyjechał za nami z garażu. I cały czas siedzi nam na ogonie.

- Ale to przecież nie znaczy, że nas śledzi!

- Zróbmy małe doświadczenie.

- Dlaczego zwalniasz?

- Chcę zobaczyć, co on robi. - Zdjął nogę z gazu. Po chwili jechali sześćdziesiąt mil na godzinę, czyli poniżej minimalnej prędkości na autostradzie. Mimo to jadący za nimi samochód nie zamierzał ich wyprzedzić.

- Mądrała! - mruknął David. - Nie podjeżdża, żebyśmy nie mógł odczytać tablic.

- Za chwilę będzie zjazd. Błagam cię, skręcaj!

Bez kierunkowskazu zjechali gwałtownie na dwupasmową drogę biegnącą przez gęsty tropikalny las. Po kilkunastu metrach Kate odwróciła się. W oddali majaczyły światła reflektorów.

- To on! - szepnęła ze zgrozą.

- Co za kretyn ze mnie! - syknął David. - Powinienem był przewidzieć, że zaczai się pod szpitalem! Trzymaj się! Spróbuję go zgubić!

Zdażyła chwycić się mocno siedzenia, gdy samochód wykonał gwałtowny zwrot. Siła odśrodkowa rzuciła ją najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o najgorszym. Wszystko w rękach Davida. To on jest gwiazdą tego show.

Jasne okna domów migały za szybami, gdy bmw gnało w mroku, ścinając zakręty niczym narciarz w slalomie. Pas boleśnie wbił się w jej ciało, kiedy David z piskiem opon zjechał z ulicy na czyjś podjazd, a potem gwałtownie

zahamował w ciemnym garażu. W ułamku sekundy zgasił silnik, a potem kłapał ją za kark i pociągnął w dół. Schyliła się najniżej jak mogła i zastygła przyciśnięta do dźwigni zmiany biegów. Czuła oszalałe bicie jego serca, słyszała urywany oddech.

W lusterku wstecznym pokazała się delikatna luna, która z każdą chwilą stawała się jaśniejsza. Z ulicy dobiegł warkot silnika. David przywarł do niej mocniej. Wstrzymała oddech. Nasłuchiwała. Drgnęła dopiero, gdy warkot zaczął się oddalać. Gdy zupełnie ucichł, ostrożnie się podnieśli i obejrzel.

- Co teraz? - zapytała drżącym szeptem.

- Spadamy, póki można. - Uruchomił silnik i nie włączając świateł, wolno wytoczył się z garażu. Jakiś czas kluczyli między domami, by w końcu wrócić na autostradę. Dopiero wtedy odetchnęła.

- Co ty robisz? - zaniepokoiła się, widząc, że David zawraca do Honolulu.

- Nie możemy jechać do domu.

- Przecież go zgubiliśmy!

- Skoro cię śledził, wie, że pojechałaś do kancelarii. Pewnie widział nas razem, zna moje nazwisko. Nie mam zastrzeżonego numeru, więc w książce telefonicznej mógł znaleźć mój adres.

Zdruzgotana osunęła się w fotelu. Zmrużyła oczy, gdyż raziły ją światła jadących z naprzeciwka samochodów.

Co ja mam teraz zrobić? - zastanawiała się bezradnie. Ile czasu zostało, zanim mnie dopadnie? Czy będę miała czas, żeby uciec? Albo chociaż krzyknąć?

- To moja ostatnia deska ratunku - przyznał po namyśle. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Najważniejsze, że ani na moment nie zostaniesz sama. - Umilkł i w skupieniu patrzył

na drogę. - Tylko o jedno cię proszę. Nie pij tam kawy - dodał w przychylnym czarnym humoru.

- Co? - spytała zaskoczona. - Słuchaj, a dokąd my właściwie jedziemy?

- Do mojej matki - odparł takim tonem, jakby ją przeproszał.

Otworzyła im drobna siwowłosa kobieta w rozchełstany szlafroku i różowych futrzanych kapciach.

Najpierw długo im się przyglądała, mrużąc oczy jak zaskoczona mysz.

- Patrzcie państwo! David! - zawołała wreszcie, radośnie klaszcząc w dłonie. - Jak miło, że wpadłeś! Tylko szkoda, że przedtem nie zadzwoniłeś. A tak to sam widzisz, złapałeś nas w piżamach, jak dwie stare...

- Nie przejmuj się, Gracie. Wyglądasz super - przerwał jej i wciągnął Kate do środka, po czym zamknął drzwi na klucz. - Mama jeszcze nie śpi? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Gracie zerknęła w stronę salonu.

- Na miłość boską, kobieto, nie wiem, kto przyszedł, ale weź go przepędź i natychmiast wracaj! - zawołał gniewny głos. - Teraz twoja kolej! I wymyśl coś inteligentnego, bo mam słowo z potrójną premią.

- Znowu wygrywa - westchnęła Gracie z goryczą.

- To znaczy, że ma dobry humor?

- A skąd ja mam wiedzieć? Odkąd pamiętam, zawsze ma zły.

- Przygotuj się - mruknął do Kate. - Mamo!

- zawołał radośnie. Zbyt radośnie.

W salonie urządzonego w mahoniu i kolorze lilaróż tyłem do wejścia siedziała dystygowana dama, wspierając stopy o puf obity gniecionym aksamitem. Na stoliku przed nią leżała plansza do scrabble'a.

- Nie wierzę! - powiedziała. - Chyba ze starości mam już omamy słuchowe. - Obejrzała się. - Syn przyszedł mnie odwiedzić! Czyżby zbliżał się koniec świata?

- Miło cię widzieć, mamó. - Przywitał się z nią niezbyt wylewnie, a potem nabrał powietrza, niczym człowiek, który zamierza sam sobie wyrwać bolący ząb. - Musisz nam pomóc.

Jinx spojrzała ciekawie na Kate. Jej oczy, niezwykle czujne i bystre, lśniły jak kryształy. Nagle spostrzegła, że jej syn opiekuńczo obejmuje swą towarzyszkę, i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wolno wzniosła oczy ku niebu i mruknęła:

- Alleluja!

- Ty mi nigdy nic nie mówisz! - poskarżyła się, gdy godzinę później usiedli w kuchni, by wypić kakao. Niegdyś był to ich wspólny rytuał, lecz zarzucili go, gdy David przestał być dzieckiem. Jak mało trzeba, by znów poczuć smak dzieciństwa, pomyślał. Wystarczył łyk kakao i karcące spojrzenie matki, by dopadło go dobrze znane poczucie winy. Kochana kobieta. Jak nikt umiała sprawić, że człowiek w sekundę młodniał. On w każdym razie czuł się przy niej jak sześciolatek.

- Wreszcie znalazłeś sobie kobietę i ją przede mną ukrywasz - gderała. - Wstydzisz się jej czy co? A może to mnie się wstydzisz? Albo nas obu?

- Naprawdę nie ma o czym opowiadać, mamó. Ja i Kate znamy się bardzo krótko.

- Wstydzisz się przyznać, że jednak masz w sobie ludzkie odruchy?

- Mamó, oszczędź mi tej psychoanalizy!

- Nie zapominaj, że to ja zmieniałam ci pieluchy i opatrywałam rozbite kolana. Na moich oczach omal nie złamałeś ręki przez ten cholerny skateboard. Bardzo rzadko płakałeś. I nadal nie płaczesz. Obawiam się, że nawet nie

potrafisz. To taki feler, który odziedziczyłeś po ojcu. Ja to nazywam klątwą Plymouth Rock. Nie jesteś zupełnie pobawiony uczuć, ale za żadne skarby nie chcesz ich okazać. Nawet kiedy umarł Noah...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Widzisz? To już osiem lat, jak odszedł, a ty wciąż się spinasz, gdy ktoś wypowie przy tobie jego imię.

- Mamo, przejdź do rzeczy.

- Kate.

- Co z nią?

- Trzymałeś ją za rękę.

- Ma bardzo ładne, delikatne dłonie.

- Spałeś już z nią?

Zszokowany zakrztusił się i wypluł kakao na stół.

- Mamo!

- No co? Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy dorośli ludzie to robią, więc nie mów mi, że jesteś wyjątkiem. I przestań mi tu kręcić. Widziałam, jak na nią patrzysz.

Bez słowa wstał i zaczął czyścić koszulę.

- Mam rację? - nie dawała za wygraną.

- I skąd ja teraz wezmę czystą koszulę? - zapytał poirytowany.

- Weźmiesz jedną z tych, które zostały po ojcu. Dowiem się wreszcie, czy mam rację?

- Z czym, mamo?

Wykonała gest, jakby chciała go udusić.

- Zawsze wiedziałam, że posiadanie jednego dziecka jest błędem.

Na górze rozległ się głuchy łomot.

- Co ta Gracie tam wyprawia? - zapytał.

- Szuka ubrań dla Kate.

Wzdrygnął się. Znając fatalny gust Gracie, miał prawo przypuszczać, że za chwilę zobaczy Kate w jakiejś młdąco

różowej kreacji. W sumie było mu wszystko jedno, co na siebie włoży, byleby wreszcie zesza. Nie było jej raptem kwadrans, a już zaczął za nią tęsknić. Bardzo go to denerwowało, bo uczucia, których ostatnio doświadczał, sprawiały, że czuł się po ludzku słaby...

Skrzypnęły schody, więc natychmiast się odwrócił. Niestety, była to tylko Gracie.

- Jinx, czy mi się zdaje, czy ty pijesz kakao? - zapytała czujnie. - Przecież wiesz, że po mleku masz sensacje żołądkowe. Zaparzę ci herbatę.

- Nie chcę herbaty!

- Chcesz.

- A właśnie że nie!

- Gdzie Kate? - wszedł im w słowo.

- Zaraz przyjdzie. Jest w twoim pokoju, ogląda modele samolotów. Powiedziałam jej, że to jedyny dowód na to, że David też był kiedyś dzieckiem.

- Zaśmiała się, patrząc porozumiewawczo na Jinx.

- Mój syn dzieckiem? Nie żartuj! Wylazł z mojego brzucha jako w pełni ukształtowany dojrzały człowiek. Może u niego proces przebiega odwrotnie. Będzie się stawał coraz młodszy, aż w końcu zdziecinnieje.

- Jak ty, mamo?

Gracie nastawiła wodę na herbatę.

- Jak miło mieć towarzystwo! - westchnęła rzewnie, lecz słysząc dzwonek telefonu, od razu się nasrożyła: - A komu to się zachciewa gadać o dziesiątej w nocy?

- Ja odbiorę. - David sięgnął po słuchawkę. - Halo!

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość! - oznajmił Pokie, z miejsca przechodząc do rzeczy.

- Namierzyłeś samochód, który nas śledził?

- Zapomnij o tym samochodzie. Mamy ptaszka.

- Deckera?

- Doktor Chesne musi go zidentyfikować. Wyrobicie się w pół godziny?

David spojrział na Kate, które właśnie zeszła na dół i patrzyła na niego pytająco. Podniósł kciuk.

- Zaraz u ciebie będziemy - powiedział do Pokiego. - Gdzie go macie? Na posterunku?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Nie, nie na posterunku.

- Więc gdzie?

- W kostnicy.

- Mam nadzieję, że macie mocne nerwy i żołądki. - M. J. energicznie pociągnęła za uchwyt metalowej szuflady, która wysunęła się bezszelestnie. Potem jednym ruchem rozsunęła czarny worek. W ostrym jarzeniowym świetle ciało wyglądało sztucznie, jak odlana z wosku nędzna imitacja człowieka.

- Jakiś żeglarz natknął się na niego wieczorem w zatoce - wyjaśnił Pokie.

Kate poczuła, jak David mocniej ją obejmuje. Po chwili wahania zmusiła się, by spojrzeć na twarz zmarłego. Mimo oznak rozkładu od razu rozpoznała jego oczy. Nawet po śmierci były lekko obłąkane.

- To on - szepnęła.

- No to bingo! - ucieszył się Pokie.

Ten wybuch radości w koszmarnej kostnicy wypadł dość surrealistycznie.

- Ma uraz czaszki. - M. J. przesunęła dłoń w rękawiczce po głowie denata, po czym rozchyliła worek i odsłoniła jego tors. - Musiał długo leżeć w wodzie.

Kate zebrało się na wymioty. Odwróciła się szybko i ukryła twarz w ramieniu Davida. Zapach jego wody kolońskiej zabił wstrętny odór formaliny.

- Na miłość boską, M.J., zamknij go!

- Davy, skarbie, co z tobą? - roześmiała się pani patolog. - Kiedyś nie byłeś taki wrażliwy.

- Człowiek się zmienia. Chodźmy stąd!

- Dobrze, już dobrze. Zapraszam do siebie. Pokój, w którym urzędowała, był zadziwiająco

wesoły i przytulny jak na makabryczne miejsce, w którym pracowała. Gdy usiedli, Pokie przyniósł im po kubku kawy, po czym usadowił się naprzeciw.

- A więc tak to się nam ładnie skończyło - westchnął z satysfakcją. - Obędzie się bez sądu i całego tego zamieszania. Mamy trupa, który pojawił się w idealnym momencie i załatwił sprawę. Oby zawsze tak gładko szło.

- Wiadomo już, jak zginął Decker? - zapytała go Kate.

- Jeszcze nie, ale nietrudno sobie wyobrazić, jak mogło do tego dojść. Koleś pewnie za dużo wypił, zleciał z pomostu i rozwalił łeb o skały. Ciągłe wyławiamy takich topielców. Co myślisz, M.J.?

- Ciężka sprawa - rzekła z ustami pełnym jedzenia. Kate spojrzała na kanapkę ociekającą keczupem i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. - Trochę sobie chłopak popływał, więc ciało jest w kiepskim stanie. Muszę mu zrobić sekcję.

- Trochę to znaczy ile? - indagował David.

- Co najmniej jeden dzień. Jak nie dłużej.

- Jeden dzień?! To kto nas dzisiaj śledził? - David spojrzał pytająco na Pokiego.

- Coś mi się zdaje, bracie, że poniosła cię wyobraźnia.

- Mówię ci, że jechał za nami samochód.

- I co w tym dziwnego? Przecież to publiczna droga, ruch jest spory.

- Jedno jest pewne. To nie był mój klient z szuflady - wtrąciła M. J. - O ile wiem, umarlaki nie siadają za kółkiem.

- Kiedy będzie wiadomo, co było bezpośrednią przyczyną śmierci? - zapytał David.

- Wezmę go na warsztat jeszcze dzisiaj. Zrobię mu rentgen czaszki i sprawdzę, czy ma wodę w płucach. Ale najpierw muszę zjeść - zaznaczyła, odgryzając kęs jabłka. - A póki co - obróciła się w fotelu i sięgnęła po kartonowe pudełko - obejrzyjcie sobie, co przy nim znaleźliśmy.

Mówiąc to, zaczęła wyjmować przedmioty szczelnie zamknięte w plastikowych woreczkach.

- Grzebień, papierosy Winston, pół paczki. Zapalki, bez etykiety, brązowy portfel z imitacji skóry, a w nim czternaście dolarów. Różne karty - wyliczała metodycznie. - I wreszcie to. - Położyła na stole woreczek, w którym był klucz.

Na plastikowej przywieszce widać było jaskrawy czerwony napis: Hotel Victory.

- Tam mieszkał? - Kate wzięła klucz do ręki.

- Tak, już tam byliśmy - odparł Poke. - Koszmarna dziura. Wszędzie szczury, wielkie jak konie. Ostatni raz widzieli go tam w sobotę w nocy.

Kate odłożyła klucz i jeszcze raz przyjrzała się osobistym drobiazgom Deckera. Przypomniała sobie jego twarz odbitą w lustrze i obłąkane spojrzenie ciemnych oczu. Nagle ogarnął ją wielki żal i współczucie dla człowieka, którego marzenia zostały tak brutalnie zniszczone. Kim byłeś naprawdę, Charlie? - zapytała go w myślach. Szaleńcem? Mordercą? Miała przed sobą okruchy jego życia. Bardzo skromne i zwyczajne...

- Sprawa skończona, pani doktor. - Pogodny głos Pokiego wyrwał ją z zamyślenia. - Pani prześladowca nie żyje, więc może pani wracać do domu.

Spojrzała na Davida, ale on patrzył w inną stronę.

- Tak - mruknęła ze znużeniem. - Mogę wracać do domu.

Kim byłeś, Charlie? - powtarzała jak refren, gdy ciemną nocą wracali z Davidem do domu. Z jakiegoś powodu nie mogła przestać myśleć o człowieku, który tak wiele wycierpiał. Dla niej on również był ofiarą, jak pozostałych troje.

A teraz zostały tylko zwłoki, które pojawiły się w wyjątkowo dogodnym momencie.

- To wszystko jest zbyt proste - stwierdziła z przekonaniem.

- Co takiego?

- Finał. Wiesz, ciągle myślę o Deckerze. Dopiero teraz zrozumiałam, co wtedy widziałam w jego oczach. Byłam zbyt przerażona, żeby to od razu rozpoznać.

- Co to było?

- Strach. On też się czegoś bał. Musiał znać jakąś straszną tajemnicę. I to go zgubiło. Jak pozostałych...

- Uważasz, że on też jest ofiarą? Skoro tak, po co cię straszyl? Po co dzwonił do ciebie?

- Skąd wiesz, że chciał mnie zastraszyć? Może on próbował mnie przed czymś ostrzec?

- Ale dowody...

- Jakie znów dowody? Parę odcisków palców na klamce?

- Jest jeszcze naoczny świadek. Przecież widziałaś go w mieszkaniu Ann.

- A jeśli on był prawdziwym świadkiem zbrodni? Tylko pomyśl, zginęły cztery osoby. Łączy je to, że zetknęły się z kobietą, która też nie żyje. Gdybym tylko mogła się dowiedzieć, o co chodzi z tą Jenny Brook!

- Niestety, żaden zmarły ci tego nie powie. Niekoniecznie.

- Hotel Victory - powiedziała niespodziewanie. - Wiesz, gdzie to jest?

- Kate, Decker nie żyje. Musisz pogodzić się z tym, że zabrał tajemnicę do grobu.

- Ale jest szansa, że...

- Słyszałaś, co mówił Pokie. Sprawa jest zamknięta.

- Nie dla mnie.

- Na litość boską, zaczynasz mieć obsesję - rzucił ze złością. Gdy po chwili znów się odezwał, był już spokojny. - Posłuchaj, rozumiem, jak bardzo ci zależy, żeby oczyścić się z zarzutów. Zastanów się jednak, czy na dłuższą metę opłaca się o to walczyć. Jeśli liczysz na to, że w sądzie uda ci się zrehabilitować, to się mylisz.

- Skąd możesz wiedzieć, jak będzie głosowała ława przysięgłych?

- Moja praca polega między innymi na tym, żeby przewidzieć werdykt ławników. Odniosłem zawodowy sukces w mieście, gdzie wielu prawników ledwie zarabia na czynsz. Udało mi się wcale nie dlatego, że jestem od nich mądrzejszy. Po prostu starannie wybieram sprawy. A gdy jakąś wezmę, idę na całego. Nie przebieram w środkach, więc kiedy proces dobiega końca, oskarżony żałuje, że w ogóle się urodził.

- Wykonujesz przepiękny zawód.

- Mówię ci o tym tylko dlatego, że naprawdę nie chciałbym, aby coś takiego cię spotkało. Uważam, że powinnaś pójść na ugodę z O'Brienami. Najlepiej, żeby ta sprawa przycichła. Im mniej szumu, tym lepiej. Pamiętaj, że jeśli raz przeczołgają cię przez błoto, część brudu przyłgnie do ciebie na zawsze.

- Tak to się załatwia w prokuraturze? „Przyznaj się do winy, a my już za ciebie wszystko załatwimy”?

- Uwierz mi, że nie ma nic złego w podpisaniu ugody.

- Ty na moim miejscu byś podpisał?

- Tak. Podpisałbym.

- Z tego wniosek, że bardzo się różnimy. Bo ja się nie zgadzam na wyciszenie sprawy. Nie poddam się bez walki.

- Więc przegrasz. - Nie było to ostrzeżenie, lecz wyrok. Równie ostateczny jak głuchoe stuknięcie młotka sędziego.

- Jak rozumiem, prawnicy nie podejmują się prowadzenia przegranych spraw?

- Ten, z którym rozmawiasz, nie.

- Zabawne. Lekarze stykają się z nimi na co dzień. Spróbuj dogadać się z wylewem. Albo z rakiem. My nigdy nie paktujemy z wrogiem.

- Dzięki temu mam z czego żyć - odparł. - Zbijam fortunę na arogancji lekarzy.

To był cios między oczy. Natychmiast pożałował swych słów. Musiał jednak ostro zareagować, bo Kate szuka guza, a on nie chciał, by sobie go nabiła.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Po raz pierwszy atmosfera była ciężka. Oboje czuli, że ich wspólne sprawy mają się ku końcowi. Od początku było jasne, że ta chwila kiedyś nastąpi. I oto przyszła.

Do domu weszli wprawdzie razem, lecz zachowywali się jak dwoje obcych ludzi. Gdy Kate wyciągnęła walizkę i zaczęła się pakować, poprosił, by zaczekała z tym do rana. To wszystko. Nie zdobył się na to, by jej otwarcie wyznać, iż chce, by z nim została. Po prostu zabrał jej walizkę i zamknął w garderobie. Potem podszedł do niej i zaczął ją całować. Jej wargi były chłodne, przytulił ją więc mocno i ogrzał własnym ciepłem.

Oczywiście potem się kochali. Ostatni raz. Niby wszystko było w porządku, ale oboje czuli, że jest to miłość na zgliszczach. Właściwie nie miłość, tylko zaspokojenie pożądania. Przynoszące ulgę, ale nie dające satysfakcji.

Kiedy zasnęła, David leżał w ciemności i słuchał jej równego oddechu. Też chciałby zasnąć, ale nie mógł. Zbyt

intensywnie zastanawiał się, dlaczego nie potrafi nikogo pokochać.

Nie lubił tego stanu. Czuł się wtedy bezbronny. Od śmierci Noaha wytrwale pracował nad tym, by niczego nie czuć. Funkcjonował jak dobrze zaprogramowany robot, oddychał, jadł, spał i uśmiechał się wyłącznie wtedy, gdy należało. Zamknięty w sobie jak ostryga w skorupie prawie nie zauważył, że odeszła od niego żona. Właściwie w ogóle nie przeżył tego rozstania. Dla niego było ono jeszcze jedną kroplą w morzu cierpienia. Kochał Linde, lecz tego uczucia nie dało się porównać z ogromną bezwarunkową miłością, którą darzył syna. Według niego siłę uczucia należy mierzyć stopniem cierpienia po utracie obiektu uczuć.

I nagle pojawiła się ta kobieta. Odwrócił się i spojrzał na jej ciemne włosy rozrzucone na poduszce. Jej poprzedniczka była chyba blondynką. Ale kiedy to było? I jak się nazywała? Nie miał pojęcia.

A Kate? Z nią było inaczej. Oczywiście pamiętał jej imię. I to jak zasypia, skulona niczym zmęczony kociak. Oraz to, że gdy jest obok, mrok zaczyna się rozjaśniać. Miał to wszystko wryte w pamięci.

Wstał z łóżka i pchany dziwną tęsknotą poszedł do pokoju Noaha. Od bardzo dawna w nim nie był. Nawet tam nie zaglądał, bo nie mógł znieść widoku pustego łóżka. Wystarczyło, że rzucił na nie okiem, i od razu budziły się wspomnienia. Przypominał sobie, jak wieczorem zakradał się na palcach, by sprawdzić, czy synek śpi i czy się nie odkrył. A on zawsze się wtedy budził. I zaczynali w ciemności rozmowę, która z czasem stała się ich rytuałem:

To ty, tatusiu?

Tak, Noah. Śpij.

Najpierw mnie przytul. Proszę cię.

Dobranoc, pchły na noc.

Usiadł na łóżku i długo wsłuchiwał się w echa przeszłości, przypominając sobie, jak niewyobrażalny ból niesie ze sobą miłość. Potem wrócił do sypialni, położył się obok Kate i zasnął.

Wstał bladym świtem i od razu poszedł pod prysznic, by z premedytacją zmyć z siebie wszelkie ślady miłości. Czuł się jak człowiek, który przeżył odnowę. Potem zaczął się ubierać. Wkładał każdy fragment garderoby w taki sposób, jakby kompletował zbroję, która osłoni go przed światem. Pijąc w kuchni kawę, rozmyślał o tym, że nie ma żadnego logicznego powodu, by Kate dłużej u niego została. Spełnił swój obowiązek, odegrał rolę rycerza na białym koniu.

Nigdy jej nie obiecywał, że zwiąże się z nią na dłużej, sumienie miał więc czyste. Pora, by wróciła do swojego życia. Może po kilku dniach bez niej spojrzy na wszystko z dystansem i dojdzie do wniosku, że przeżył chwilową burzę hormonów. A może po prostu usiłuje oszukać samego siebie.

Martwił się o nią. Nie chciał, by interesowała się przeszłością Deckera, ale wiedział, że ona nie przestanie węszyć. Wczoraj nie wyjawiał Kate, że w głębi duszy przyznaje jej rację. Tajemnicze morderstwa na pewno nie były dziełem szaleńca opętanego żądzą zemsty. Cztery osoby straciły życie. Nie chciał, by Kate była piątą.

Zamiast wyjść do biura, wrócił do sypialni i usiadł w nogach łóżka, by z bezpiecznej odległości popatrzeć, jak Kate śpi. Taka piękna, uparta, wściekle niezależna kobieta. Do tej pory twierdził, że ceni w kobietach niezależność, teraz nie był już tego taki pewny. W pewnym sensie żałował, że Decker nie żyje.

Gdyby nadal jej zagrażał, przynajmniej potrzebowałaby jego pomocy. Cóż za skrajny egoizm!

Nagle uświadomił sobie, że nadal może jej się do czegoś przydać. Przeżył w jej ramionach dwie cudowne noce, miał więc wobec niej dług wdzięczności.

- Kate? - Delikatnie nią potrząsnął.

Wolno otworzyła oczy. Cudne, senne, zielone oczy. Miał ochotę ją pocałować, ale wolał nie kusić losu.

- Hotel Victory - powiedział cicho. - Nadal chcesz tam jechać?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pani Tubbs, kierowniczka hotelu Victory, przypominała nadętą ropuchę. Mimo upału miała na sobie szary wełniany sweter i dziurawe rajstopy, z których wystawał spuchnięty jak balon brudny paluch.

- Charlie? - powtórzyła, przyglądając im się podejrzliwie przez szparę w drzwiach. - Zgadza się, mieszkał tu taki jeden.

W pokoju za nią bębnił telewizor.

- Debilu jeden! Żeś nie mógł tego zgadnąć?!

- Gruby męski głos komentował występ uczestnika teleturnieju.

- Ebbie! Do diabła, weźże to przycisz. Nie słyszysz, że rozmawiam? - wrzasnęła przez ramię. - A ten Charlie, co się pytacie, to już tu nie mieszka - oznajmiła. - Wziął się i zabił. Tak mi mówiła policja.

- Jeśli można, chcielibyśmy obejrzeć jego pokój.

- A po co?

- Szukamy informacji.

- A wy co, też z policji?

- Nie, ale...

- Bez nakazu nikogo tam nie wpuszczę! - oznajmiła z naciskiem. - Policja zabroniła. A mnie już starczy kłopotów. - Dla podkreślenia wagi swych słów zaczęła zamykać drzwi, ale David je przytrzymał.

- Widzę, że przydałby się pani nowy sweter.

- Przydałoby mi się sporo nowych rzeczy - rzuciła, ale uchyliła drzwi nieco szerzej. - A zwłaszcza nowy mąż - dodała, gdy z pokoju dobiegło głośne beknięcie.

- Przykro mi, ale w tej sprawie pomóc nie mogę. - David się uśmiechnął.

- Pewnie. Tylko sam Pan Bóg może coś z tym zrobić.

- A on, jak wiadomo, potrafi czynić cuda - odparł i dyskretnie wsunął jej do ręki dwadzieścia dolarów.

- Jak właściciel hotelu się dowie, to mnie zabije.
- Nie dowie się - zapewnili ją zgodnym chórem.
- Skąd ta pewność? Żebyście wiedzieli, jakie ja grosze dostaję za prowadzenie tej budy - jęknęła i zaczęła wyrzekać na swój ciężki los.

David miał nadzieję, że następne dwadzieścia dolarów ulży nieco jej niedoli.

- Ale nie jesteście żadnymi inspektorami? - upewniła się, upychając pieniądze w staniku. - Nie, na pewno nie. Jeszcze nie widziałam, żeby któryś z tych łachudrów przyszedł tu tak wystrojony jak pan. No dobra. Szkoda czasu na gadanie. Chodźcie.

Po wąskich schodach wspięła się z nimi na piętro, sapiąc przy tym jak kowalski miech.

- To tutaj! Pokój dwieście trzy - wykrztusiła, purpurowa z wysiłku. - Ten wasz Charlie mieszkał u mnie miesiąc. Spokojny chłopak, nie powiem. Nie miałam z nim żadnych kłopotów. Nie to, co z resztą tego tałatajstwa.

Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się z trzaskiem i dwie dziecięce główki wyjrzały na zewnątrz.

- Charlie wrócił? - zapytała chuda dziewczynka.

- Przecież już wam mówiłam, że nie ma go i nie będzie - huknęła pani Tubbs.

- A kiedy wróci?

- Wy głuche jesteście, czy co? A w ogóle, to dlaczego nie poszliście do szkoły?

- Bo Gabe zachorował - wyjaśniła dziewczynka. Dla potwierdzenia jej słów młodszy brat kichnął, a potem rozsmarował sobie wszystko na twarzy.

- A gdzie mama?

- W pracy.

- Tak... I znowu zostawiła was samych, żebyście mi tu chałupę z dymem puścili.

- Zabrała zapalki - zapewnił Gabe.

- Dobra, już was tu nie ma! - Pani Tubbs pogroziła im pięścią, po czym wzięła się za otwieranie drzwi do pokoju Charliego.

- Proszę bardzo - wysapała, puszczając ich przodem. - Wchodźcie śmiało. Możecie sobie patrzeć, ile dusza zapragnie. Tylko niczego nie zabierajcie! - zastrzegła.

Weszli do środka, wywołując panikę wśród stada karaluchów, które w sekundę rozpierzchły się do swych kryjówek. Ich gospodyni podeszła do okna i rozsunała przetarte zasłony. Jasny blask słońca wyostrzył przygnębiającą nędzę ciasnego pokoiku, w którym unosił się zatechły smród papierosów i starego tłuszczu.

Kate rozejrzała się i pojęła, dlaczego pani Tubbs tak bardzo obawia się wizyty inspektorów. Pokój był bowiem zapuszczoną norą, nie spełniającą żadnych norm sanitarnych.

Przygnębiona popatrzyła na skotłowaną brudną pościel, przepełnioną popielniczkę i stół zawalony jakimiś notatkami. Podeszła bliżej i ostrożnie sięgnęła po pierwszą kartkę z brzegu.

Ósme urodziny były super
Dziewiąte też niczego sobie
A teraz przyszła pora na dziesiąte.
Kochana moja Jocelyn,
Przyjmij najlepsze życzenia
Wszystkich marzeń spełnienia
I pamiętaj: najlepsze dopiero przed tobą.

- Kto to jest Jocelyn? - zapytała panią Tubbs.

- Ta mała z pokoju obok. Same kłopoty z tymi bachorami, matki nigdy nie ma, więc robią, co chcą. Dawno już bym ich wywalila, ale płacą na czas.

- Ile kosztuje pokój?

- Cztery stówy za miesiąc.

- Chyba pani żartuje?

- Przecież taka świetna lokalizacja musi kosztować - oburzyła się. - Blisko stąd do autobusów. Nie pobieramy opłat za wodę i światło. - Okazały prusak przebiegł tuż obok jej stóp. - I przyjmujemy zwierzęta - dodała, nie tracąc rezonu.

- Jaki był Charlie? - zapytała ją Kate.

- Jaki był? Strasznie skryty. Siedział tu sobie cichutko jak mysz pod miotłą. Nie puszczał głośno muzyki. Na nic nie narzekał. Aż czasem człowiek zapominał, że tu jest. Ech, porządny był z niego gość - westchnęła z żalem.

Zaczęli przeszukiwać pokój. Szybko okazało się, że Charlie prawie nic nie miał. Zostawił po sobie kilka wymiętych koszul, skarpetki, bieliznę i parę puszek zupy „Campbell”.

Kate podeszła do okna i wyjrzała na ulicę zasłaną potłuczonym szkłem. Okolica była nie mniej przygnębiająca niż pokój. Wyglądała jak ślepy zaułek. Miejsce przekłete przez Boga i ludzi, w którym lądują życiowi rozbitkowie, gdy sięgną dna. Nie, tak naprawdę można upaść jeszcze niżej.

W końcu zawsze pozostaje grób.

- Kate, pozwól na chwilę. Znalazłem tu jakieś lekarstwa! - zawołał David, który przeglądał nocną szafkę. - Haldol. Wydany na receptę wystawioną przez doktora Nemechka ze stanowego szpitala.

- To psychiatra Deckera.

- Spójrz, mam coś jeszcze.

Pokazał jej niewielkie zdjęcie w ramce. Od razu wiedziała, kim jest uwieczniona na nim kobieta. Wzięła je od Davida i podeszła do okna, by mu się przyjrzeć. Fotka została zrobiona na jakiejś plaży. Młoda kobieta, właściwie dziewczyna, uśmiechała się do obiektywu, mrużąc lekko oczy. Kate od razu zwróciła na nie uwagę, były bowiem bardzo piękne. Ciemne, wesołe, życzliwe całemu światu, były największą

ozdobą ładnej twarzy. Dziewczyna miała na sobie prosty biały kostium. Klęczała na piasku, celowo przybierając seksowną pozę. Była w niej jednak wrodzona niewinność, która sprawiała, że wyglądała jak mała dziewczynka wystrojona w ubranie mamy.

Delikatnie wyjęła fotografię z ramki. Brzegi były wytarte, widocznie ktoś ich często dotykał. Na odwrocie widniała dedykacja. „Wracaj do mnie szybko. Jenny”.

- Jenny - szepnęła wzruszona. Długo przyglądała się kobiecie, w której oczach płonął wieczny blask. I myślała o tym, że dla Charliego ta blaknąca fotografia była najcenniejszym skarbem. - Co się stanie z tymi rzeczami? - zapytała panią Tubbs.

- A bo ja wiem? Chyba spróbuję to sprzedać. Biedaczysko nie zapłacił mi za ostatni tydzień, więc muszę to sobie jakoś odbić. Tylko że to wszystko nic niewarte. No, może z wyjątkiem tego, co pani trzyma.

- Śliczna była, prawda? - Kate spojrzała ciepło na uśmiechniętą Jenny.

- Ja nie mówię o zdjęciu, tylko o ramce. Jest srebrna - wyjaśniła pani Tubbs.

Jocelyn i jej brat bujali się na łańcuchach odgradzających chodnik od jezdni. Kiedy Kate i David wyszli z hotelu, zeskoczyli na ziemię i zaczęli im się uważnie przyglądać. Mieli przy tym takie miny, jakby spodziewali się jakichś niezwykłych zdarzeń. Ponieważ nic niezwykłego nie nastąpiło, dziewczynka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- On umarł, prawda? - zawołała, a kiedy Kate kiwnęła głową, powiedziała do jednej z plam na swojej sukience: - Widzisz, mówiłam ci, że tak będzie. Dorośli to straszne głupki. Nigdy nie mówią prawdy.

- A co wam powiedzieli o Charliem? - zapytała Kate.
 - Że gdzieś wyjechał. Ale nie uwierzyłam, bo nie dał mi prezentu.
 - Na urodziny?
 - Mam już dziesięć lat! - oświadczyła z dumą, spoglądając na swój nieistniejący biust.
 - A ja siedem - wtrącił Gabe, który przez cały czas kurczowo trzymał się brzegu siostrzanej spódnicy.
 - Charlie był waszym przyjacielem, tak? - David próbował być miły, ale tylko niepotrzebnie ją speszył.
 - Charlie nie miał żadnych przyjacieli - odparła z powagą.
 - Ja też nie mam. Tylko Gabe'a, ale on się nie liczy, bo to brat. Gabe uśmiechnął się i wytarł nos o jej spódnicę.
 - A czy mieszka tu ktoś, kto znał Charliego tak dobrze jak wy? - ciągnął David.
- Jocelyn chwilę się zastanawiała.
- Możecie zapytać u Maloneya, tu niedaleko.
 - A kto to jest?
 - Nikt.
 - Jak to nikt? Przecież mówisz, że znał Charliego.
 - Bo to nie jest żaden on. Maloney to miejsce.
 - Jasne. Ale ze mnie głupek - zreflektował się David.
 - A co wy tu robicie, gnojki? Uciekać mi stąd! I to już! Chcecie, żeby mi przez was zabrali pozwolenie?!
- Jocelyn i Gabe udawali, że niczego nie słyszą i pobiegli prosto do baru.
- Przyprowdziliśmy panią i pana, którzy chcą z tobą pogadać, Sam - wyjaśniła dziewczynka, wdrapując się na wysoki stółek.
 - Nie widzieliście, co jest napisane na drzwiach?
 - burknął barman. - Żeby tu wejść, trzeba mieć dwadzieścia jeden lat!
 - A ja mam już siedem. Dasz mi oliwkę? - zagadnął Gabe.

- Masz i zmykaj! - Mężczyzna położył przed nim kilka sztuk. W tej samej chwili spostrzegł Davida i Kate. Tak się ich przestraszył, że aż podskoczył. - To nie moja wina - zastrzegł od razu. - Te małe szelmy ciągle tu przyłazą. Właśnie próbuję ich stąd wykurzyć.

- Sam, to nie są żadni inspektorzy - szepnęła Jocelyn. - To my ich tu przyprowadziliśmy.

- Zbieramy informacje o jednym z klientów - wyjaśnił David, by nie trzymać barmana w niepewności.

- Czy może pan nam coś powiedzieć o Charliem?

Barman obrzucił go taksującym spojrzeniem. Jego chytrze przymrużone oczy zdradzały tok myśli: elegancki garnitur, jedwabny krawat, wszystko warte kupę szmalu.

- Charlie nie żyje - rzucił lakonicznie.

- Wiemy.

- Nie powiem złego słowa o umarłym - zastrzegł, po czym zrobił znaczącą pauzę. - Podać coś państwu?

- Dwa piwa - westchnął David, siadając na stołku.

- I dwa soki ananasowe - dodała szybko Jocelyn.

- Robi się. Dwanaście dolarów.

- Tanio u pana - stwierdził David, kładąc na barze dwadzieścia dolarów. - Reszty nie trzeba.

- Co powie pan o Charliem? - zapytała Kate.

- Zawsze siadał przy tamtym stoliku. - Barman machnął ścierką w kierunku mrocznego kąta.

- I?

- I nic. Mówię, że tam siadał.

- I co robił?

- To co wszyscy. Pił. Najczęściej czystą whisky. A jak miał chęć, to robiłem mu „kwaśnego Sama”. Mój wynalazek - pochwalił się i umilkł. Jak automat, który czeka, aż ktoś wrzuci następną monetę.

- Chętnie spróbuję pana wynalazku - rzekła Kate.

- Proszę bardzo. - Dokładnie odmierzył dżin, wodę sodową i sok z cytryny. - Pięć dolarów - poinformował, stawiając przed nią szklankę. - I co? Dobrze?

- Interesujący smak - wybrnęła, upiwszy mały łyk.

- Wszyscy tak mówią.

- Rozmawiamy o Charliem. - David pilnował, by rozmowa nie zbacziała z właściwych torów.

- A tak. No więc przychodził do nas prawie co wieczór. Chyba lubił być między ludźmi, choć rzadko z kimś rozmawiał, bo coś tam miał nie tak z gardłem. Siadał sobie w tym swoim kącie i pił, ale nigdy nie przesadzał. Zwykle kończył na dwóch...

- Czystych whisky - dopowiedział David.

- Właśnie. Znał umiar, nie to co inni. Przychodził tak przez cały miesiąc, a potem raptem przestał. Szkoda.

- Wie pan, dlaczego zniknął?

- Podobno gliny go szukały. Poszła plotka, że kogoś zabił.

- A co pan o tym myśli?

- Charlie miałby kogoś zabić? - Barman parsknął śmiechem. - Wolne żarty!

- Czy kiedykolwiek wspominał o Jenny Brook? - zapytała Kate.

- Już mówiłem, że mało gadał. Zresztą często był zajęty, bo pisał te swoje wiersze. Mógł tak bazgrać godzinami. A potem nagle coś w niego wstępowało i zaczynał je drzeć na strzępy. Tylko sprzątanie potem było.

- Nie wiedziałam, że był poetą - powiedziała zaskoczona.

- Dzisiaj to każdy się za poetę uważa. Ale ten Charlie traktował to poważnie. Jak tu był ostatnim razem, zabrakło mu pieniędzy. Wyciągnął więc jeden z tych swoich wierszy i mi go dał. Bierz, Sam, mówi. Kiedyś to będzie sporo warte. Co miałem robić, wziąłem. Straszny ze mnie frajer, nie?

- Ma pan ten wiersz? - zainteresowała się.

- Tak, powiesiłem go tu, na ścianie.

Wyrwana z zeszytu kartka dyndała na paru kawałkach taśmy klejącej. W mrocznym wnętrzu z trudem dawało się odczytać słowa:

Oto co od nich usłyszałem:

„Potrzeba czasu...

Czas leczy rany, pozwala zapomnieć”.

Oto co im odpowiedziałem:

„Uzdrowienie nie polega na zapominaniu

Lecz na pamięci

O tobie.

O zapachu morza na twojej skórze;

O odcisniętych na piasku śladach twoich drobnych pięknych stóp.

Pamięć jest bezkresna.

Leżysz więc, teraz i na zawsze, na brzegu morza.

Otwierasz oczy. Dotykasz mnie.

Słońce przepływa przez twoje palce.

I czuję się uleczony. Czuję się uleczony”.

- I co? Myślicie, że to coś warte? - Barman spojrział na nich z nadzieją.

- No pewnie! Przecież to Charlie napisał! - powiedziała z przejęciem.

- Zdaje się, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek - skomentował David, gdy wyszli na zalaną słońcem ulicę.

Równie dobrze mógł to powiedzieć o ich związku. Gdyby chociaż się do niej uśmiechnął lub dał jakiś znak, że ich przygoda jeszcze się nie kończy. On jednak milczał. Patrzyła, jak stoi z rękami w kieszeni na chodniku zaśmieconym szkłem z potłuczonych butelek, na tle krzykliwej fasady kina porno, i

powoli godziła się z myślą, że ich wspólny czas dobiega końca.

- W tej sprawie jest mnóstwo niezbadanych wątków - stwierdziła, gdy ruszyli do samochodu. - Nie rozumiem, dlaczego policja zamknęła śledztwo.

- W tej pracy tak już jest. Zawsze zostają jakieś wątpliwości i niezbadane wątki.

- To smutne, kiedy człowiek umiera i prawie nic po nim nie zostaje - westchnęła, zerkając w stronę hotelu.

- Myślisz, że z nami będzie inaczej? Jeśli nie napiszesz wspaniałej książki albo nie zbudujesz imponującego gmachu, kto będzie o tobie pamiętał? Nikt.

- Z wyjątkiem dzieci. Długo milczał.

- O ile zdarzy ci się to szczęście, by je mieć - zauważył z goryczą.

- Przynajmniej dowiedzieliśmy się jednego o Deckerze - dodała na pocieszenie. - Bardzo ją kochał. Tę swoją Jenny.

Ciekawe, jakie to uczucie, być tak kochaną? - przebiegło jej przez myśl. I co takiego miała w sobie ta kobieta, że zasłużyła na tak wielką miłość?

- Fajnie wrócić wreszcie do domu - stwierdziła bez przekonania.

- Naprawdę?

- Tak. Przywykłam do tego, że jestem sama.

- Podobnie jak ja.

Wycofali się do swych emocjonalnych narożników. Zostało im już tak niewiele czasu, a oni cedzili słowa jak nieznajomi. Rano, zanim pojechali do hotelu, rozmawiali o wszystkim z wyjątkiem tego, co najbardziej leżało jej na sercu. Pakując walizki, w napięciu czekała, aż David poprosi, by została. Nie wahałaby się ani chwili.

Nawet się na ten temat nie zająknął.

Dziękowała Bogu, że obdarzył ją silnym charakterem. W trudnych chwilach nigdy nie zalewała się łzami ani nie próbowała emocjonalnego szantażu. Nawet Eric, jej były partner, to doceniał. Zawsze jesteś taka rozsądna, powiedział, gdy się rozstawali.

Teraz też zachowała rozsądek. Całą drogę do domu udało jej się utrzymać minę rasowego pokerzysty.

David zaniósł jej walizkę pod drzwi. Poruszał się przy tym jak człowiek, któremu bardzo się spieszy.

- Może wstąpisz na kawę? - zaproponowała, wiedząc, że odmówi.

- Teraz nie mogę. Ale zadzwonię do ciebie. Słynne ostatnie zdanie. Oczywiście w mig pojęła jego ukryty sens. Było żywcem wyjęte z kanonu rozstań.

David ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Pora ruszać w drogę. Tyle że każde z nas w swoją, pomyślała.

Przekręciła klucz w zamku i lekko pchnęła drzwi. Otwierały się powoli, stopniowo odsłaniając znajome wnętrze. Znieruchomiała. Nie wierzyła własnym oczom. Miała wrażenie, że ogląda scenę z sennego koszmaru.

Boże, dlaczego mnie to spotyka? I dlaczego teraz?

Poczuła na ramieniu rękę Davida. Podtrzymał ją, gdy cofając się, zaplątała się we własne nogi. Zdawało jej się, że pokój faluje. Chcąc skupić na czymś wzrok, spojrzała na przeciwległą ścianę. I po raz drugi ugięły się pod nią kolana. Na jasnej tapecie w delikatny roślinny wzór ktoś napisał krwistoczerwonym sprejem: „NIE WTYKAJ NOSA W NIE SWOJE SPRAWY”. A pod spodem narysował trupią czaszkę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Davy, przestań mi wiercić dziurę w brzuchu! Ile razy mam ci powtarzać, że wznowienie śledztwa nie wchodzi w grę?

Pokie Ah Ching sunął przez zatłoczony posterunek, wychlapując kawę z plastikowego kubka. Niewzruszony i majestatyczny niczym fregata prująca wzburzone fale, mijał kolejno: sierżanta wyklócającego się z kimś przez telefon, asystentki biegające tam i z powrotem z segregatorami, śmierdzącego pijaka ubliżającego dwóm wyraźnie zmęczonym policjantom.

- Czy ty nie rozumiesz, że to było ostrzeżenie?

- Nawet jeśli, to pewnie zostawił je Decker.

- Sąsiadka Kate podlewała kwiatki we wtorek i wszystko było w porządku. Więc to się musiało stać później, kiedy Decker już nie żył.

- Może jakieś małolaty zrobiły jej głupi dowcip.

- Naprawdę uważasz, że jakiś małolat pisałby: „Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy”?

- Słuchaj, Davy. Ty rozumiesz dzisiejsze dzieciaki? Bo ja nie! Ze swoimi nie mogę się dogadać, a co dopiero z jakąś patologią, którą chowa ulica. - Pokie wszedł do pokoju i ciężko opadł na fotel. - Stary, wybacz, ale ja naprawdę nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

David oparł się o biurko.

- Wczoraj mówiłem ci, że ktoś nas śledził. Stwierdziłeś, że sobie to wymyśliłem.

- Nadal tak uważam.

- Potem okazało się, że Decker nie żyje. Naprawdę uważasz, że to był nieszczęśliwy wypadek?

- Coś mi tu pachnie teorią spiskową.

- Pogratulować węchu!

- Okej! - westchnął. - Masz minutę, żeby przedstawić mi swoją teorię. Czas start. Uprzedzam, że za sześćdziesiąt sekund wywalę cię za drzwi.

David gwałtownie przysunął sobie krzesło.

- Dobra. Mamy cztery trupy. Tanaka, Richter, Decker. I Ellen O'Brien...

- O, przepraszam. Zgony podczas operacji to nie moja działka.

- Ale morderstwa tak! Pokie, w tej grze jest jeden cholernie sprytny rozgrywający. W ciągu dwóch tygodni udało mu się wyeliminować cztery osoby. To ktoś cholernie inteligentny, nierzucający się w oczy i posiadający wykształcenie medyczne. I śmiertelnie wystraszony, a przez to nieobliczalny.

- I niby czego tak się boi?

- Nie czego, tylko kogo? Kate Chesne, Może Kate zadaje za dużo pytań. Może wie o czymś, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Jedno jest pewne. Musiała zrobić coś, co bardzo zdenerwowało mordercę.

- Mówisz, niewidzialny gracz? Domyślam się, że masz dla mnie listę podejrzanych.

- Otwiera ją szef anestezjologów. Sprawdziliście już tę historię z jego żoną?

- Tak. Zmarła we wtorek w nocy. Śmierć z przyczyn naturalnych.

- Jasne. Kopnęła w kalendarz równą dobę po tym, jak jej stary wyniósł ze szpitala leki, za pomocą których można zabić człowieka.

- Przypadek.

- Słuchaj, facet mieszka sam. Nikt tak naprawdę nie wie, co robi po godzinach.

- Weź ty mnie nie rozśmieszaj! - prychnął Pokie.

- Już widzę tego starego capa, jak lata ze skalpelem. Geriatryczny Kuba Rozpruwacz! - szydził. - Niby dlaczego miałyby podrzynać gardła kolegom z pracy?

- zapytał, poważniejąc.

- Nie wiem - przyznał David. - Ale to musi mieć jakiś związek z przypadkiem Jenny Brook.

Odkąd ujrzał tę kobietę na zdjęciu, nie mógł o niej zapomnieć. Bez przerwy myślał o tym, jak umarła, przypominał sobie fragmenty dokumentacji medycznej, w której opisano jej zgon. „Gwałtowne pogorszenie się stanu pacjentki. Noworodek płci żeńskiej, żywy”.

Matka i dziecko, dwa żywe płomyki zdmuchnięte za jednym zamachem w sali operacyjnej. Dlaczego po pięciu latach tamta śmierć zagraża Kate?

- Panie poruczniku? - Sierżant Brophy, wycierając załzawione oczy, położył na biurku Pokiego plik dokumentów. - Przyszedł wreszcie ten raport, na który pan czeka.

- Dzięki, sierżancie. Sam widzisz, Davy. Wybacz, ale muszę brać się do roboty.

- Wznowisz śledztwo?

- Zastanowię się nad tym.

- A co z Averym? Na twoim miejscu...

- Powiedziałem, że się zastanowię! - przerwał mu grubiańsko i otworzył raport.

David zrozumiał, że równie dobrze mógłby walić głową w mur. Zacisnął więc zęby i bez słowa wstał.

- Czekaj, Davy!

- Co znowu? - Zdziwił go nienaturalnie ostry ton kolegi.

- Gdzie jest ta twoja Kate?

- U mojej matki. A co?

- Znaczy się, jest bezpieczna?

- Jeśli towarzystwo mojej matki można uznać za bezpieczne, to owszem - stwierdził z przekąsem.

Pokie machnął w jego stronę raportem.

- M.J. przysłała wyniki sekcji. Decker nie utonął.

- Co?! - David w ułamku sekundy znalazł się przy biurku i wyrwał mu papiery.

„Zdjęcie rentgenowskie wykazało uszkodzenie czaszki, do którego doszło na skutek silnego ciosu zadanego twardym narzędziem. Przyczyna śmierci: krwiak zewnątrzoponowy mózgu”.

Pokie ze znużeniem osunął się w fotelu i wypluł z siebie wyjątkowo ordynarne przekleństwo.

- Ktoś wrzucił do wody trupa.

- Zemsta? - zamyśliła się Jinx, odgryzając kawałek ciastka. - Moim zdaniem to całkiem racjonalny motyw zabójstwa. Oczywiście zakładając, że odebranie komuś życia nie jest z zasady aktem irracjonalnym.

Razem z Kate siedziały na tylnej werandzie z widokiem na cmentarz. Popołudnie było bezwietrzne. Chmury wisiały nieruchomo jak żaglówki w czasie flauty, na drzewach nie drgnął nawet jeden listek, a powietrze nad doliną było ciężkie i gęste.

- Będzie padać! - zawyrokowała Gracie.

- Charlie Decker był poetą. Bardzo kochał dzieci. - Kate wróciła do przerwanej opowieści. - Co więcej, dzieci też do niego lgnęły. Nie uważa pani, że gdyby był uosobieniem zła, one by to wyczuły?

- Nonsens. Dzieci są tak samo durne jak my wszyscy. A fakt, że Decker pisał romantyczne wiersze, jeszcze o niczym nie świadczy. Przez pięć lat rozdrapywał swoje rany i opłakiwał śmierć ukochanej. Moim zdaniem to wystarczająco długo, by obsesja przerodziła się w chorobliwą żądzę odwetu.

- Wszyscy, którzy go znali, zgodnie twierdzą, że nie był agresywny.

- Każdy nosi w sobie agresję. Ujawnia ją zwłaszcza wtedy, gdy musi bronić tych, których kocha. Miłość i nienawiść od zawsze idą w parze.

- Smutne, co pani mówi o ludzkiej naturze.

- Ale prawdziwe. Mój mąż był sędzią, syn prokuratorem. Nasłuchałam się w życiu takich historii, które raz na zawsze pozbawiły mnie złudzeń. Niech mi pani wierzy, rzeczywistość często bywa gorsza od naszych najbardziej mrocznych wizji.

- Dlaczego David zrezygnował z pracy w prokuraturze? - zapytała Kate, błędząc wzrokiem po zielonym zboczu usianym brązowymi tablicami, które wyglądały jak ślady stóp odcisnięte na trawie.

- Nie mówił pani?

- Wspominał coś o niskich zarobkach. Zdziwiłam się, bo mam wrażenie, że pieniądze nie są dla niego najistotniejsze.

- W ogóle go nie obchodzą - wtrąciła Gracie.

- Więc dlaczego odszedł?

Jinx rzuciła jej jedno ze swych bystrych spojrzeń.

- Muszę przyznać, Kate, że jest pani dla mnie zagadką. Po pierwsze dlatego, że David nigdy dotąd nie przedstawił mi żadnej swojej znajomej. A kiedy usłyszałam, że jest pani lekarką... - Pokręciła głową.

- David nie lubi lekarzy - wyjaśniła Gracie.

- „Nie lubi” to trochę zbyt słabe określenie, moja droga - pouczyła ją Jinx.

- Prawda - przyznała Gracie po zastanowieniu. - On ich z całego serca nienawidzi.

Jinx bez słowa sięgnęła po laskę i wstała.

- Chodźmy - zwróciła się do Kate. - Myślę, że powinna pani coś zobaczyć.

Przez postrzępioną szczelinę w żywopłocie dostały się na cmentarz i w powolnym uroczystym tempie doszły do cienistego zakątka pod wielkim drzewem. Tam zatrzymały się i przez chwilę w skupieniu spoglądały na leżącą u ich stóp wiązanąkę więdnących kwiatów.

Noah Ransom Żył lat siedem

- To mój wnuk.
- Dla Davida to musiało być straszne - szepnęła Kate.
- Nie tylko dla niego. Dla nas wszystkich. Ale on do tej pory się nie pozbierał. - Jinx odsunęła końcem laski listek. - Chciałabym opowiedzieć pani o moim synu. Zacznę od tego, że w jednym przypomina ojca: nie szafuje uczuciami. Jak biedak, który dziesięć razy obejrzy monetę, zanim ją wyda, tak on oszczędza emocje. Ale jeśli już kogoś pokocha, to na całe życie. Właśnie dlatego tak ciężko przeżył śmierć Noaha. Ten chłopiec był jego największym szczęściem, najcenniejszym skarbem. Do dziś nie pogodził się z jego odejściem. Może dlatego traktuje panią tak nieufnie. Czy powiedział pani, dlaczego Noah zmarł?
- Mówił, że na zapalenie opon mózgowych.
- Właśnie. Bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Choroba całkowicie uleczalna, prawda?
- Owszem, jeśli zostanie zdiagnozowana we wczesnym stadium.
- Jeśli. To słowo do dziś prześladowuje mojego syna. - Ze smutkiem spojrzała na więdnące kwiaty. - Kiedy Noah zachorował, David był akurat w Chicago na jakiejś konferencji. Początkowo Linda nie przejęła się kiepskim samopoczuciem małego. Wiadomo, dzieciaki non stop chorują. Tyle że tym razem gorączka była bardzo wysoka i nie dała się niczym zbić. Potem Noah zaczął się skarżyć na

straszny ból głowy. Jego lekarz był na urlopie, więc Linda poszła z nim do innego doktora z tej samej przychodni. Dwie godziny przesiedzieli w poczekalni. A pan doktor poświęcił chłopcu całe pięć minut i kazał im wracać do domu.

Kate popatrzyła na grób, z lękiem myśląc o tym, co za chwilę usłyszy.

- W nocy Linda dzwoniła do lekarza trzy razy. Widocznie czuła, że z dzieckiem dzieje się coś złego. Skończyło się na tym, że pan doktor ją zbeształ i nawyzywał od histeryczek. To zwykłe przeziębienie, a pani z tego robi śmiertelną chorobę, zżymał się. Kiedy w końcu zawiozła małego na ostry dyżur, majaczył. Podobno bez przerwy wołał tatę. Lekarze ze szpitala stawali na głowie, żeby go uratować, ale... - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Obydwoje bardzo przeżyli jego śmierć. Linda nie umiała sobie poradzić z poczuciem winy, a David... po prostu się wycofał. Zamknął się w sobie i nikogo do siebie nie dopuszczał. Nie dziwię się, że Linda od niego odeszła.

Jinx na chwilę umilkła.

- Wkrótce okazało się, że lekarz, który zbagatelizował chorobę Noaha, jest alkoholikiem. W Kalifornii, gdzie przedtem pracował, stracił przez to prawo do zawodu. Kiedy David się o tym dowiedział, rozpoczął swoją prywatną wojnę. Ciągał faceta po sądach, aż go zniszczył. Ale w życiu nie ma nic za darmo, zwycięstwo też ma swoją cenę. David zapłacił za nie rozpadem małżeństwa i zrujnowanym życiem osobistym. Właśnie wtedy odszedł z prokuratury. Szybko się dorobił, niszcząc niedbałych lekarzy. Ale to nie pieniądze go motywują. Myślę, że już do końca życia podświadomie będzie krzyżował lekarza, przez którego stracił dziecko.

I dlatego nic z tego nie będzie, pomyślała Kate.

Zawsze będę dla niego wrogiem, którego trzeba zniszczyć. Wdeptać w ziemię.

Jinx wolno pokuśtykała w stronę domu, a ona została sama w cieniu wielkiego drzewa. Myślała o Noahu, który żył lat siedem. I o tym, jak potężną siłą może być miłość do dziecka, równie okrutną i obsesyjną, jak ta między kobietą a mężczyzną. Zastanawiała się, czy byłaby w stanie rywalizować ze wspomnieniami. Albo czy David przestałby widzieć w niej kogoś, kto jest winien śmierci jego syna?

Przez długie lata cierpliwie pielęgnował ból, aż przekształcił go w źródło niewyczerpanej energii, która pozwalała mu staczać wciąż tę samą bitwę. Charlie Decker również czerpał moc z cierpienia. Tylko dzięki niemu przetrwał pięć długich lat przymusowego pobytu w szpitalu psychiatrycznym.

Zmarszczyła czoło, gdyż nagle przypomniała sobie o leku, który znaleźli w pokoju Charliego. Haldol. Silny lek uspokajający i przeciwpsychotyczny. Czy Charlie rzeczywiście cierpiał na chorobę psychiczną?

Spojrzała w stronę domu. Weranda była pusta, Jinx i Gracie musiały wejść do środka. Powietrze było tak gęste, że niemal czuła na barkach jego ciężar. Nadciąga burza, pomyślała i spojrzała na zegarek. Jeśli wyjedzie teraz, może zdąży do szpitala stanowego, zanim lunie.

- Charlie Decker w ogóle nie powinien był się tu znaleźć.
- Doktor Nemecek przystanął na środku trawnika i powiódł zatroskanym spojrzeniem po swym smutnym królestwie zmaconych umysłów. - Od początku im mówiłem, że nie jest psychopata, ale sąd oparł swój wyrok na opinii jakiegoś eksperta od siedmiu boleści. No i skazali go na przymusowe leczenie. - Z naganą pokręcił głową. - Na tym polega problem z naszym wymiarem sprawiedliwości. Sądy patrzą w pierwszej kolejności na dowody. A nie na człowieka.

- A co pan widział, patrząc na Charliego?

- Widziałem kogoś zamkniętego w sobie. Cierpiącego na silną depresję. Czasem miewającego urojenia.

- To znaczy, że jednak miał problemy psychiczne.

- Owszem, ale nie takie, o jakie go oskarżano. - Nemecek odwrócił się w jej stronę, jakby chciał się upewnić, że zostanie dobrze zrozumiany. - Obłąd bywa groźny. Lecz zdarzają się przypadki, gdy należy potraktować go jak niegroźną przypadłość. Jako rodzaj specyficznej ochrony przed cierpieniem. I właśnie tak było z Charliem. Odniosłem wrażenie, że dla niego choroba była aktem samoobrony. Urojenia powstrzymywały go przed kolejną próbą samobójczą. Dlatego nigdy nie próbowałem ich wytłumić. Czuję, że pozbawiając go tych iluzji, wydałbym na niego wyrok śmierci.

- Policja uważa go za seryjnego mordercę.

- Bzdura!

- Skąd ta pewność, doktorze?

- Stąd, że Charlie był z natury łagodny i przyjaźnie nastawiony do wszystkiego, co żyje. Schodził z drogi, byle nie rozdeptać świerszcza.

- Może w przypadku ludzi nie miał takich skrupułów?

- Proszę wybaczyć, ale to niedorzeczne. Charlie nie miał powodu, żeby kogokolwiek zabijać.

- A Jenny? Czy nie próbował mścić się za jej śmierć?

- Ależ skąd! Jego urojenia nie miały nic wspólnego z Jenny. On się pogodził z jej śmiercią.

- Więc czego dotyczyły?

- Dziecka. Któryś z lekarzy powiedział mu, że urodziło się żywe. Od tej pory nie potrafił myśleć o niczym innym. Wmówił sobie, że jego córeczka żyje i obsesyjnie próbował ją odnaleźć. Każdego roku, w sierpniu, urządzał jej urodziny. Mój aniołek kończy dziś pięć lat, mówił. Chciał ją odzyskać i wychować jak księżniczkę. Marzył, że będzie kupował jej

piękne sukienki i lalki. Wiedziałem, że w istocie nigdy nie będzie próbował jej odnaleźć. Z obawy, że może się okazać, że dziecko naprawdę zmarło.

Kiedy spadły pierwsze wielkie krople ciepłego deszczu, oboje spojrzeli w górę. Nagle zerwał się wiatr i zaczął targać fartuchami pielęgniarek, które w pośpiechu zaganiały chorych do budynku.

- Doktorze, a jeśli Charlie miał rację? Jeśli jego córeczka żyje?

- To niemożliwe, pani doktor. - Pierwsza fala rzęsistego deszczu zawisła między nimi jak kurtyna. - Dziecko na pewno nie żyje. Przez ostatnie pięć lat istniało wyłącznie w umęczonej głowie Charliego.

Dziecko na pewno nie żyje.

Jadąc autostradą, po której snuła się gęsta mgła, Kate powtarzała w myślach słowa Nemechka. „Dziecko na pewno nie żyje. Przez ostatnie pięć lat istniało wyłącznie w umęczonej głowie Charliego”.

A gdyby okazało się, że jednak jego córeczka żyje?

Ciekawe, jak by wyglądała? Czy odziedziczyłaby po nim ciemne włosy? I czy miałaby w oczach taki sam cudny, niegasnący blask jak jej mama?

Pamięć podsunęła jej obraz pogodnej twarzy Jenny Brook, uśmiechniętej figlarnie na tle błękitnego nieba. Mgła na drodze zgęstniała, ograniczając widoczność niemal do zera. Kate wyteżyła wzrok i całkowicie skupiła się na prowadzeniu. Twarz Jenny zbladła i po chwili zupełnie znikła, a w jej miejscu pojawiła się inna wizja. Drobną szczuplutką dziecięcą buzią, a za nią bujna zieleń drzew. Silny podmuch wiatru rozdarł ołowiane chmury; mgła uleciała. Zaświeciło słońce. Razem z jego promieniami na Kate spłynęło olśnienie. Niewiele brakowało, a gwałtownie wcisnęłyby hamulec.

Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej?! Dlaczego nie zorientowałam się, że... dziecko Jenny Brook żyje?

Jest radosnym, pięcioletnim chłopcem.

- Gdzie ona jest, do cholery?! - David z wściekłością rzucił słuchawkę. - Nemechek mówi, że wyjechała ze szpitala o piątej. Już dawno powinna być w domu!

- Rozdrażniony spojrzał niechętnie na Glickmana, który z apetytem zajadał chiński makaron.

- Powiem ci, że ta sprawa cholernie się skomplikowała - mruknął, zwinnie chwytając go pałeczkami.

- Zaczęło się banalnie, od oskarżenia o błąd w sztuce, a skończyło na serii zabójstw. Co będzie dalej?

- Sam chciałbym wiedzieć. - David obrócił się do okna i spojrzał na stalowoszare chmury, które szczelnie zasnuły niebo. Zrobiło się późno. Zwykle o tej porze szedł do domu, dziś jednak chciał spokojnie przemyśleć parę spraw. A nigdzie nie myślało mu się lepiej niż właśnie przy tym wielkim oknie.

- Swoją drogą, niezła metoda z tym podrzynaniem gardeł - zauważył Glickman sarkastycznie. - Człowieku, ile przy tym krwi! Jak w rzeźni. Trzeba mieć stalowe nerwy!

- Albo być doprowadzonym do ostateczności.

- Słuchaj, wcale nie tak łatwo zabić człowieka w taki sposób. - Glickman machnął pałeczką jak nożem. - Żeby przeciąć tętnicę, trzeba podejść naprawdę blisko. A przecież są mniej skomplikowane metody.

- Widzę, że przemyślałeś temat...

- A ty nie? Każdy ma swoje mroczne fantazje. I kogoś, kogo chętnie posłałby na tamten świat. Mnie się wydaje, że nietrudno zabić człowieka, i to wcale nie musi być prymitywna zbrodnia. Inteligentny morderca działa subtelnie. Sięgnie po truciznę albo inny specyfik, który nie pozostawia

śladów w organizmie ofiary. Nie wiem jak ty, ale ja wierzę w morderstwo doskonałe.

- Zapominasz o jednym.

- O czym?

- O satysfakcji. Skąd ją czerpać, skoro ofiara nie cierpi?

- No tak, jest z tym pewien problem - zgodził się Glickman. - Ale i to da się załatwić. Przecież ofiarę można przedtem zastraszyć. Zastosować terror psychiczny. Wysłać list z pogrózkami.

David poruszył się niespokojnie. Przypomniał sobie czaszkę narysowaną czerwonym sprejem. Nie mógł uwolnić się od dręczącego przeczucia, iż nadciąga katastrofa. Wstał i zaczął się pakować. Nie ma sensu tu siedzieć. Równie dobrze może zadreć się u matki.

- Jedna rzecz ciągle nie daje mi spokoju - przyznał Glickman, kończąc kolację. - To EKG, wiesz... Tanaka i Richter zostali zamordowani w wyjątkowo krwawy sposób. Skoro morderca nie miał psychicznych oporów, żeby ich zaszlachtować, dlaczego w przypadku O'Brien upozorował atak serca?

- W prokuraturze nauczyłem się jednego. Nigdy nie doszukuj się logiki w działaniu mordercy - wyrecytował David, zamykając teczkę.

- Święte słowa. Tak czy owak, zabójca zadał sobie sporo trudu, żeby zrzucić winę na Kate Chesne.

David, który chwycił już za kłamkę, gwałtownie się zatrzymał.

- Co powiedziałeś?

- Że zadał sobie sporo trudu, żeby wina spadła na kogoś innego.

- Nie! Użyłeś innego sformułowania. Powiedziałeś: „zrzucić winę”, tak?

- Może i tak. A co?

- Komu zwykle wytacza się proces, gdy pacjent umiera nagle na stole operacyjnym?

- Z reguły wina rozkłada się między... - Glickman umilkł.
- Chryste! Dlaczego o tym nie pomyślałem?!

David złapał za telefon i gorączkowo wystukał numer policji. W myślach przeklinał siebie za krótkowzroczność i głupotę. Zabójca przez cały czas jest blisko. Obserwował sytuację, wyczekiwał na dogodną chwilę. Wiedział, że Kate prowadzi prywatne dochodzenie, że zbliża się do poznania prawdy. Wtedy się przestraszył. Tak bardzo, że zaczął ich śledzić. A kto wie, czy nie na tyle, by popełnić jeszcze jedną zbrodnię.

Dochodziło wpół do szóstej. O tej porze większość pracowników archiwum dokumentacji medycznej była już w drodze do domu. Nadąsana rejestratorka, która pełniła samotną wartę przy komputerze, bez entuzjazmu przyjęła od Kate formularz zamówienia.

- Ta osoba nie żyje - burknęła, wpatrując się w informacje, które wyrzucił komputer.

- Wiem. - Kate z niechęcią wspomniała ostatnią próbę wyciągnięcia karty z archiwum zgonów.

- Nie mam tej osoby w bazie danych.

- Rozumiem. Czy mimo wszystko mogę dostać jej kartę?

- To trochę potrwa. Nie może pani przyjść jutro? Kate miała ochotę złapać ją za falbaniastą bluzkę i potrząsnąć.

- Karta jest mi potrzebna teraz! - Z trudem pohamowała się, by nie krzyknąć, że to sprawa życia lub śmierci.

Rejestratorka spojrzała na zegarek, postukała ołówkiem w biurko, a potem wstała i bez pośpiechu poszła do kartoteki. Kwadrans później Kate usiadła przy małym stoliku w rogu sali i spojrzała na okładkę: Brook, płeć żeńska. Dziewczynka nawet nie miała imienia.

Zacząła przeglądać dokumentację, ale nie znalazła w niej nowych informacji. Dziecko zmarło siedemnastego sierpnia o drugiej w nocy z powodu niedotlenienia mózgu. Na wszelki wypadek porównała zapiski z tymi, które znalazły się w karcie Jenny. Kopię miała ze sobą. Czytała je setki razy, lecz dopiero teraz zwróciła uwagę na adnotację u dołu jednej strony: „W rodzinie ciężarnej były przypadki rozszczepienia kręgosłupa, w związku z tym zalecono badania prenatalne. W osiemnastym tygodniu ciąży wykonano amniopunkcję. Wyniki nie wykazały żadnych zmian w budowie płodu”.

Amniopunkcja. Lekarz pobrał próbkę wód płodowych, by sprawdzić, czy dziecko nie ma wad wrodzonych. Przy okazji mógł określić jego płeć.

Wyniki amniopunkcji nie zostały dołączone do karty Jenny Brook. Nie była tym zaskoczona. Pewnie znalazły się w karcie przechowywanej w klinice Tanaki. A ta, jak wiadomo, przepadła.

Zostawiła karty na stoliku i podeszła do rejestratorki.

- Chciałabym prosić o wyszukanie jeszcze jednej karty.
- Też z archiwum zgonów?
- Nie, ta osoba żyje.
- Nazwisko?
- William Santini.

Tym razem poszukiwania zajęły niecałe pięć minut. Kate wzięła kartę, ale długo jej nie otwierała. Bała się zajrzeć do środka. Stała więc przy kontuarze i zastanawiała się, czy rzeczywiście chce poznać prawdę.

Po chwili ostrożnie otworzyła kartę. Na pierwszej stronie znajdował się akt urodzenia.

Imię i nazwisko: William Santini Data urodzenia: 17 sierpnia Godzina: 3:00

Siedemnasty sierpnia, ta sama data. Tylko pory różne. Równą godzinę po tym, jak córeczka Jenny Brook zeszła z tego świata, pojawił się na nim William Santini.

Dwoje dzieci. Jedno zmarło, drugie żyje. Czy trzeba lepszego pretekstu, by zabić?

- Nie mów, że kazali ci uzupełnić zapiski w dokumentacji! - usłyszała za sobą wesoły tubalny głos.

Z przerażenia struchlała, nie straciła jednak zimnej krwi. Zanim Guy Santini zdążył do niej podejść, złożyła dokumenty i zamknęła kartę. Obawiała się, że dojrzy nazwisko na okładce, więc przycisnęła ją sobie.

- Chciałam sprawdzić, czy uzupełniłam wszystkie wpisy - skłamała gładko. - A ty co tu robisz o tej porze?

- Samochód jest znowu w naprawie, więc muszę czekać na Susan. Pomyślałem, że odwałę papierkową robotę. Gdzie ta baba znów polazła? - zirytował się, widząc puste miejsce przy komputerze.

- Przed chwilą tu była - odparła, przesuwając się dyskretnie do wyjścia.

- Słyszałaś o żonie Avery'ego? W sumie lepiej, że umarła, bo... - Spojrzał na nią, a ona ze strachu zeszytniała. Do drzwi zabrakło jej dwóch kroków.

- Wszystko w porządku? - zapytał, marszcząc brwi.

- Tak. Słuchaj, naprawdę muszę lecieć! Trzymaj się!

Już niemal przestępowała próg, gdy usłyszała wołanie:

- Pani doktor, wolnego! Musi pani oddać kartę! Przecież pani wie, że nie wolno jej zabierać.

Odwróciła się i spojrzała na rejestratorkę. Gdyby wzrok mógł zabijać, gorliwa służbistka już byłaby trupem. Wiedziała, że musi oddać kartę, ale nie mogła tego zrobić w obecności Guya. Gorączkowo szukała sensownego wyjścia z sytuacji, ale stres sprawił, że nic nie przychodziło jej do głowy.

- Jeśli pani jeszcze nie skończyła, mogę ją dla pani odłożyć - zaproponowała rejestratorka.

- Nie trzeba...

- A co ty tam masz? - zainteresował się Guy. - Jakieś tajemnice państwowe?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ściska kartę tak kurczowo, jakby bała się, że ktoś ją wydrze siłą. Na miękkich nogach podeszła do kontuaru i położyła ją tak, by adnotacja z nazwiskiem znalazła się na spodzie.

- Chciałabym jeszcze do niej zajrzeć - powiedziała nienaturalnie słabym głosem.

- Dobrze, już mówiłam, że ją odłożę - przypomniała rejestratorka. - A pan, doktorze, niech sobie usiądzie. Zaraz panu przyniosę dokumentację.

Pora brać nogi za pas, pomyślała i ruszyła do wyjścia. Czowała, że Guy ją obserwuje, więc zwolniła i spokojnie wyszła na korytarz. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi, straszliwa prawda uderzyła ją z całą mocą. Guy Santini był jej kolegą. A nawet więcej, przyjacielem.

Tylko ona jedna wiedziała, że jest również brutalnym mordercą.

Guy znał Kate od roku, ale pierwszy raz widział ją tak zdenerwowaną. No cóż, każdy z nas miewa gorszy dzień, skwitował i usiadł przy stoliku w rogu sali. To było jego ulubione miejsce. Widocznie ktoś inny podzielał jego upodobania, bo na blacie zostały dwie karty. Już miał je odsunąć, gdy jego wzrok padł na adnotację z danymi pacjenta. Najpierw zastygł w bezruchu, a potem poczuł, jak wiotczeją mu mięśnie. Bezwładnie opadł na krzesło.

Brook, płeć żeńska. Zmarła.

Dobry Boże, spraw, żeby to była inna Brook. Drżącą ręką zaczął przerzucać kartki, szukając nazwiska matki wypisanego na akcie zgonu.

Matka: Jennifer Brook.

A więc to jednak ona. I jej dziecko. Myśl, chłopie! I nie panikuj, powtarzał sobie. Póki co, nie miał się czym przejmować. Wątpił, by ktoś łączył jego nazwisko z nazwiskiem Jenny Brook, a tym bardziej z jej dzieckiem. Cztery osoby, jedyni świadkowie tragedii sprzed pięciu lat, nie żyją. Nie ma powodu, by ktokolwiek inny interesował się tą sprawą. A jeśli ktoś taki jest?

Zerwał się i podszedł do kontuaru. Karta, z którą Kate Chesne tak niechętnie się rozstała, wciąż leżała tam, gdzie ją położyła. Spodem do góry. Odwrócił ją. I ujrzał imię i nazwisko swojego syna.

A więc Kate wie. Jakoś się do tego dokopała.

- Proszę bardzo, doktorze. Chyba mam wszystko, o co pan prosił. - Rejestratorka wróciła z kartoteki. - Dokąd pan idzie? - zapytała zdumiona. - Doktorze Santini!

Nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił. Wybiegł na korytarz.

Kate ustawiła się w kolejce do telefonu. Jak na złość, jeden aparat był zepsuty, a drugi zajęty. Czekala więc, aż jakiś mężczyzna skończy rozmowę, i modliła się, by porucznik Ah Ching był jeszcze w pracy.

Właściwie to nie z nim chciała rozmawiać. Dałaby wszystko, by usłyszeć głos Davida.

Wielkie szyby frontowej elewacji drżały pod naporem nawałnicy. Główny hol szybko pustoszał. Nawet strażnik gdzieś sobie poszedł. Wolontariuszka właśnie zamykała punkt informacyjny. Kate rozejrzała się na boki. Za nic nie chciała zostać tu sama. Ponieważ nic nie wskazywało na to, by mężczyzna szybko skończył gadać, postanowiła wracać do domu matki Davida.

Zaparkowała pożyczony od niej samochód na samym końcu parkingu, więc nim do niego dobiegła, przemokła do nitki. Parę sekund zajęło jej znalezienie kluczyków, kolejnych kilka straciła, otwierając drzwi. Tak się spieszyła, by skryć się przed deszczem, że nie zwróciła uwagi na masywną postać biegnącą od strony budynku. Właśnie siadała za kierownicą, gdy poczuła na ramieniu czyjaś rękę. Odwróciła się i ujrzała nad sobą Guya Santiniego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Przesiądź się!
- Guy! Moja ręka! Boli mnie...
- Powiedziałem, żebyś się przesiadła!

W panice zaczęła się rozglądać. Łudziła się, że ktoś będzie przechodził i usłyszy jej krzyk. Parking był prawie pusty. I tylko deszcz bębnił o dach samochodu.

Ucieczka nie wchodzi w grę. Zanim zdążyłaby otworzyć drzwi po stronie pasażera, Guy by ją złapał. Co robić? - myślała rozgorączkowana. Zabrakło jej czasu na odpowiedź, bo Guy brutalnie przepchnął ją na siedzenie pasażera i zajął miejsce za kierownicą.

- Kluczyki! - warknął. Nawet nie drgnęła.
- Mówię, dawaj kluczyki! Ogłuchłaś?! - Ponieważ nadal nie reagowała, sam je wziął i zaczął szukać stacyjki. Właśnie na ten moment czekała. Gdy pochylił głowę, rzuciła się na niego, usiłując dosięgnąć paznokciami jego twarzy. On jednak dostrzegł kątem oka jej ruch i zdążył złapać ją za łokieć. - Uprzedzam, że jeśli będę musiał, złamię ci rękę - zagroził, odepchnąwszy ją z całej siły.

- Dokąd jedziemy? - zapytała drżącym głosem, gdy z piskiem opon wyjechał na ulicę.

- Gdzieś. Sam jeszcze nie wiem. W każdym razie tam, gdzie spokojnie mnie wysłuchasz.

- Co chcesz mi powiedzieć?
- Ty już wiesz co, więc nie udawaj głupiej! Uniosła się lekko na siedzeniu, wyciągnęła szyję.

Zbliżali się do skrzyżowania. Gdyby wyskoczyła...

Guy przejrzał jej plany. Przycisnął ją ramieniem do fotela i nie zwalniając, przemknął na pomarańczowym świetle. To były ostatnie światła przed autostradą. I ostatnia szansa na ucieczkę. Zdruzgotana patrzyła na szybkościomierz, który

pokazywał rosnącą prędkość. Gdyby teraz wyskoczyła, jak nie skręciłaby kark.

Guy znał ją na tyle, by wiedzieć, że nie będzie ryzykowała. Cofnął rękę.

- To nie był twój interes, Kate! - rzekł z wyrzutem. - Nie miałaś prawa wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- Jak to?! Przecież Ellen była moją pacjentką. Naszą pacjentką, Guy!

- I co z tego? Czy to ci daje prawo, żeby zrujnować mi życie?

- A co z jej życiem? Albo z życiem Ann? I pozostałych? Przecież oni wszyscy nie żyją!

- I bardzo dobrze. Razem z nimi umarła przeszłość. I niech już tak zostanie.

- Boże, a ja myślałam, że cię znam! Uważałam cię za przyjaciela!

- Muszę chronić syna. I Susan. Myślisz, że będę stał bezczynnie i patrzył, jak ktoś niszczy ich życie?

- Przecież po tylu latach nikt by wam nie zabrał Williama. Sąd na pewno przyznałby wam prawo do opieki.

- Nie martwię się o stronę prawną. Żaden sędzia przy zdrowych zmysłach nie oddałby dziecka takiemu świrowi jak Decker! Muszę chronić Susan.

Słuchała go, lecz ani na moment nie przestawała myśleć o ucieczce. Na razie mogła tylko czekać, bo gdyby zaatakowała teraz, na pewno wpadliby w poślizg i zginęli oboje. Wypatrywała więc innego samochodu, jakiegoś korka czy innej przeszkody, która zmusiłaby go, by zwolnił.

- Nic z tego nie rozumiem! Dlaczego tak martwisz się o Susan?

- Bo ona o niczym nie wie! Jest pewna, że urodziła Williama.

- Jak może nie wiedzieć?

- To proste. Od pięciu lat mam swoją słodką tajemnicę. Jej poród to był koszmar. Zamieszanie, panika, cesarskie cięcie. To było nasze trzecie dziecko, ostatnia szansa. Córeczka urodziła się martwa. - Umilkł, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiewało echo tamtego cierpienia. - Straciłem głowę. Nie wiedziałem, co robić, co powiedzieć Susan. Była pod narkozą. Niczego nieświadoma, spała jak dziecko. A ja stałem nad nią z naszą martwą córeczką i...

- Postanowiłeś wziąć sobie synka Jenny Brook.

Nerwowo potarł ręką twarz.

- Uznałem, że to był znak od Boga. Rozumiesz? Bóg tak zdecydował. Tak to wtedy pojmowałem. Kobieta umarła w czasie porodu, a jej maleńki synek płakał żałośnie w sali obok. Wszyscy mówili, że ojciec jest nieznany. Kobieta przyszła do szpitala sama. Nie było żadnych dziadków, kuzynów, którzy mogliby się nim zaopiekować. Susan odzyskiwała przytomność. Zrozum! Gdybym jej powiedział, że nasze dziecko urodziło się martwe, chybaby tego nie przeżyła. Bóg zesłał nam tego chłopca! Widocznie taki był jego plan. To było wspólne odczucie nas wszystkich. Moje, Ann, Ellen. Tylko Tanaka...

- Nie chciał się zgodzić.

- Początkowo. Zacząłem go przekonywać. Krzyczeć na niego, wreszcie błagać. Poddał się dopiero, kiedy Susan poprosiła, żebyśmy jej przynieśli dziecko. Ellen poszła po tego chłopczyka. Położyła go na jej brzuchu. Susan popatrzyła na niego i zaczęła płakać. - Otarł oczy rękawem. - Wszyscy zrozumieliśmy, że podjęliśmy dobrą decyzję.

Tak, ona też dostrzegła niezwykłość tamtej chwili. Los podsunął rozwiązanie na miarę Salomona. Osierocony chłopczyk znalazł rodziców. Tyle że konsekwencją tej samej decyzji była śmierć czterech osób. Wkrótce do czarnej listy miała dołączyć piąta.

Nie zamierzała stać się owieczką potulnie idącą na rzeź. Coraz bardziej niecierpliwie wyczekiwała odpowiedniej chwili. Miała nadzieję, że gdy wjadą do tunelu, Guy będzie musiał zwolnić. On jednak wybrał inną drogę. Zjechał z autostrady i po chwili skręcił w gęsty las. Na poboczu mignęła tablica: Punkt widokowy Pali. Mój ostatni przystanek, przebiegło jej przez myśl. Miejsce to, położone malowniczo na szczycie stromego urwiska, od dawna przyciągało kochanków planujących samobójczy skok. Przed wiekami plemienni wojownicy stracali tu w przepaść pokonanych wrogów. Trudno o lepszą scenerię dla kolejnego morderstwa.

Wiedząc, że nie zostało jej wiele czasu, podjęła ostatnią desperacką próbę. Szarpnęła za klamkę, ale Guy znów ją złapał. Rzuciła się więc na niego z pięściami. Zaczęli się szarpać. Próbował ją powstrzymać, ale stracił panowanie nad kierownicą. Samochód wypadł z drogi i wjechał między drzewa. Kate czuła, że za chwilę się rozbija, ale było jej wszystko jedno. Myślała tylko o tym, żeby się ratować.

Znowu przegrała. Nie miała szans w konfrontacji z potężnym mężczyzną. Guy zdołał ją obezwładnić i jednocześnie opanować samochód. Mocno odbił kierownicą w lewo i trąc zderzakiem o pień najbliższego drzewa, wyjechał z powrotem na drogę.

Przestała walczyć. Przyciśnięta do siedzenia, bezradnie patrzyła, jak dojeżdżają do punktu widokowego. Guy zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Długo nic nie mówił. Siedział nieruchomo, jakby zbierał siły, by dokończyć swe makabryczne dzieło.

- Niewiele brakowało, a byłabyś nas zabiła - powiedział cicho. - Dlaczego to zrobiłaś?

Opuściła głowę. Ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie. I przecucie, że stanęła twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem.

- Po co mnie pytasz, skoro wiesz? Nie chciałam czekać, aż mnie zabijesz. Tak jak tamtych...

- Co ty wygadujesz?

Spojrzała mu w oczy, łudząc się, że zdoła obudzić w nim ostatni ludzki odruch.

- Powiedz, nie było ci ciężko? - zapytała łagodnie.

- Gdy poderżnąłeś Ann gardło, a potem patrzyłeś, jak się wykrwawia...

- Ty naprawdę myślisz, że ja... że mógłbym... O Boże! - Ukrył twarz w dłoniach. I nagle zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Aż wreszcie zaczął się trząść i wydawać z siebie histeryczne odgłosy, które bardziej przypominały szloch niż śmiech.

Był w takim stanie, że nawet nie zauważył świateł innego samochodu przecinających mgłę jak bliźniacze latarnie morskie. Za to Kate od razu je dostrzegła. Odwróciła się i ujrzała auto jadące pod górę. Właśnie na taką chwilę czekała. Powinna natychmiast rzucić się do ucieczki, lecz nawet nie drgnęła. Dotarło do niej, że Guy nigdy nie chciał jej zabić. Nie był zdolny do morderstwa.

Tymczasem on bez słowa otworzył drzwi i wysiadł. Poszła za nim przez wilgotną mgłę. Nic nie mówiła. Tylko delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Więc to nie ty? - szepnęła po chwili.

- Dla Williama oddałbym diabłu duszę. Ale zabić?

- Potrzęsnał głową. - Boże! Nie byłbym w stanie. Owszem, zastanawiałem się, czy nie zlikwidować Deckera. Kto by płakał po takim ludzkim... śmieciu? To byłoby najprostsze rozwiązanie. Kto wie, czy nie najlepsze. Ten cholerny świr nie odpuszczał. Nachodził ludzi, zadreślał pytaniami. Za wszelką cenę chciał odnaleźć dziecko.

- Jak się o nim dowiedział?

- W porodzie uczestniczył jeszcze jeden chirurg...

- Doktor Vaughn?
- Decker do niego dotarł. I pewnie usłyszał o parę słów za dużo...

- A potem Vaughn zginął w wypadku.
- Miałem nadzieję, że na tym się skończy. Ale Decker wyszedł ze szpitala. Wiedziałem, że prędzej czy później ktoś nie wytrzyma i wszystko się wyda. Tanaka nie chciał dłużej milczeć. Ann była przerażona. Dałem jej pieniądze, kazałem wyjechać na kontynent. Nie zdążyła. Decker ją dopadł i załatwił.

- Guy, przecież to nie ma sensu. Po co miałby zabijać ludzi, którzy byli dla niego bezcennym źródłem informacji?

- Przecież to psychopata!

- Nawet tacy kierują się jakąś logiką.

- To musiał być on. Nikt inny...

Gdzieś za nimi szczęknął metal. Znieruchomieli, w napięciu wsłuchując się w odgłos ciężkich kroków. Z mroku wyłoniła się ciemna postać. Zbliżała się bez pośpiechu, by wreszcie stanąć kilka kroków od nich. Nawet o wieczornym zmierzchu rude włosy Susan Santini przypominały języki ognia. Jednak to nie one przykuły wzrok Kate, lecz matowoszary pistolet.

- Odsuń się od niej, Guy. - Głos Susan zabrzmiał zaskakująco łagodnie.

Mąż jej nie posłuchał. Był jednak zbyt zszokowany, by wykonać najmniejszy ruch.

- To ty... - Kate miała wrażenie, że ogląda scenę wyjętą z horroru. - Nie Decker, ale ty!

- Nie zrozumiesz tego. - Mżawka zacierała kontury. Susan ze swą bladą twarzą wyglądała jak zjawa.

- Nie masz dzieci, dlatego nie masz pojęcia, co to znaczy drżeć o nie, lękać się, że ktoś je skrzywdzi. Albo ci je zabierze. Matki myślą o tym bezustannie. Zamartwiają się.

- O mój Boże, Susan! - Guy wydal z siebie głuchy jęk. - Masz pojęcie, co zrobiłaś?

- Przecież ty nie byłbyś do tego zdolny, więc nie miałam wyboru. Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy? Dlaczego musiałam się dowiedzieć o wszystkim od Tanaki?

- Susan, zabiłaś cztery osoby!

- Nie cztery, tylko trzy! Nie zabiłam Ellen. Ona to zrobiła! - Ruchem głowy wskazała Kate.

- Ty chyba żartujesz? - rzekła Kate.

- Wręcz przeciwnie. W fiolce zamiast scoliny był chlorek potasu. Wstrzyknęłaś Ellen śmiertelną dawkę.

- Przeniosła wzrok na męża. - Nie chciałam, żebyś miał kłopoty, skarbie, dlatego podmieniłam EKG. I sfalszowałam jej podpis. Guy, proszę, odsuń się! Ja naprawdę muszę to zrobić. Dla dobra Williama.

- Nie, Susan!

- Chcesz, żeby go nam zabrali? - zapytała z niedowierzaniem. - Chcesz im oddać moje dziecko?

- Nie pozwolę go zabrać! Przysięgam!

- Już za późno, Guy. Ona wie, więc musi zginąć.

- Ja też wiem! Mnie też zabijesz?! - zawołał histerycznie.

- Ty mnie nie zdradzisz. Jesteś moim mężem.

- Susan, oddaj mi broń! - Wyciągnął rękę i wolno ruszył w jej stronę. - Proszę cię, kochanie - odezwał się łagodnym głosem. - Obiecuję ci, że nic złego się nie stanie. Wszystkiego dopilnuję. Tylko oddaj mi broń.

Cofnęła się, ale na nierównym gruncie straciła równowagę. Guy zastygł w bezruchu, gdyż na ułamek sekundy znalazł się na linii strzału.

- Nie będziesz do mnie strzelała, prawda?

- Proszę cię, Guy... Zrobił krok w jej stronę.

- Nie strzelisz? - upewnił się. - Kocham cię.

- To mi oddaj pistolet. Spokojnie, skarbie. No...

Był tuż przy niej. Jego ciepły szept kusił ją obietnicą bezpieczeństwa. Jeszcze kilka centymetrów i odbierze jej broń. Nie protestowała, porażona nieuchronnością klęski.

Guy uznał, że się poddała. Podszedł do niej i chwyciwszy za lufę, próbował delikatnie odebrać jej pistolet. Ona jednak nie zamierzała składać broni.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, cofając rękę.

- Oddaj to! Susan, opamiętaj się! Ogłuszający huk wystrzału unieruchomił ich jak w stop - klatce. Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, nie pojmując, co się właściwie stało. Dopiero po chwili Guy zachwiał się i chwycił za nogę.

- Nie! - Przerażliwy krzyk Susan odbił się echem od skał i popłynął ku zamglonej dolinie. Jeszcze nie zdążył wybrzmieć do końca, gdy wolno odwróciła się w stronę Kate. W oczach miała obłęd.

Kate rzuciła się do ucieczki. Biegła na oślep, byle dalej, byle szybciej. Gdzieś z tyłu huknął kolejny strzał. Kula ze świstem przeleciała tuż obok niej i wbiła się w piach. Nie miała czasu obmyślać planu ucieczki ani zastanawiać się, którądy biec, by dostać się na drogę. W pewnej chwili poczuła, że teren zaczyna się wznosić. Po paru metrach poprzez woal mgły ujrzała grań porośniętą krzewami. Przed sobą miała przepaść. Zawrócić nie mogła, gdyż wpadłaby prosto na Susan. Nie pozostało jej nic innego jak skrócić w lewo i biec w dół starą i od dawna nieuczęszczaną drogą, która ponoć w kilku miejscach się zapadła.

Nagle zachręściły kamienie. Słyszac kroki, przeskoczyła przez niską betonową barierę i zaczęła zsuwać się w dół po błotnistym gruncie. Łapała się pnączy i gałęzi, by choć trochę wyhamować. Chwilę później, wystraszona i podrapana, zatrzymała się na równym, twardym podłożu. Odgadła, że jest to stara droga Pali.

Nad jej głową zaszeleściły krzaki.

- Tu nie ma dokąd uciec, Kate! - Zwielokrotniony głos Susan zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. - Ta droga zaraz się kończy! Jeden fałszywy krok i runiesz w przepaść. Więc lepiej uważaj!

Uważaj, uważaj... podchwyciło echo. Na górze znów poruszyły się zarośla. Susan nie dawała za wygraną, ale nie spieszyła się. Schodziła w dół uważnie. Mogła sobie na to pozwolić, bo doskonale wiedziała, że jej ofiara znalazła się w śmiertelnej pułapce.

Jednak pułapka to nie to samo co bezradność. Kate poderwała się i zaczęła biec przed siebie. Co chwila potykała się na wyboistej drodze, pełnej dziur, kawałków skał i korzeni, które rozsadzały asfalt. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Zapadała noc.

Gdzie się skryć? Po prawej stronie miała niemal pionową ścianę litej skały. Po lewej, tuż za krawędzią drogi, zaczynało się urwisko. Nie miała wyjścia, tylko biec, dopóki starczy sił.

Kilka razy upadła, ale natychmiast wstawiała i mimo bólu startych do krwi kolan biegła dalej. Jej umysł pracował gorączkowo.

Silniejszy powiew wiatru rozgonił na moment mgłę i wtedy dostrzegła wejście do jaskini. Znajdowało się dość wysoko ponad drogą, ale uznała, że warto spróbować. Jeśli zdoła się tam wspiąć, zanim Susan ją dogoni, ukryje się i zaczeka, aż nadejdzie pomoc. O ile nadejdzie.

Zdeterminowana, by nie poddawać się bez walki, rozpoczęła mozolną wspinaczkę po mokrym, śliskim zboczu. Wczepiała palce w szczeliny, chwytiała się gałęzi i korzeni i pięła coraz wyżej. Skóra cierpła jej na myśl, że w każdej chwili może zrzucić jakiś kamień, który narobi hałasu i zaalarmuje Susan. Na skale byłaby dla niej łatwym celem. Wystarczyłby jeden strzał.

Słyszając zbliżające się kroki, znieruchomiła i mocno przywarła do zbocza. Kroki zwolniły. Na moment zapadła cisza. A potem buty znów zgrzytnęły o asfalt. Kate odważyła się ruszyć dopiero, gdy przestała je słyszeć.

Kiedy wreszcie dobrnęła do dolnej krawędzi groty, miała tak zgrabiłe i obolałe dłonie, iż z trudem zdołała wczołgać się do środka. Tam padła w błotnistą maź i długo leżała, z trudem łapiąc oddech. Otoczył ją ostry zapach ziemi i butwiejących roślin. Gdzieś z góry woda kapiała prosto na jej twarz. Nagle coś zaszeleściło i przebiegło po jej dłoni. Domyśliła się, że to jakiś robak, ale nie miała siły go strącić. Wyczerpana, drżąc z wysiłku, skuliła się jak zmordowany szczeniak.

Wiatr rozgonił chmury, mgła zrzędła. Jeszcze trochę i noc stanie się czarna jak smoła. Musi wytrwać, to jej jedyna szansa. Paradoksalnie mrok stał się jej jedynym sprzymierzeńcem. Przymknęła oczy i zaczęła myśleć o Davidzie. Wiedziała, że i tak jej nie pomoże, ale wspomnienie o nim dodawało jej otuchy. Ciekawe, jak zareaguje, kiedy dowie się o jej śmierci? Czy poczuje żal? Czy raczej przejdzie nad tym do porządku dziennego? Jego obojętność zaboląłaby ją najbardziej.

Ukryła twarz w ramionach. Krople lodowatej górskiej wody zmieszały się na jej policzkach z zimnymi łzami. Nigdy dotąd nie czuła się bardziej samotna i opuszczona. Nagle przestało ją obchodzić, czy przeżyje, czy zginie. Pragnęła tylko jednego: żeby komuś na niej zależało.

Jak to? Przecież mnie zależy!

Niespodziewanie poczuła napływ świeżej energii. Podczołgała się do otworu w skale i ostrożnie wyjrzała. Rozsadzał ją gniew, że w każdej chwili może stracić życie i że w chwili najcięższej próby mężczyzna, którego pokochała, nie stoi u jej boku.

Tylko ja sama mogę siebie ocalić.

Kroki, które usłyszała, uświadomiły jej, że może nie doczekać zapadnięcia zmroku. W oddali widziała falistą linię gór, znak, że mgła całkiem się rozwiała. Wraz z nią znikła jej jedyna osłona.

- Jesteś tam, prawda? - zawołała Susan. - Wiesz, dlaczego jaskinie są kiepskim schronieniem? Bo mają tylko jedno wyjście.

Z dołu dobiegł charakterystyczny odgłos osuwających się kamieni. Wspina się. Idzie po mnie...

Nie ma wyboru. Musi wydostać się z jaskini, zanim Susan zagrozi jej drogę. Nie chciała ginąć jak szczur w pułapce. Zaczęła macać grunt, aż znalazła kamień wielkości pięści. Nie jest to żadna broń przeciw kuli, ale jedyna dostępna. Znów podpełzła do otworu i ostrożnie spojrzała w dół. Susan pokonała już połowę drogi.

Spojrzały sobie w oczy. I zrozumiały, że żadna się nie podda. Jedna walczyła o życie, druga o dziecko. Przy takiej stawce kompromis nie wchodzi w grę. Tu nie będzie kapitulacji. Chyba że uznać za nią śmierć.

Susan wycelowwała, starając się mierzyć w głowę. Kate cisnęła w nią kamieniem. Trafiła ją w ramię. Mocno, bo jej przeciwniczka z głośnym krzykiem zsunęła się po skale parę metrów w dół. W ostatniej chwili złapała się gałęzi i zawisała nad ziemią.

Kate wykorzystała moment przewagi, by wydostać się z jaskini. Niewiele myśląc, zaczęła pięć się w górę. Rozsądek podpowiadał jej, że nie da rady, gdyż zbocze jest zbyt strome, lecz instynkt wygrał z rozumem. Centymetr po centymetrze wciągała się coraz wyżej. Ręce miała poranione do żywego, lecz zwierzęcy strach okazał się bardzo skutecznym środkiem znieczulającym.

Kula odbiła się od skały, zasypując jej twarz piaskiem i odłamkami kamienia. Na szczęście Susan nie była w stanie

porządnie złożyć się do strzału. Kate spojrzała w górę. Nad sobą miała skalny nawis, z którego zwisały liany. Nie była pewna, czy ma dość sił, by wciągnąć się na górę, i czy liany utrzymają jej ciężar.

Huknął kolejny strzał. Tym razem kula przeszła tuż przy jej policzku. Przerażona złapała najgrubszą z lian i dźwignęła się do góry. Bezskutecznie próbowała znaleźć jakieś oparcie dla stóp, lecz te wciąż ześlizgiwały się z nagiej skały. Wreszcie natrafiła na szczelinę. I tak centymetr po centymetrze pięła się po czarnym i ostrym wulkanicznym głazie. Ponad jej głową przepływały chmury, mając ją obietnicą wolności. Ile kul zostało w magazynku?

Wystarczy, by została jedna...

Każdy kolejny centymetr był prawdziwą agonią. Napięte mięśnie pękały z bólu. Gdyby w tej chwili przeszła ją kula, pewnie nawet by tego nie poczuła.

Kiedy wreszcie wdrapała się na szczyt nawisu, była zbyt wyczerpana, by się cieszyć. Podciągnęła się resztką sił, a potem sturlała do płytkiego wgłębienia. Było wąskie i porośnięte wilgotnym mchem, ale ona poczuła się w nim jak w królewskim łożu. Marzyła o chwili odpoczynku. O tym, by zamknąć oczy i zasnąć. Musi poprzestać na marzeniach. Susan depta jej po piętach.

Poderwała się i ruszyła przed siebie. Zmęczone mięśnie nóg drżały, w bosą stopę wbijały się ciernie; nawet nie pamiętała, gdzie i kiedy zgubiła but. Na szczęście zbocze nie było już tak piekielnie strome. Do grani brakowało jeszcze kilku metrów.

Nie zdążyła tam dotrzeć.

Ostatni strzał obudził uśpione echo. Zaskoczona stwierdziła, że ból rozrywanych tkanek wcale nie jest taki ostry, jak myślała. Poczowała, jakby ktoś mocno uszczypnął ją w łopatkę. Niebo zawirowało nad jej głową. Zakołysała się jak

trzcina na wietrze, a potem upadła i zaczęła staczać się w dół urwiska, na które z takim mozołem się wspinała. Prosto w otchłań.

Życie uratowało jej drzewo - jedna z tych mocnych żywotnych roślin, która wczepia się potężnymi korzeniami w żyzną glebę. To o jego pień zaczepiła nogami. Dość długo leżała bez ruchu, usiłując zrozumieć, gdzie jest i co się stało. Nagle wydało jej się, że słyszy jakieś wycie. W pierwszej chwili pomyślała, że to płacz maleńkiego dziecka, które musi być gdzieś niedaleko.

Dziwny odgłos pomógł jej oprzytomnieć. Z trudem uniosła powieki. Na sobą miała zachmurzone niebo, a płacz niemowlęcia zmienił się w rytmiczne zawodzenie policyjnych syren. Nadciąga pomoc. Wybawienie.

Nagle jakiś czarny kształt przesłonił niebo. Zrozumiała, że ktoś nad nią stoi. Na jednolicie szarym tle chmur twarz Susan wyglądała jak czarna maska z ognistymi włosami targanymi przez wiatr.

Nie odzywała się. Po prostu wycelowwała lufę w jej skroń. Porywisty wiatr uderzył w nią z taką siłą, że na moment straciła równowagę.

Syreny umilkły. Ciszę sennej doliny zmałyły podniecone męskie głosy.

Kate z wysiłkiem dźwignęła się na kolana. A potem usiadła i spojrzała prosto w czarną czeluść lufy.

- Susan, przecież nie ma powodu, żebyś mnie zabiła.
- Jest powód! Wiesz o Williamie.
- Oni też wiedzą. - Z wysiłkiem skinęła głową w stronę, z której dobiegły głosy.
- Nie, oni jeszcze o niczym nie wiedzą.
- Skąd wiesz, że im nie powiedziałam? Lufa uniosła się do góry.

- Nieprawda! - W głosie Susan zabrzmiała nuta paniki. - Nie mogłaś im powiedzieć! Nie byłaś pewna!

- Susan, ty potrzebujesz pomocy. Ja ci ją mogę zapewnić. Przysięgam, że ci pomogę.

Lufa ponownie odnalazła cel. Wystarczy delikatny ruch wskazującego palca, metaliczne stuknięcie spustu, i świat się rozplynie. Kate była zdumiona, że stojąc w obliczu śmierci, odczuwa niczym niezmacony spokój. Walczyła do ostatka. Przegrała. Teraz może już tylko z podniesionym czołem czekać na koniec.

Nagle z wiatrem przyleciało rozpaczliwe wołanie. Męski głos wykrzykiwał jej imię. Omamy słuchowe, oceniła. Mózg zaczyna umierać.

Wtedy znowu usłyszała swoje imię.

I rozpoznała głos Davida. Ogarnęła ją przemożna wola życia. Zrozumiała, że musi zapomnieć o dumie i powiedzieć mu to, co do tej pory nie przechodziło jej przez gardło. Życie było zbyt cenne, by marnować je, grzebiąc się w przeszłości. Gdyby tylko zachciał dać jej szansę, pomogłaby mu zapomnieć o cierpieniu, którego doświadczył.

- Susan, proszę... - szepnęła. - Odłóż broń.

Susan poruszyła się, ale nie spełniła prośby. W napięciu słuchała głosów dobiegających od strony starej drogi Pali.

- Czy ty nie rozumiesz, że jeśli mnie zastrzelisz, zaprzepaścisz jedyną szansę, żeby William z tobą został?

Susan przygarbiła się, jakby nagle uleciała z niej energia. Wolno opuściła broń. Dość długo stała z pochyloną głową, a potem podeszła do krawędzi skalnej półki i spojrzała na drogę.

- Już za późno - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Ja go i tak już straciłam.

Głośne okrzyki świadczyły o tym, że ludzie przybywający z pomocą właśnie je dostrzegli. Susan spojrzała na nich znad krawędzi.

- Tak będzie lepiej - stwierdziła zagadkowo. - Wolę, żeby zostały mu po mnie jak najlepsze wspomnienia. Właśnie takie powinno być szczęśliwe dzieciństwo. Pełne cudownych wspomnień...

To, co nastąpiło, wyglądało tak, jakby wyjątkowo silny podmuch zmiotł ją ze skały. Kate nigdy nie zrozumiała, co się naprawdę stało. Pamiętała tylko, że Susan się zachwiała, a potem zniknęła jej z oczu.

Spadała w całkowitej ciszy, bez jednego krzyku.

Za to Kate zaczęła głośno szlochać. Padła na twardą skałę i patrząc w niebo, które obracało się nad nią coraz szybciej, opłakiwała kobietę, która właśnie umarła, odebrawszy przedtem życie czterem niewinnym ludzkim istotom. Tyle bólu i tyle cierpienia. A wszystko to w imię miłości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

David dotarł do niej pierwszy.

Znalazł ją na dwudziestym drugim metrze stromeego zbocza, na skalnym nawisie, nieprzytomną i wstrząsaną dreszczami. Tego, co potem zrobił, nie można było nazwać racjonalnym działaniem. Po raz pierwszy od bardzo dawna uległ panice. Najpierw zdarł z siebie kurtkę i okrył jej wyziębnięte ciało.

- Nie możesz umrzeć. Słyszysz mnie, Kate? Nie wolno ci umrzeć! - mamrotał, klękając przy niej.

Potem przytulił ją do siebie i jak w transie powtarzał jej imię, łudząc się, że zdoła zatrzymać jej duszę, by nie uleciała tam, gdzie on nie ma wstępu. Krew z jej rany przesączyła mu się przez koszulę i ogrzała skórę lepkiem ciepłem, gdy, głuchy na wycie syren i krzyki ratowników, wsłuchiwał się w rytm jej płytkiego oddechu.

Przerażał go chłód jej bezwładnego ciała. Gdyby mógł, oddałby własną krew, byle tylko ją rozgrzać. Raz już żałował, że nie może tego zrobić. Trzymał wtedy w ramionach swojego umierającego syna. Tylko nie to!

Powtarzał swe rozpaczliwe prośby przez całą drogę na dół. Tam musiał się odsunąć, by ustąpić miejsca tym, którzy potrafią ją uratować. Sam mógł tylko przyglądać się ich walce, bo akurat tej bitwy wygrać nie umiał.

Karetką na sygnale odjechała. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. Nie chciał myśleć, co się będzie działo w sali operacyjnej. Nie mógł znieść, że za kilkanaście minut ludzie w białych fartuchach położą Kate na stole, bezradną i samotną, i skierują na nią ostre, nieprzyjazne światło wielkich lamp.

- Jak tam, Davy? W porządku? - Pokie lekko klepnął go w ramię.

- Tak...

- Nie martw się, bracie. Wyjdzie z tego. Ja mam nosa do takich spraw. Nigdy się nie mylę

Ledwie zdążył wspomnieć o nosie, tuż za nimi rozległo się gromkie kichnięcie. Sierżant Brophy jak zwykle ciężko odchorował wypad na łono natury.

- Panie poruczniku, przynieśli ciało Susan Santini. Skręciła sobie kark. Chce pan rzucić okiem, zanim ją zabiorą do kostnicy?

- Daruję sobie. Wystarczy, że pan ją widział. A jak na wiadomość o jej śmierci zareagował doktor Santini?

- Dziwnie - odparł Brophy. - Jak mu o tym powiedziałem, miał taką minę, jakby... się tego spodziewał.

- Możliwe - westchnął Pokie. - Niewykluczone, że wiedział o wszystkim, ale wypierał to ze świadomości.

- Dokąd jedziemy, poruczniku? - zapytał Brophy, otwierając drzwi radiowozu.

- Do szpitala. Ale szybko. - Pokie wskazał głową Davida.
- Kolega bardzo się spieszy.

Minęły cztery godziny, zanim pozwolono mu ją zobaczyć. Cztery wyczerpujące, nieskończone długie godziny nerwowego spacerowania po korytarzu i spoglądania na zegarek. Po upływie trzech godzin miał kryzys. Ile może trwać wyjmowanie kuli?

Wreszcie o północy do poczekalni zajrzała pielęgniarka.

- Pan Ransom?

- Tak!

- Doktor Chesne jest już po operacji.

- Ale czy... Co z nią?

- Wszystko dobrze, proszę pana.

Odetchnął. Poczł się tak lekki, że mógłby się unosić nad ziemią.

- Jeśli chce pan jechać do domu, obiecuję, że zadzwonimy, jak tylko...

- Muszę ją zobaczyć.
- Jest jeszcze nieprzytomna.
- Muszę ją zobaczyć!
- Przykro mi, ale wpuszczamy tylko najbliższą rodzinę. -
Ucichła, spostrzegłszy groźny błysk w jego oczach. - Pięć minut, panie Ransom. Rozumiemy się?

Rozumiał aż za dobrze. I miał to gdzieś. Minał ją bez słowa i wszedł na oddział pooperacyjny.

Znalazł ją na ostatnim łóżku, zalaną ostrym białym światłem i skrępowaną dziesiątkami plastikowych rurek. Przystanął w nogach łóżka. Bał się podejść bliżej, a tym bardziej jej dotknąć, wydała mu się bowiem delikatna i krucha jak porcelanowa lalka. Przebiegło mu przez myśl, że wygląda jak księżniczka w kryształowej trumnie, leżąca w szmaragdowym lesie: nietykalna, nieosiągalna. Tuż przy jej głowie cicho pikał kardiomonitor, rejestrując miarową pracę serca, mocną, niczym niezakłóconą. Dla niego była to najcudowniejsza muzyka. Muzyka jej serca.

Stał nieruchomo jak posąg, a wokół gorączkowo krzątały się pielęgniarki i lekarze. Czuł się niepotrzebny. Jak głąz, który tylko wszystkim przeszkadza. Rozsądek podpowiadał, że powinien wyjść, mimo to stał, jakby wrósł w ziemię. Wreszcie jedna z pielęgniarek straciła cierpliwość.

- Przepraszam, ale pan nam przeszkadza. Proszę wyjść z sali - poleciła surowo.

Nie wyszedł. Wiedział, że będzie tak stał, dopóki się nie upewni, że Kate już nic nie zagraża.

- Wybudza się.

Przez zamknięte powieki przeciskało się światło tysiąca słońc. Zewsząd otaczały ją niewyraźne głosy; niektóre wydały jej się dziwnie znajome.

Otworzyła oczy i natychmiast je zmrużyła, gdy poraziła ją straszliwa jasność. Dopiero po chwili zorientowała się, że

widzi uśmiechniętą twarz kobiety, którą chyba kiedyś знаła. Dopiero gdy spojrzała na identyfikator, zrozumiała, gdzie się znajduje.

- Czy pani mnie słyszy? - zapytała Julie Sanders, pielęgniarka.

Apatycznie kiwnęła głową.

- Jest pani w sali pooperacyjnej. Czy coś panią boli?

Nie wiedziała. Jej zmysły dopiero budziły się z uśpienia. Powoli zaczynały docierać do niej różne bodźce. Słyszała ciche syczenie tlenu i pikanie kardiomonitora. Ale ból? Nie, bólu nie czuła. Jedynie przeraźliwą wewnętrzną pustkę. I wyczerpanie. Marzyła, żeby znowu zasnąć...

Wokół niej pojawiły nowe twarze. Rozpoznała jedną z pielęgniarek i jak zawsze nasrożonego doktora Tama. Nagle usłyszała swoje imię.

Odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegał. Na tle rozjarzonej lampy twarz Davida wyglądała jak czarna plama. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, lecz rurki od kroplówek ograniczały jej ruchy. Zbyt słaba, by się z nich wyplątać, opuściła rękę na łóżko.

Wtedy on podszedł bliżej i ujął jej dłoń. Zrobił to tak delikatnie, jakby lękał się, że ją uszkodzi.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, przyciskając ją do ust. - Dzięki Bogu, że żyjesz...

- Nic nie pamiętam.

- Miałaś operację. - Próbował się uśmiechnąć, lecz nie wypadło to przekonująco. - Trwała trzy godziny. Myślałem, że już nigdy się nie skończy.

Nagle wszystko sobie przypomniała. Wiatr. Grzbiet skały. I Susan znikającą jej z oczu. Jak zjawą.

- Ona nie żyje?

- Niestety. Zginęła na miejscu.

- A Guy?

- Przez jakiś czas nie będzie mógł chodzić. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się dojść do telefonu i wezwać pomoc.

- Uratował mi życie - szepnęła przez łzy. - A sam wszystko stracił...

- Nie wszystko. Przecież ma syna.

Tak, William już zawsze będzie synem Guya, pomyślała. Co prawda nie z krwi i kości, lecz czegoś znacznie trwalszego: z miłości.

- Panie Ransom, naprawdę nie może pan tu dłużej zostać. Proszę już wyjść - ponaglił go lekarz.

Skinął głową, a potem pochylił się nad Kate i pocałował ją w taki sposób, jakby robił to z obowiązku. Gdyby choć powiedział jedno czułe słowo, być może muśnięcie jego suchych warg sprawiłoby jej przyjemność. On jednak bez słowa puścił jej rękę i cofnął się, by nie przeszkadzać personelowi.

Wiedziała, że musi powiedzieć mu coś ważnego, lecz po kolejnym zastrzyku przeciwbólowym ogarnęła ją taka senność, że nie była w stanie zebrać myśli. Walczyła ze sobą, ale w głowie miała taki zamęt, że nawet nie potrafiła odróżnić jego głosu. A potem pielęgniarka pchnęła łóżko, by zawieźć ją na oddział.

Przeraziła się, że jeśli ją zabiorą, straci jedyną okazję, by wyznać Davidowi miłość. Chciała prosić, by zostawili ich na chwilę samych, lecz nagle nie wiadomo skąd dała o sobie znać jej wrodzona duma. Więc nie powiedziała ani słowa, tylko przymknęła powieki i zapadła w sen.

David został przy niej do świtu. Siedział przy łóżku, trzymał ją za rękę, odgarniał włosy z twarzy. Domyślił się, że musiała dostać końską dawkę leków, bo przez cały ten czas nawet się nie poruszyła. Gdyby choć raz zawołała go przez sen lub wymówiła pierwszą sylabę jego imienia, byłby

szczęśliwy. Przynajmniej wiedziałby, że jest jej potrzebny, i może w końcu zdobyłby się na to, by powiedzieć, że on też bardzo jej potrzebuje. Takich wyznań nie czyni się przecież na zawołanie. W każdym razie on tak nie potrafił. Przyszło mu nawet do głowy, że jest w o wiele trudniejszym położeniu niż biedak Charlie Decker, który prawie nie mówił, ale pisał wiersze i w ten sposób opowiadał światu o swych uczuciach.

Droga powrotna dłużyła mu się niemiłosiernie. Ledwie wszedł do domu, zadzwonił do szpitala.

- Stan stabilny - usłyszał.

Zawsze tak mówią, ale musi wierzyć im na słowo. Następny telefon wykonał do kwiaciarni. Zamówił bukiet róż i kazał go doręczyć do pokoju Kate. Ponieważ nie był w stanie wymyślić żadnej sensowej treści, na bilecie polecił napisać „David”. Potem zaparzył kawę i zjadł grzanekę. Wreszcie, brudny i nieogolony, wykończony psychicznie i fizycznie, padł na kanapę w salonie.

Zamiast spać, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie jest zdolny do miłości. Zamyślony rozejrzał się wewnątrz, które własnoręcznie stworzył. Lśniące podłogi, proste zasłony, książki w przeszklonej bibliotece. Nagle uderzyła go sterylność tego miejsca. Nie wyglądało jak dom, lecz jak skorupa, w której można skryć się przed światem.

Po jaką cholerę ja o tym myślę, zirytował się. Co z tego, że nie potrafi mówić o uczuciach; Kate pewnie i tak nie zechce z nim być. W końcu podstawą ich przelotnego związku była wzajemna potrzeba. Ona czuła się zastraszone, on dał jej schronienie. Niebawem wyjdzie ze szpitala, wróci do swego dawnego życia, do pracy, która jest dla niej najważniejsza. I gdzie w tym wszystkim miałoby się znaleźć miejsce dla niego?

Podziwiał ją i mocno jej pragnął. Ale czy ją kocha?

Miał nadzieję, że nie. Wiedział bowiem, że miłość jest niczym więcej jak preludium do cierpienia.

- Można? - zapytał niepewnie doktor Avery.

W rękę trzymał kilka sztucznie barwionych zielonych goździków, które tak taktował, jakby nie miał pojęcia, co się robi z kwiatami. Zwłaszcza zielonymi. Nawet nie wyjął ich z folii z nazwą supermarketu, nie mówiąc już o usunięciu naklejki z ceną.

- To dla pani - wyjaśnił na wypadek, gdyby sama się nie domyśliła. - Mam nadzieję, że nie ma pani alergii...

- Nie. Bardzo panu dziękuję, doktorze.

- O, widzę, że już pani dostała kwiaty. - Sposepniał, spoglądając na efektowne purpurowe róże, przy których jego goździki prezentowały się nad wyraz skromnie.

- Jeśli mam być szczerą, wolę te od pana. Gdyby był pan tak dobry i włożył je do wody...

Podczas gdy napełniał wazon, myślała o tym, że przecież nie skłamała. Rzeczywiście wolała tanie goździki z supermarketu, bo przynajmniej ofiarodawca przyniósł je osobiście. Czego nie da się powiedzieć o różach. Doręczono je, gdy spała. Na dołączonej do bukietu karteczce nie było nic prócz imienia Davida. On sam ani do niej nie zadzwonił, ani się nie pokazał. Domyśliła się, że postanowił wykorzystać moment, by rozstać się bez wyjaśnień czy nie daj Boże scen. Ranek minął jej więc na dywagacjach, czy wywalić róże do kosza, czy przytulić je do piersi - i przy okazji poranić się kolcami.

Doktor Avery postawił kwiaty tam, gdzie mu poleciła, czyli na szafce obok łóżka. Potem przysunął sobie krzesło i dość długo kontemplował w milczeniu ich nieco zmęczoną urodę. Wreszcie odchrząknął.

- Pani doktor - zaczął tak cicho, że ledwie go słyszała. -
Moja wizyta nie ma charakteru wyłącznie towarzyskiego.

- Nie?

- Oczywiście jestem bardzo ciekaw, jak pani się czuje, jednak przyszedłem, żeby porozmawiać o pani pracy w naszym szpitalu.

- O czym tu rozmawiać? Decyzja już zapadła.

- Owszem, ale wiemy, że pojawiły się nowe fakty. -
Bezradnie wzruszył ramionami. - Proszę wybaczyć, że nie
bronilem pani od początku. Bardzo tego żałuję, ale cóż. W
każdym razie jestem tu, żeby zaproponować pani powrót na
dawne stanowisko. W pani dokumentach nie będzie żadnej
wzmianki o zarzutach, które pani postawiono. Jedynie
adnotacja, że do sądu wpłynął pozew, który strona skarżąca
szybko wycofała.

- Moje dawne stanowisko - szepnęła. - Powiem panu
szczerze, że sama nie wiem, czy chcę na nie wrócić.

- Chce pani przenieść się do innego szpitala?

- Do innego miasta. Miałam sporo czasu, żeby wszystko
przemyśleć. Postanowiłam sprawdzić, czy przypadkiem gdzie
indziej nie będzie mi lepiej niż tu. Więc poszukam czegoś z
dała od... oceanu. - I Davida.

- Szkoda.

- Proszę się nie martwić. Jestem pewna, że bez trudu
znajdziecie kogoś na moje miejsce.

- Nie o to chodzi - odparł. - Jestem zaskoczony pani
decyzją, gdyż biorąc pod uwagę ogrom pracy wykonanej
przez pana Ransoma, sądziłem, że...

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Co pan Ransom może
mieć wspólnego z moją pracą?

- Och, bardzo energicznie działał w pani sprawie.
Kontaktował się ze wszystkimi członkami zarządu.

Pożegnalny gest. Powinna być mu za to wdzięczna.

- Nie ukrywam, że bardzo nas zaskoczył. Bo sama pani przyzna, że to dość nietypowe, by adwokat strony pozywającej prosił, a wręcz się domagał przywrócenia do pracy pozwanego lekarza! Kiedy dziś rano przedstawił nam policyjny raport ze śledztwa i zeznania doktora Santiniego, w ciągu pięciu minut podjęliśmy decyzję na pani korzyść. Pan Ransom dał nam do zrozumienia, że jest pani zainteresowana powrotem do pracy.

- Rzeczywiście byłam - przyznała, spoglądając na róże. Zastanowiło ją, dlaczego nie czuje ani odrobiny satysfakcji. - Cóż, sytuacja się zmieniła. Jak to w życiu, prawda?

- No tak - westchnął. - W każdym razie, jeśli zechce pani wrócić, przyjmujemy panią z otwartymi ramionami. Będzie nam pani bardzo potrzebna, pani doktor. Być może jeszcze pani nie wie, ale zdecydowałem się odejść na emeryturę.

- Naprawdę?

- I tak zbyt długo z tym zwlekałem. Zawsze obiecywaliśmy sobie z żoną, że jak przestanę pracować, będziemy podróżowali. Razem już tego nie zrobimy, ale żona na pewno by chciała, żebym miał coś z życia.

- Na pewno, doktorze.

- Pójdę już, pewnie jest pani zmęczona. - Spojrzał na więdnące goździki. - Rzeczywiście są ładne. Nawet ładniejsze niż róże. O wiele ładniejsze - mruzczał pod nosem, opuszczając pokój.

Popatrzyła na kwiaty. Purpurowe róże. Zielone goździki. Co za absurdalne połączenie. Zupełnie jak ona i David.

Było późne deszczowe popołudnie, gdy David zjawił się z wizytą. Kate siedziała właśnie na przeszklonej werandzie i przez mokre szyby wyglądała na zielony dziedziniec. Pielęgniarka umyła i uczesała jej włosy, które teraz schły, zwijając się w loki jak u małej dziewczynki.

Nie usłyszała, jak wszedł. Odwróciła się dopiero, gdy ją cicho zawołał. Miała nadzieję, że ją obejmie, przytuli. On jednak ograniczył się do pocałunku w czoło.

- Już nie leżysz. Lepiej się czujesz, tak?

- Nigdy nie mogłam za długo wytrzymać w łóżku.

- Proszę, to dla ciebie - przypomniał sobie i podał jej elegancko zapakowane pudełeczko czekoladek.

- Dziękuję. I za róże też. Są naprawdę piękne. - Odwróciła się do smaganego deszczem okna.

Umilkli, jakby nagle zabrakło im tematu do rozmowy.

- Rozmawiałem z Averym. Mówił, że chcą cię z powrotem przyjąć do pracy.

- Tak. Był tu u mnie. Zdaje się, że za to też należą ci się podziękowania.

- O czym mówisz?

- O pracy. Powiedział mi, że kontaktowałeś się w mojej sprawie z członkami zarządu.

- Bez przesady. Po prostu wykonałem kilka telefonów. - Odetchnął głęboko. - Tak więc niebawem wracasz na blok operacyjny. Pewnie dadzą ci podwyżkę

- ciągnął ze sztucznym ożywieniem. - Cieszysz się?

- Wiesz, że nie. Zastanawiam się, czy w ogóle chcę tam wracać.

- Co? Ale dlaczego?

- Rozważam inne możliwości. Chętnie przeniosę się gdzie indziej.

- Do innego szpitala?

- Tak, ale nie na Hawajach. - Nie zareagował, więc dodała: - Tutaj nic mnie nie trzyma.

Znow zapadła długa cisza.

- Naprawdę?

Nie odpowiedziała. Obserwował ją i doskonale wiedział, że będzie tak siedziała do końca świata i nic więcej mu nie

powie. Była pod tym względem taka sama jak on. Dobraliśmy się w korcu maku, pomyślał z goryczą. Niby dwoje inteligentnych dorosłych ludzi, a nie są w stanie się porozumieć.

- Pani doktor? - Na werandę zajrzała pielęgniarka.

- Czy chce pani wracać już do pokoju?

- Tak. Chyba się zdrzemnę.

- Wygląda pani na zmęczoną - przyznała. - Pora kończyć wizytę, proszę pana.

- Nie! - oznajmił, wstając.

- Słucham?

- Powiedziałem, że jeszcze nie wychodzę. - Spojrzał Kate prosto w oczy. - Najpierw zrobię tu z siebie głupca. Czy może pani zostawić nas samych?

- Ale proszę pana...

- Bardzo panią proszę!

Zawahała się, ale musiała dostrzec determinację w jego oczach, bo w końcu wyszła.

Kate przyglądała mu się niepewnie. Może nawet z lękiem. On zaś delikatnie dotknął jej twarzy.

- Powtórz, co powiedziałaś - poprosił. - Wiesz, że nic cię tutaj nie trzyma.

- Przecież to prawda.

- A teraz powiedz mi, jakie są prawdziwe powody twojej decyzji.

Milczała. On jednak wyczytał odpowiedź z jej oczu. Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Boże, jesteś jeszcze większym tchórzem niż ja!

- Tchórzem?

- Tak. - Odwrócił się od niej i włożywszy ręce do kieszeni, zaczął chodzić po werandzie. - Nie miałem zamiaru ci tego mówić, w każdym razie jeszcze nie teraz, ale skoro grozisz, że wyjedziesz... Cóż, nie mam wyboru. No dobrze! -

Odetchnął. - Ponieważ ty tego nie powiesz, zrobię to ja, ale nie jest to dla mnie łatwe. Po śmierci Noaha wmówiłem sobie, że raz na zawsze uodporniłem się na uczucia. Wydawało mi się, że wyeliminowałem je z życia. Nagle okazało się, że się mylę. Wystarczyło, że cię poznałem... - Roześmiał się. - Boże, dlaczego nie mam przy sobie któregoś z wierszy Deckera! Mógłbym coś zacytować. Rzucić jakieś mądre zdanie. Powiem ci, że mu zazdroszczę. Przynajmniej był elokwentny. - Znowu się uśmiechnął. - Jeszcze tego nie powiedziałem, prawda? Ale rozumiesz, do czego zmierzam?

- Tchórz!

- No dobrze. Niech będzie. Powiem to. Kocham cię! A wiesz, za co?

- Nie mam pojęcia.

- Za twój upór. I dumę. I jeszcze niezależność. Naprawdę nie chciałem, żeby mnie to spotkało. Było mi dobrze samemu. Ale skoro już się stało, nie wyobrażam sobie, żebym miał cię nie kochać. - Nagle odsunął się, jakby chciał powiedzieć: możesz odejść, droga wolna.

Nie odeszła. Nawet nie drgnęła. Siedziała z boleśnie zaciśniętym gardłem, ściskając czekoladki, i pytała samą siebie, czy to dzieje się naprawdę.

- Uprzedzam, że to nie będzie łatwe.

- Co?

- Życie ze mną. Nieraz będziesz chciała skrócić mi kark. Będziesz na mnie krzyczała, bylebym tylko powiedział „kocham cię”. Pamiętaj, to że nie mówię, wcale nie znaczy, że nie kocham. - Westchnął jak człowiek, któremu kamień spadł z serca. - Dobrze, to już wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Cieszę się, że przynajmniej mnie wysłuchałaś. Jeśli nie, twoja strata, bo drugiego spektaklu nie będzie.

- Słuchałam cię. Bardzo uważnie.

- I? - W napięciu wpatrywał się w jej twarz. - Jaki wydałaś na mnie wyrok? A może ława przysięgłych jeszcze się naradza?

- Ława przysięgłych jest w stanie ciężkiego szoku - szepnęła. - Więc trzeba natychmiast zastosować sztuczne oddychanie.

Jeśli chciała się dotlenić, pocałunek przyniósł zgoła odwrotny efekt. Ledwie dotknął ustami jej ust, pokój zawirował jej przed oczami, a ciało ogarnęła przyjemna niemoc.

- No dobrze, kończymy reanimację - mruknął.

- Teraz twoja kolej. Słucham?

- Kocham cię.

- Liczyłem na taki wyrok.

Ona zaś liczyła, że znów ją pocałuje. I przeliczyła się.

- Jesteś bardzo blada. - Przyjrzał się jej zaniepokojony. - Zawołam siostrę. Może poda ci tlen...

- Tlen? A kto tu potrzebuje tlenu? - szepnęła, tuląc się do niego.

EPILOG

W całym domu słycać było donośny płacz maleńkiego dziecka.

Zaniepokojona Jinx zajrzała do pokoju.

- A co to się dzisiaj dzieje z naszą Emmą?

- Czy ja wiem? - Przerażona Gracie próbowała zmienić pieluchę rozzłoszczonemu niemowlakowi. - Powiem ci, że całkiem wyszłam z wprawy.

- Z jakiej wprawy? Czy ty kiedykolwiek opiekowałaś się dziećmi?

- Faktycznie, nie robiłam tego. Pewnie dlatego tak kiepsko mi idzie - przyznała Gracie samokrytycznie.

- Nie martw się, z dziećmi jak z pianinem, trzeba ćwiczyć i nabiera się biegłości - pocieszyła ją Jinx.

- Zdecydowanie łatwiej ćwiczyć gamy, niż zmieniać pieluchy - jęknęła, mocując się z agrafką, którą próbowała wbić w pampersa. - Widziałaś, jakie beznadziejne pieluchy teraz robią? I jak tu się przebić przez ten papier i plastik? Jinx parsknęła śmiechem.

- I co cię tak bawi? - zapytała ją urażona.

- Jak to, co? Jeszcze się nie zorientowałaś, że pampersów nie spina się agrafkami? Są jednorazowe, kobieto. Zapina się je na rzepy!

Listek oderwał się od gałęzi i wylądował obok bukietu świeżych margerytek. Promienie słońca przeświecały przez konary, kładąc się złotymi refleksami na włosach Davida. Ile razy stał samotnie nad grobem syna w cieniu wielkiego drzewa? Ile razy łączył się duchowo ze swym dzieckiem? Wszystkie poprzednie wizyty zlały się w jedno smutne żałobne rozpamiętywanie.

Dziś po raz pierwszy, stojąc w tym miejscu, uśmiechnął się. Mógłby przysiąc, że rozbrzmiewający w jego wyobraźni głos Noaha też był radosny.

To ty, tatusiu?

Tak, Noah. To ja. Masz siostrzyczkę.

Poważnie? Zawsze chciałem mieć siostrę.

Ssie dwa palce, identycznie jak ty.

Naprawdę?

I zawsze się uśmiecha, gdy wchodzę do jej pokoju.

Tak jak ja. Pamiętasz?

Tak, synku. Pamiętam.

I nigdy nie zapomnisz, tatusiu? Obiecuj, że nie zapomnisz.

Nie zapomnę, synu. Przysięgam, że nigdy, przenigdy nie zapomnę...

Odwrócił się i przez łzy ujrzał Kate. Stała kilka kroków dalej. Nie potrzebowali żadnych słów. Wystarczyło spojrzenie. I wyciągnięta dłoń.

Objęci ruszyli w stronę domu. Kiedy wyszli z cienia na pełne słońce, David przystanął i wziął ją w ramiona.

Dotknęła jego twarzy. Ciepło słońca przepłynęło przez jej palce. Poczul się uleczony.

Wreszcie.